

ZESŁANIEC

PISMO RADY NAUKOWEJ
ZARZĄDU GŁÓWNEGO
ZWIĄZKU SYBIRAKÓW
PL ISSN 1426-2126



60 2014



Z e s ł a n i e c

PISMO RADY NAUKOWEJ ZARZĄDU GŁÓWNEGO
NR 60 ZWIĄZKU SYBIRAKÓW ROK 2014

Spis treści

- **Agnieszka Czarkowska**
*„Kiedy nas już nie będzie...” –
rozmowa z Tadeuszem Chwiedziem,
prezesem Zarządu Głównego
Związku Sybiraków* 3
- **Jolanta Załączny**
*Zesłańcy syberyjscy na fotografiach
z kolekcji Wandy Umińskiej
(w zbiorach Muzeum Niepodległości
w Warszawie)* 9
- **Łukasz Koniarek**
*„Znak i karabin do ręki bierzem”
czyli wystawa o powstaniu styczniowym
i jego rządzie w Ossolineum* 27
- **Sylwia Brzyska**
*Zamknięta przestrzeń więziennej celi –
kobiety w sowieckich więzieniach
podczas II wojny światowej,
na podstawie wspomnień...* 39
- RELACJE Z ZESŁANIA**
- **Janusz Bogdan Naruszewicz**
*Wspomnienia zesłańca
do Kazachstanu* 51
- KRONIKA**
- **Witold Kowalski**
*Polska honoruje w Japonii
Bronisława Piłsudskiego* 73
- **Monika Andrasz-Mrozek**
*Japońskie szlaki
Bronisława Piłsudskiego –
galeria online Archiwum
Narodowe w Krakowie* 79
- **Wiesław Krawczyński**
Rada Naukowa Związku Sybiraków 81

Od redakcji

Ukazujący się od 1996 r. „Zesłaniec” wyraźnie zaznacza swoją obecność w dokumentowaniu losu Polaków w „syberyjskim domu niewoli”. Treściom tym, ich istocie i praktyce poświęcono już wiele artykułów opartych na zesłańczych doświadczeniach, studiach historycznych i kulturowych. Dopełniają one problem naukowego oglądu tych spraw, w który coraz częściej wpisują się historycy z syberyjskiej części Rosji, legitymujący się nierzadko świadomością swoich odległych polskich korzeni. Jak już wielokrotnie podkreślaliśmy w „notach od redakcji” artykuły te obejmują różne grupy tematyczne i mamy nadzieję, że trend ten trwać będzie nadal.

W podobnym tonie, a nawet bardziej optymistycznym, wypowiadają się Czytelnicy w listach do redakcji postulując wyjście poza martyrologiczne kręgi by ubogacić tematykę artykułów problemem polskiego dziedzictwa naukowego i gospodarczego za Uralem.

Wspominał o tym dr Tomasz Dudek w artykule poświęconym dziejom naszego kwartalnika podkreślając, że „Choć z oczywistych względów, Syberia w polskiej tradycji, historii i kulturze zawsze będzie przedstawiana jako miejsce martyrologii setek tysięcy naszych rodaków, to warto także pamiętać i o tym aspekcie polskiej obecności na tych ziemiach. [...] W wielu polskich publikacjach naukowych i popularnonaukowych dominuje bowiem postrzeganie polskiej obecności na Syberii, Kaukazie, Azji Środkowej, czy Dalekim Wschodzie, tylko przez pryzmat poniewolnych stosunków polsko-rosyjskich. A przecież w wielu przypadkach to właśnie polscy zesłańcy nie tylko inicjowali i prowadzili badania nad zamieszkują-

REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- Adam Czesław Dobroński, *Miasta województwa podlaskiego*, Białystok 2014
(Barbara Noworolska) 85
- Swietłana A. Mulina, Anna A. Krich, *Polacy w Zachodniej Syberii. Słownik biograficzny*, Omsk 2013
(Anna Milewska-Młynik) 88
- Piotr Derdej, *Brześć 1939*, Komorów 2013
(Tomasz Dudek) 90
- Mieczysława Łysik, *Wspomnienia z Sybiru 1940-1946*, Lublin 2013
(Małgorzata Dziura) 92
- Olga A. Ozierowa, *Poliaki zapadnoy Sibiri w ustowijach prowadzenia czrezwyczejnoy polityki w 1920-je – 1930-je gody. Monografia*, Omsk 2014
(Anna Milewska-Młynik) 95

Na okładce: Tablica memoratywna w Pietropawłowsku Kamczackim czcząca pamięć zesańca i lekarza Benedykta Dybowkiego (s. 1); pomnik Bronisława Piłsudskiego w Shiraoi na Hokkaido (s. 4).

Zeszyt opublikowany dzięki dotacji

Rady Ochrony Pamięci

Walk i Męczeństwa

Wydawca: Zarząd Główny

Związku Sybiraków,

ul. Mazowiecka 12

00-048 Warszawa, tel. 22/827 93 71

Redakcja: A. Dobroński,

A. Dzienkiewicz, W. Krawczyński,

A. Kuczyński (red. nac.), S. Sikorski,

P. Zworski

Sekretarz redakcji: M. B. Kuczyńska

Wykonawca: Skład, druk i oprawa –

QUAESTIO Przemysław Włodarczyk,

ul. Paczkowska 26; 50-503 Wrocław

Copyright nazwy „Zesłaniec”

by A. Kuczyński

Adres redakcji: ul. Bystrzycka 61/3

54-215 Wrocław, tel. 71/351 10 94

cymi wymienione obszary ludami, a także przyczynili się w znaczący sposób do zachowania ich kultury. Przykładem tego może być działalność Bronisława Piłsudskiego, brata Józefa, znakomitego badacza Sachalinu i kultury jego pierwotnych mieszkańców Ajnów”. („Zesłaniec” nr 58:2014, s. 76).

A skoro o B. Piłsudskim mowa to wspomnijmy, że ożenił się on na Sachalinie z kobietą z plemienia Ajnów, a jego potomkowie mieszkają do dzisiaj w Japonii. Pisze o tym zajmująco Witold Kowalski w tym numerze naszego kwartalnika w artykule pt. „Polska honoruje w Japonii Bronisława Piłsudskiego”, którego pomnik odsłonięto 19 października 2013 roku w Shiraoi na Hokkaido.

Uroczystość ta potwierdza zauważalny proces utrwalenia zasług tego zesańca, etnografa i patrioty w polskiej antropologii kulturowej bliski problematyce naszego dziedzictwa naukowego na Syberii. Przypominamy o tym na użytek innych rozważań z tego zakresu ujawniających się częstokroć na łamach „Zesłaniec”. W ten sposób kształtuje się przekonanie, że nasi Czytelnicy są świadkami i uczestnikami historii dawnych dziejów polsko-syberyjskich, które uwiadaczniają się dzisiaj w formie trwałych znaków pamięci. Należy do nich ów pomnik na Hokkaido, pomnik B. Piłsudskiego na Sachalinie oraz monument poświęcony polskim badaczom Syberii znajdujący się w centrum Jakucka i tablica memoratywna w Pietropawłowsku Kamczackim czcząca pamięć zesańca i lekarza Benedykta Dybowkiego.

Dzięki Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, wspierającej wydawanie „Zesłaniec” włączamy się w ten sposób do realizacji idei Cypriana Kamila Norwida, że „Przeszłość jest i dziś, i te dziś dalej”.

Wiesław Krawczyński
Przewodniczący Rady Naukowej
Zarządu Głównego Związku Sybiraków

AGNIESZKA CZARKOWSKA

**„KIEDY NAS JUŻ NIE BĘDZIE...” – ROZMOWA
Z TADEUSZEM CHWIEDZIEM, PREZESEM
ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZWIĄZKU SYBIRAKÓW**

A.C.: Rozmawiamy w Białymstoku – mieście, którego mieszkańcy doświadczyli sowieckiej okupacji i masowych deportacji. To w Białymstoku od kilkunastu lat ulicami przechodzi kilkanaście tysięcy ludzi w Marszu Sybiru. Tu jest Grób Nieznanego Sybiraka. To tu ma powstać nowoczesne, planowane z rozmachem, Muzeum Pamięci Sybiru. Od kilku lat śledzimy postępy w planowaniu tej placówki. Pamięta Pan, jak to się zaczęło?

T.Ch.: Idea budowy Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku, muzeum z prawdziwego zdarzenia, rodziła się powoli. W 1998 roku tutejsi Sybiracy, z pomocą Sybiraków z całego kraju, własnymi siłami stworzyli w podziemiach kościoła pod wezwaniem Ducha Świętego salę wystawienniczą poświęconą deportacjom na nieludzką ziemię – takie małe Muzeum Sybirackie. Tak je nazwaliśmy. Z czasem zaskakiwała nas liczba wycieczek młodzieży szkolnej, częstotliwość zgłaszania się indywidualnych osób nie tylko z kraju, ale i z zagranicy, do zwiedzenia tego muzeum. To skłaniało do myślenia, że trzeba ten zaczątek rozszerzać.

Czyli to zainteresowanie tą wystawą, tym w sumie niewielkim pomieszczeniem w podziemiach kościoła...

Tak. Pierwszy krok zrobiliśmy sami – w 2002 roku wybudowaliśmy Panoramę Golgoty Wschodu. Ta panorama stanowi integralną część Muzeum Sybirackiego, składa się z ośmiu obrazów. Przedstawia kolejne etapy wywózki, przedstawia życie Sybiraków w miejscach zesłania. Z tą mobilną wystawą jeździmy po szkołach. Zostaje w danej szkole przez miesiąc, w tym czasie organizujemy spotkania młodzieży z Sybirakami, bardzo wspomagają nas nauczyciele historii. To małe muzeum funkcjonuje już chyba w dwudziestej szkole. Panuje taka ogólna opinia, nie wiem na jakiej podstawie, że obecna młodzież nie jest zainteresowana tymi sprawami. Chciałbym z całym naciskiem powiedzieć, że ja się z taką opinią nie zgadzam! A jeśli tak się dzieje, to moim zdaniem, błąd tkwi nie w temacie, tylko w przekazie. My mówimy do nich prostym językiem, opowiadamy to, co naprawdę widzieliśmy i czego doświadczyliśmy na własnej skórze. I słuchają! Mówimy o represjach, jakich doznali wszyscy Polacy na zesłaniu, o cierpieniu, o powszechnym głodzie. Mówimy wprost, że ludzie umierali z głodu. To jest coś, co trudno sobie dziś młodemu człowiekowi wy-

obrazić. Ale staję przed nimi ktoś, kto jako dziecko marzył o kromce chleba! My na zesłaniu rozmawialiśmy między sobą o tym, czy dożyjemy tych czasów, kiedy mama położy na stół bochenek chleba i powie: „Jedzcie do syta”... Ja do dzisiejszego dnia, po 70 latach od tych okropności, kiedy jestem w sklepie, to najdłużej przystaję przy stoisku z pieczywem. Tuż po powrocie do kraju, patrząc na jedzenie w domu czy na chleb w sklepie, dostawałem torsji. I wtedy, kiedy mogłem jeść ten chleb do syta, nie mogłem, bo gardło mi zatykało... To była niestety nerwica, trauma zesłań, trauma Sybiru. Nam łatwo dzisiaj mówić – zbierzemy eksponaty, zrobimy muzeum, niech młodzież przychodzi i ogląda. Co innego oglądać wystawę, a co innego tej młodzieży opowiedzieć scenę, którą mam dokładnie w pamięci do dziś. Oto na moich oczach – na słomie, na takim barłogu na ziemi, leży staruszek z długimi wąsami, bardzo już słaby. Chory z głodu! Przychodzi jego syn, już ostatnie kęsy ma w ręku, kończy ten *pajok* – półkilogramową normę dzienną chleba. Staruszek wyciąga rękę: „Daj mi kawałeczek tego chleba”. A syn mu odpowiada: „Ja muszę iść do pracy, muszę zjeść, a ty leżysz, możesz nie jeść.” I w tym czasie, na moich oczach, ten staruszek trzy razy tak mocno wypuścił powietrze z ust, aż te długie wąsy zafalowały i ...zmarł z głodu... Pewnie, że to przerażające. Ale tak było, taka jest prawda! Dziś osiemdziesięcioletni człowiek widzi to, tak jakby to było wczoraj!

A syn musiał żyć dalej ze świadomością, że nie dał ojcu kawałka chleba. Straszne dylematy moralne.

To są rzeczy nieludzkie! Nie wolno ludzi stawiać przed takimi wyborami! My dzisiaj, kiedy opowiadamy o tych okropnych rzeczach, to sami sobie zadajemy pytanie: jak to wszystko mogliśmy przeżyć?

Wróćmy do tematu Muzeum Pamięci Sybiru. Jaka jest Pana opinia na temat powstającej placówki?

Kiedy nas, Sybiraków, już nie będzie, to muszą zostać znaki pamięci – takie, które młodym pokoleniom nie pozwolą zapomnieć, które będą do nich przemawiać. I to muzeum musi być takim bastionem prawdy. Oczywiście nie jedynym, również w innych miejscach w Polsce powstają i powinny powstawać znaki tej pamięci. Nie można dopuścić, żeby następne pokolenia zaczęła wątpić, czy w ogóle były deportacje, a jeśli były to cóż – może na wczasy wywieźli i za darmo jeszcze. To oczywiście ironia, ale słyszę czasami głosy: „Wy tam skorzystaliście, bo nie spadały na was bomby” – to prawda, że na Syberii czy w Kazachstanie bomb nie było nawet słychać, ale słyszeliśmy tam wycie wilków, szloch, płacze i jęki ludzi. I młodzi ludzie muszą o tym wiedzieć. Młodzież, która nie zna historii swego narodu, nie jest w stanie budować przyszłości swego kraju. Cyprian Kamil Norwid pisał: „żeby kroczyć drogą przyszłą, trzeba wiedzieć, skąd się przyszło”. A marszałek Piłsudski, jako Sybirak z legitymacją numer 1, powiedział tak: „Naród, który nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, nie jest godzien szacunku teraźniejszości, ani nie ma prawa do przyszłości”. Tę prawdę muzeum ma przekazywać.

A czy Pana zdaniem będzie przekazywać? Czy Pan zna koncepcję Muzeum Pamięci Sybiru?

W siedzibie białostockiego Muzeum Wojska można obejrzyć piękną makietę przyszłego muzeum. A teraz projektanci wchodzą do wnętrza muzeum. Ja jestem pełen nadziei i optymizmu – a obejrzałem już makietę – więcej, jestem absolutnie pewien, że właśnie to muzeum w dobry sposób przekaże prawdę historyczną. A na tym, nam Sybirakom, najbardziej zależy. My od lat tworzymy znaki pamięci w całym kraju – tablice epitafijne, przecież prawie w każdym białostockim kościele jest tablica poświęcona Sybirakom. Pomnik Grób Nieznanego Sybiraka w Białymstoku – jedyny tego typu monument na świecie. Jest również piękny pomnik we Wrocławiu, pomnik poświęcony Matkom Sybiraczkom w Zielonej Górze – one wszystkie będą służyć zachowaniu pamięci. Wielka chwała władzom Białegostoku, że od 14 lat organizują wspólnie z nami żywy pomnik Golgoty Wschodu – Marsz Pamięci Polskiego Sybiru.



Prezes Tadeusz Chwiedź na XIV Marszu Sybiru. Fot. Monika Kalicka

Proszę mi pokazać inną uroczystość w kraju, obojętnie jaką, gdzie bierze udział kilkanaście tysięcy uczestników, gdzie ulicami miasta przechodzi tyle młodzieży. A to przecież jest bardzo ważne. Określanie w tej chwili przez wielu Białegostoku mianem sanktuarium Golgoty Wschodu, nie jest przypadkowe. Chcemy również tego trwałego, olbrzymiego znaku w postaci muzeum. I mam nadzieję, że w zapowiadany terminie w 2016 roku, będziemy zbliżali się do końca realizacji tej inwestycji. Ogromną wagę przywiązujemy jako Związek Sybiraków do tworzenia materialnych znaków pamięci po nas. Nas wkrótce nie będzie. Przecież średni wiek Sybiraka już przekroczył osiemdziesiątkę, jesteśmy chorzy, często niedołążni.

Co stanie się z kościelnym Muzeum Sybirackim? Jeśli za dwa lata, założymy, dojdzie do otwarcia Muzeum Pamięci Sybiru, co wówczas? Czy wystawa zostanie, czy przekażecie eksponaty do nowej placówki?

Część eksponatów na pewno przekażemy, choćby ze względu na to, że u nas też nie wszystkie są wystawione, nie mieścimy ich w naszej sali. Część pamiątek z Panoramą na pewno zostawimy, choćby dlatego, że wycieczki i tak trafiają do kościoła Ducha Św., przy którym stoi Pomnik – Grób Nieznanego Sybiraka. Tego symbolu nie można w Białymstoku ominąć przy omawianiu tematu Golgoty Wschodu. Niech zostanie w podziemiach kościoła nasza wystawa. Oczywiście – zasadnicza wiedza będzie przekazywana w Muzeum Pamięci Sybiru, tam będą profesjonalści. My swoje małe muzeum otwieramy w każdy poniedziałek, ale jeśli ktoś się wcześniej umawia telefonicznie, nawet indywidualnie, nie zdarzyło się, żebyśmy odmówili. Zawsze jesteśmy, każdego zapraszamy. I liczba szkolnych wycieczek nas absolutnie zaskakuje, przechodzi nasze najśmielsze oczekiwania. Mamy wielką satysfakcję, że nasz trud i wysiłek nie poszedł na marne.

Czy idea i powstanie Muzeum Pamięci Sybiru wzbudza jakieś kontrowersje? Ma przeciwników? Odbiera Pan krytyczne uwagi?

Jako prezes Związku Sybiraków i w Białymstoku, i w całym kraju, mam możliwość rozmawiania z Sybirakami, ale przecież nie tylko. Ta idea, a teraz już przecież realizacja, spotyka się z powszechną akceptacją. Jako Związek wiążemy z tym wielkie nadzieje. To muzeum musi przede wszystkim przekazywać prawdę historyczną młodym pokoleniom, żeby w przyszłości ta tragedia nie poszła w niepamięć. Nie wolno dopuścić, żeby o tym zapomniano. I to będzie misja tego muzeum. Czekam na dzień otwarcia. Czekam, bo nam, Sybirakom, lat przybywa, a sił i energii ubywa. Chcielibyśmy zobaczyć to, co będą oglądać młode pokolenia, gdy nas już zabraknie. Ale póki co, jeszcze działamy. Przez dwadzieścia pięć lat obchodziliśmy Dzień Sybiraka na zasadzie prawa obyczajowego. Sybiracy wiedzieli, że 17 września to tragiczna data i początek całego zła. W społeczeństwie z tą wiedzą jest różnie. O dacie 1 września 1939 roku wiedzą wszyscy, co wydarzyło się 17 dni później – niekoniecznie. W tym roku po raz pierwszy ten Dzień Sybiraka obchodziliśmy w majestacie prawa, w majestacie uchwały Sejmu. Niektórzy pytają – „25 lat obchodziliście sobie prawem obyczajowym, to czy potrzebna uchwała?” Tak! Bo gdy zabraknie tych, którzy przeżyli gehennę zesłania, gdy być może nie będzie komu ponieść sztandarów w ten dzień – to przynajmniej w szkołach, w środkach masowego przekazu wspomną w oparciu o uchwałę Sejmu, że dzień 17 września – to Dzień Sybiraka, to data napaści Sowieców na Polskę.

Namawia Pan Sybiraków, aby oddawali swoje pamiątki z zesłania do Muzeum Pamięci Sybiru?

Owszem, namawiam, zamieszczamy też apele dyrektora, aby ofiarować te przedmioty muzeum. Wielu Sybiraków stosuje zasadę – a jeszcze trochę potrzymam, a jeszcze... Trudno im się rozstać, to często są rzeczy traktowane jak relikwie. Ale są też tacy, którzy z ulgą oddają, wiedząc, że to będzie służyć innym. Wydaje mi się, że dopóki się mówi, pisze, to jest takie dalekie. Ale kiedy Sybiracy i ich spadkobiercy zobaczą konkret – makietę, projekty, jak to ma wyglądać, przekonają się, że muzeum naprawdę będzie – łatwiej i szybciej zdecydują się na przekazanie pamiątek. Takie jest nasze przekonanie, ta akcja jeszcze nabierze rozpędu.

Czy Pana zdaniem to muzeum powinno przede wszystkim przemawiać do młodych?

Tak, najbardziej powinno przemawiać do nich. Ja obserwuję młodzież, spotykam się z nimi. Oni przede wszystkim zadają pytania, bardzo ciekawe. Tłumaczymy im, dlaczego, kogo wywożono, w jakich warunkach. Pytają, jak można żyć bez chleba? Albo mówią – „O, pół kilograma chleba na dzień to dużo, to ja tyle nie jem”. Tak, dużo, jak się do tego chleba ma całą resztę jedzenia. Ale jak się do tego chleba nie ma nic? Wówczas pół kilograma chleba jest jak małe ciasteczko. Takie nieszczęście spotkało ludzi tylko dlatego, że byli Polakami, że wierzyli w Boga, że pielęgnowali wartości patriotyczne. Są miejscowości, gdzie NKWD zabrało wszystkich mieszkańców – od najstarszego do najmłodszego, tak jak w kolonii Zacisze pod Zabłudowem czy wsie pod Augustowem. Opowiem taką osobistą historię. Była taka pani, w 1939 roku komendant ochrony przeciwlotniczej, takie funkcje wówczas istniały w każdej dzielnicy. I pełniła swoje obowiązki, również kiedy po 17 września przyszli Sowieci. Wezwali ją i enkawudzista mówi, żeby zaprzestała, bo już koniec wojny, Polski nie ma. Mówi do niej, po rusku: *Polszy uże nietu*, my granice zamknęliśmy, klucz oddaliśmy Stalinowi. A ta pani, bliska memu sercu, bo to moja matka, mówi do niego też po rusku: *W Polszy jest takije mastiera*, że granice bez klucza otworzą. I to było powodem, że naszą rodzinę deportowano. Dlatego o tym trzeba mówić, młodzi muszą wiedzieć, że tak było.

Wierzy Pan w młode pokolenie? Że poniesie tę historię dalej?

Tak, oczywiście. To młode pokolenie wyrośnie takie, jakie my wychowamy. Pewnie, że będzie jakaś część, do której nic i nikt nie trafi. Ale to powinien być margines, który nie może być przykładem. To, co my, jako Związek Sybiraków, lansujemy, utrwalając pamięć w różny sposób – na tym się buduje patriotyzm i umiłowanie Ojczyzny. Dajemy żywy przykład – jak na zesłaniu, daleko w stepie, w ukryciu, robiono zbiórki harcerskie. Z kawałków poszewek uszyto wówczas sztandar, który wisi dziś w naszym muzeum. To jest patriotyzm – w takich warunkach kochać i myśleć o Ojczyźnie. I tak trzeba młodzieży mówić. Bo Ojczyzny nie kocha się za to, że jest wielka, silna, piękna i bogata. Ojczyznę powinno się kochać za to, że się ją ma – wolną i niezależną.

Dziękuję za rozmowę.*

* Agnieszka Czarkowska – dziennikarka, reportażystka, dokumentalistka Polskiego Radia Białystok, autorka cotygodniowej audycji historycznej „Tajemnice naszych czasów”.

JOLANTA ZAŁĘCZNY

**ZESŁAŃCY SYBERYJSCY NA FOTOGRAFIACH
Z KOLEKCJI WANDY UMIŃSKIEJ
(W ZBIORACH MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI
W WARSZAWIE)**

Wanda z Wolskich Umińska uczestniczka powstania styczniowego, opiekunka więźniów, działaczka oświatowa i społeczna pozostawiła po sobie także duży zbiór fotografii z XIX wieku. W roku 1964 – jako zakup od Barbary Kosiorek – trafiły one do Muzeum (wtedy Muzeum Historii Polskiego Ruchu Rewolucyjnego, dziś Muzeum Niepodległości). Zbiór liczy 292 zdjęcia, z czego 289 to podobizny różnych osób. Część z nich została opisana, przez Wandę Umińską (56 szt.) i Wandę Pławińską (10)¹. Trudno jednoznacznie ustalić ich pochodzenie. Wiele opatrzonych jest dedykacjami, które sugerują, że fotografie Umińska otrzymywała od różnych osób obdarowanych przez fotografowanych. 48 zdjęć ma takie właśnie dedykacje, ale tylko dwie fotografie ofiarowane zostały Wandzie Umińskiej. Fotografie zachowały się w różnym stanie, wiele jest zażółconych i wypłowiałych, niektóre są uszkodzone. Z fotografii zgromadzonych przez Wandę Umińską spoglądają twarze zesłanych powstańców. Postacie niektórych z nich zostały już dość szczegółowo opisane, inni są zaledwie znani z nazwiska dzięki opisowi na odwrocie zdjęcia. W większości przypadków jednak niewiele o nich wiemy, brak też informacji o zakładzie, w którym wykonano zdjęcia.

Należy pamiętać, że fotografie w okresie powstania styczniowego pełniły rolę dokumentacyjną, ale były także narzędziem propagandy, miały ogromną moc oddziaływania na społeczeństwo polskie².

W kolekcji Wandy Umińskiej sporo jest zdjęć zesłańców, głównie z Ufy. Jak sugeruje Helena Wiórkiewicz, niektóre z nich zostały opisane przez Augu-

¹ Identyfikacja osób z fotografii bywa bardzo utrudniona. Wypisywane na odwrocie informacje nie zawsze były wcześniej weryfikowane, często podawano tylko nazwisko, czasem dane biograficzne dotyczyły innej osoby. Zwraca na to uwagę autorka katalogu fotografii ze zbiorów Muzeum Historycznego m. st. Warszawy Krystyna Lejko: *Powstanie styczniowe i zesłańcy syberyjscy. Katalog fotografii ze zbiorów Muzeum Historycznego m.st. Warszawy*, część I, Warszawa 2004, s. 27-28.

² H. Zawadzki, *O fotografii w okresie powstania styczniowego*, „Świat Fotografii” 1950, nr 19, s. 10-13.

sta Kręckiego³. Większość zdjęć zrobiono wcześniej, jeszcze w kraju, tylko niektóre zostały wykonane w Ufie⁴. Prawdopodobnie wszystkie te fotografie zostały przywiezione do Polski przez powracających z zesłania.

Ufa to miasto w guberni orenburskiej, a od roku 1865 guberni ufińskiej. „Tradycja zesłań do Ufy sięgała czasów filomatów, gdy dla poratowania zdrowia przeniesiono tam Czeczota”⁵. Tylko niektórym udało się zatrzymać w Ufie na dłużej, „gdzie życie było łatwiejsze i nieco bardziej cywilizowane”⁶. Zesłaniec Jakub Gieysztor wspominał, że „prawie co dzień ktoś nowy przybywał, kolonia polska zwiększała się i przez cały czas mego pobytu w Ufie panowała harmonia i prawie zażyłość”⁷.

Za udział w powstaniu zesłano do Ufy Dawida Wincentego Jacynę. Nie wiadomo, jakie były jego zesłańcze losy, z opisu na odwrocie fotografii (F-5213) wynika, że w lutym 1864 roku przebywał w Ufie.

Na dwóch fotografiach z kolekcji Wandy Umińskiej odnajdziemy braci Baltzerów. Alfons Baltzer (Balcer, Balzer) (b.d. – 1873), brat Ludwika, z zawodu zegarmistrz, za udział w powstaniu został zesłany do Ufy⁸. Po odbyciu kary powrócił do kraju, zmarł w Sandomierzu. Fotografia (F-5118) przedstawia siedzącego w fotelu mężczyznę. Na odwrocie dedykacja: „W dowód najszczerzego szacunku i poważania A. Baltzer w Ufie 15/10/65”. Nie wiadomo, w jakim zakładzie wykonano zdjęcie, ani komu Baltzer ofiarował swoją podobiznę. Ludwik Baltzer (1841 – ok. roku 1910) studiował w Szkole Sztuk Pięknych w Warszawie, był członkiem rzeczywistym Komitetu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Brał czynny udział w manifestacjach patriotycznych poprzedzających wybuch powstania. W roku 1861 kolportował odezwy i plaka-

³ H. Wiórkiewicz, *Wstęp*, [w:] *Powstanie styczniowe. Katalog zbiorów Muzeum Historii Polskiego Ruchu Rewolucyjnego. Nabytki z lat 1957-1975*, opr. H. Wiórkiewicz, H. Ozyra, B. Andrzejewska, Warszawa 1982, s. 8. Kręcki – na bazie prowadzonej korespondencji i rozsyłanych do zesłańców ankiet – stworzył ogromne archiwum (dokumenty, listy, wycinki z prasy, spisy nazwisk). Uzyskane informacje „są bezcenne, chociaż zawierają wiele pomyłek i kontaminacji, gdyż czasem opierały się na plotkach i niezweryfikowanych relacjach uczestników zesłania”: E. Kamińska, *Powstanie styczniowe i zesłańcy syberyjscy. Katalog fotografii ze zbiorów Muzeum Historycznego m.st. Warszawy, część II*, Warszawa 2004, s. 5.

⁴ Na Syberii sztuka fotografowania była mało rozpowszechniona, więc zdjęcia były drogie i zesłańców nie było na nie stać. Duże zakłady fotograficzne działały w Petersburgu i Moskwie. W mniejszych miejscowościach prowadzili je głównie obco-krajowcy, np. w Irkucku August Hoffman. Przepisy zabraniały polskim zesłańcom zajmowania się fotografią, ale nie były one przestrzegane. W Usolu fotografią parął się Józef Cywiński, Piotr Józef Zawalski, w Tomsku Stanisław Antoni Prószyński, w Irkucku Gabriel M. Bogdanowicz, Piotr Józef Zawalski, Hejbowicz: E. Kamińska, *Powstanie styczniowe i zesłańcy syberyjscy...*, op. cit., s. 20-26. O polskich fotografach wspominali często autorzy wspomnień z zesłania.

⁵ W. Śliwowska, *Syberia w życiu i pamięci Gieysztorów – zesłańców postyczniowych*, Warszawa 2000, s. 30.

⁶ Ibidem, s. 30.

⁷ Ibidem, s. 31.

⁸ Archiwum Główne Akt Dawnych w Warszawie (dalej: AGAD), Zarząd Generał-Policmajstra w Królestwie Polskim (dalej: ZGP), sygn. 9, k. 901.

ty nawołujące do uczestnictwa w manifestacji organizowanej dla uczczenia rocznicy bitwy o Olszynkę Grochowską. Został zatrzymany 25 lutego 1861 roku na ulicy Elektoralnej, gdy naklejał jeden z plakatów. Uwięziono go w X Pawilonie, na mocy wyroku z 8 czerwca skazano na 5 lat katorgi i wysłano do rot aresztanckich w Kronsztadzie. W ramach amnestii został zwolniony w roku 1862. Ponownie zaangażował się w działalność konspiracyjną, był aktywnym członkiem Organizacji Miejskiej i Żandarmerii Narodowej. Po raz drugi został aresztowany w 1864 roku i na mocy wyroku Audytoriatu Polowego skazany na 20 lat ciężkich robót. Trafił do Ufy, gdzie przebywał do roku 1885, kiedy to wrócił do Warszawy⁹. Fotografia (F-5140) została wykonana w zakładzie fotograficznym F. Strzyżowskiego w Lublinie, pochodzi zapewne z okresu przez zesłaniem.

Na fotografii (F-5121) został utrwalony Adam Pilchowski, o którym wiemy jedynie – o czym informuje adnotacja na odwrocie – że w listopadzie 1865 roku przebywał w Ufie. Łatwo się więc domyślić, że był zesłańcem postyczniowym. Podobnie jak Władysław Kozłowski, o którym opis na odwrocie fotografii (F- 5123) informuje: „Władysław Kozłowski Ufa d. 3 października 65”. O Maksymilianie Kozłowskim (F-5126) wiemy, że przebywał w Ufie w listopadzie 1865 roku. Powrócił z zesłania, w 1911 roku mieszkał w Warszawie. Obydwaj: Władysław i Maksymilian Kozłowscy ujęci są w „Nowym spisie weteranów 1863 roku”¹⁰.

W Ufie znalazł się na zesłaniu również Józef Kurzeniecki. Jego podobizna (F-5144) opatrzona została opisem: „Józef Kurzeniecki w Ufie 20 grudnia 1863”. Innego zesłańca przedstawia kolejna fotografia (F-5119). Starszy mężczyzna z wąsami i brodą to pochodzący z Litwy Michał Soroko (b.d. – 1865) uczestnik powstania, skazany za udział w powstaniu i zesłany do Ufy, zmarł tam w roku 1865. Wspominał o nim Jakub Gieysztor. Jak pisał, „pocziwy Michał Soroko” usługiwał Gieysztorowi i mieszkającym z nim Władysławowi Sołtanowi oraz Kazimierzowi Szetkiewiczowi¹¹.

Wśród Polaków w Ufie był Antoni Stachowski. Na odwrocie fotografii (F-5153) zanotowano: „Antoni Stachowski. 1865 r. Maja 10 d. Ufa”. Przebywał tam też inny uczestnik walk 1863 roku Emil Podczaski. Na odwrocie jego fotografii (F-5120) znalazła się adnotacja: „Emile Podczaski z Ufy, prosi o zachowanie w łaskawej pamięci d. 22 czerwca 1865 r.” Zdjęcie zostało wykonane w zakładzie fotograficznym G. Scherrera w Ufie. Niewiele wiadomo o innym zesłańcu, którego wyrok carski zagnał do Ufy. Uwieczniony na fotografii (F-5124) siedzący mężczyzna – jak informuje opis na odwrocie – nazywał się Jan Kulwieć (przebywał w Ufie w roku 1865). W gronie zesłańców był Konstanty Hrynkiewicz. Nie wiadomo, gdzie wykonano fotografię (F-5201) przedstawiającą siedzącego mężczyznę z brodą i wąsami. Z opisu wynika, że pod koniec kwietnia 1865 roku przebywał w Ufie.

W roku 1866 przebywał na zesłaniu Wincenty Baranowicz, uczestnik walk powstańczych na Litwie, syn obywatela ziemskiego Sylwestra i Wincentyny

⁹ Muzeum Niepodległości – kartoteka więźniów X Pawilonu; AGAD, ZGP, sygn. 4, k. 396.

¹⁰ *Weterani 1863 r. w sześćdziesiątą rocznicę powstania*, Warszawa 1923, s. 73.

¹¹ W. Śliwowska, *Syberia w życiu i pamięci Gieysztorów...*, op. cit., s. 30.

z Wołk-Karaczewskiej. W powstańcze działania zaangażowane było rodzeństwo Wincentego, które trafiło również na zesłanie. Fotografia (F-5152) opatrzona została komentarzem: „Wincenty Baranowicz 13/1 lutego 1866 roku Ufa”.

Na jednej z fotografii (F-5232) uwieczniony został Franciszek Tarczyński¹². Pochodził z guberni płockiej, urodził się 19 września 1833 roku w Łęczycy w zubożałej rodzinie szlacheckiej Kazimierza i Marianny z Grodzickich. W 1850 roku ukończył Gimnazjum Gubernialne w Płocku, a w latach 1853-1857 studiował w Szkole Sztuk Pięknych w Warszawie. Potem wrócił do Płocka, gdzie zajmował się zawodowo fotografią, malował też obrazy o tematyce religijnej (m.in. obraz Matki Boskiej do kościoła w Bonisławiu i Sikorzu).

W 1863 roku zaangażował się w działalność konspiracyjną. Decyzją Naczelnika Miasta Płocka został we wrześniu 1863 roku mianowany okręgowym w Organizacji Narodowej Miasta Płocka. Po upadku powstania podzielił los wielu jego uczestników i został zesłany na cztery lata do Ufy. Tam zajmował się fotografią i malarstwem. Po powrocie z zesłania w roku 1868 zamieszkał w Płocku, od roku 1877 uczył kaligrafii i rysunku (m.in. od 1880 w płockim Gimnazjum Żeńskim), a amatorsko zajmował się archeologią¹³. Choć był samoukiem, jego wnikliwe badania zyskały uznanie. Działania Tarczyńskiego zostały docenione, lwowskie Towarzystwo Archeologiczne zaprosiło go w 1883 do grona swoich członków, w 1885 został członkiem-korespondentem Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie, w 1889 członkiem czynnym Krakowskiego Towarzystwa Numizmatycznego. Zgromadził bogatą kolekcję, a jego mieszkanie zamieniło się w prywatne muzeum. Zbiory liczące ponad 5 tysięcy obiektów przekazał księdzu kanonikowi Tomaszowi Kowalewskiemu. Na początku XX wieku stały się one podstawą ekspozycji archeologicznej w Muzeum Diecezjalnym w Płocku. Publikował wyniki swoich badań w prasie („Tygodnik Ilustrowany”, „Wędrowiec”, „Światowid”, „Echa Płockie i Łomżyńskie”). W styczniu 1900 roku otrzymał nagrodę za podejmowane działania od Kasy imienia Mianowskiego¹⁴. Tarczyński zmarł w nocy z 29 na 30 czerwca 1900 roku podczas prac wykopaliskowych prowadzonych w Romanowie niedaleko Sierpca. Został pochowany w Kurowie.

W zakładzie fotograficznym „Nowaja Fotografija” w Moskwie wykonane zostało zdjęcie (F-5146) przedstawiające Jana Musiałowskiego¹⁵. Na odwrocie zapisał on dedykację (niestety, nie wiemy, komu podarował swoją podobiznę): „W dowód szacunku i poważania Jan Musiałowski w Ufie 2 lipca/20 czerwca 1865 r.”.

Z opisu na odwrocie kolejnego zdjęcia (F-5137) wynika, że w Ufie jesienią 1865 r. przebywali Helena (z Bienieckich) i Józef Szepietowscy. Fotografie dali komuś na pamiątkę, bo zapis brzmi: „Poleca się pamięci z Bonieckich Helena Szepietowska i Józef d. 25/9 1865 r. Ufa”.

W kolekcji Wandy Umińskiej są też zdjęcia grupowe. Jedno z nich (F-5147) przedstawia trzech stojących mężczyzn, z których dwóch ubranych

¹² AGAD, ZGP, sygn. 10, k. 1130.

¹³ Prowadził wykopaliska, opisał groby ciałopalne z V w p.n.e., stworzył archeologiczną mapę guberni płockiej.

¹⁴ A. Lutyńska, *Franciszek Tarczyński 1833-1900*, „Notatki Płockie” 1960, nr 5, s. 17.

¹⁵ AGAD, ZGP, sygn. 9, k. 857.

jest w wojskowe szynele. Na odwrocie znalazł się opis: „Pawłowski, Lubatyński i Błażejowski w Ufie 1866 r.”. Są duże problemy ze znalezieniem szczegółowych danych o tych postaciach, tym bardziej, że w opisie brak imion. W wykazach zesłańców nazwisko Pawłowski powtarza się wielokrotnie, ale trudno dociec, która z tych postaci znajduje się na fotografii.

Kilka fotografii przedstawia – jak wynika z opisów na odwrocie – zesłańców, którzy trafili do Kazania. Był wśród nich Ludwik Koch. Los rzucił go na zesłanie przed powstaniem, bo jak wynika z dedykacji swoją podobiznę (F-5142) ofiarował towarzyszowi podróży Alfonsowi Mieczysławskiemu 16 sierpnia 1862 roku („Alfonsowi Mieczysławskiemu ofiarując proszę o wspomnienie i pamięć przyjaciela dożgonny i towarzysz podróży Ludwik Koch. Kazania 16 sierpnia 1862 r.”).

Z opisów na fotografiach wyłania się obraz losów zesłańców. Chociaż, jak w przypadku jednej z fotografii (F-5354) nie znamy osoby na niej uwiecznionej, to wiemy, że z Kazania Polacy byli transportowani do Ufy („W dowód szacunku i mile spędzonych chwil podróży z Kazania do Ufy 1864 rok”). Ślad odbytej podróży do Kazania znajdujemy w przypadku Józefa Polakowskiego, który dotarł tam w sierpniu 1862 roku. Uwieczniony na fotografii (F-5139) młody mężczyzna w wojskowym szynelu zadedykował zdjęcie „towarzyszowi podróży i przyjacielowi”. W Kazaniu przebywał Emil Rajzacher¹⁶. Fotografia (F-5282) przedstawiająca siedzącego na sofie mężczyznę została komuś подарowana, bo na odwrocie znalazł się zapis: „Polecając się łaskawej pamięci proszę o przyjęcie dnia 19 września 1864 w Kazaniu Emil Rajzacher”.

Zestaw fotografii w kolekcji Umińskiej jest – można powiedzieć – dość przypadkowy. Obok omówionych już postaci, które los rzucił do Ufy czy Kazania, są tam też zdjęcia zesłańców skazanych na pobyt w innych miejscowościach Rosji. Fotografie wykonane zostały z reguły w Warszawie, zaś opisy na odwrocie często zawierają cenne informacje o losach tych osób.

Przykładem zdjęcie (F-5196) wykonane w Warszawie w 1863 roku, w zakładzie fotograficznym Jan Mieczkowski. Przedstawia Bolesława Skalskiego (ok. 1840–1864), pochodzącego z Lwowa uczestnika powstania¹⁷. Przed wybuchem powstania mieszkał w Warszawie, gdzie zajmował się fotografowaniem, uczestniczył też czynnie w konspiracji. W roku 1863 walczył w oddziale J. Łakińskiego, odznaczył się w bitwie pod Szczawinem Kościelnym. Potem walczył w oddziale A. Seyfrieda, w jednej z bitew został ranny, po pobycie w powstańczym szpitalu trafił do oddziału S. Lipińskiego, z którym przedostał się na Wołyń i trafił do niewoli. Na mocy wyroku został zesłany do Krasnojarska, gdzie zmarł na początku 1864 roku. Z opisu na odwrocie fotografii dowiadujemy się, że „Bolesław Skalski ranny dostał się do niewoli leżał długo w szpitalu w Lublinie, nie wyleczony dobrze z ran wysłany zmarł w Krasnojarsku nie doszedłszy miejsca swego przeznaczenia”.

W kolekcji jest też fotografia jednego z uczestników powstania nadbajkalskiego Władysława Kotkowskiego (F-5287)¹⁸. Zdjęcie zostało wykonane

¹⁶ Chodzi zapewne o Emilianę Rajzacher: AGAD, ZGP, sygn. 9, k. 878.

¹⁷ AGAD, ZGP, sygn. 3, k. 103.

¹⁸ AGAD, ZGP, sygn. 4, k. 727.

w roku 1861 w Warszawie, w zakładzie fotograficznym Grzegorza Sachowicza. Przedstawia postać młodego mężczyzny. Kotkowski miał wówczas pewnie zaledwie 19 lat, urodził się około 1842 roku. Był pisarzem w urzędzie celnym w Warszawie, później pomocnikiem naczelnika stacji Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej w Radomiu. W 1862 roku należał do policji narodowej w Warszawie, był wyznaczany do specjalnych akcji, m.in. 8 listopada 1862 roku brał udział w zamachu na naczelnika tajnego wydziału kancelarii namiestnika P. Felknera. Podczas branki został wcielony do armii rosyjskiej i przewieziony do Charkowa. Tam – na podstawie zeznań innego uczestnika tego zamachu – został aresztowany i skazany na 15 lat robót katorżniczych¹⁹. W trakcie pobytu na Syberii dowodził polskim oddziałem podczas powstania nadbajkalskiego w 1866 roku. Celem powstania było wywołanie zbrojnej rebelii, uwolnienie katorżników, rozszerzenie walk na teren Rosji, a nawet Królestwa Polskiego albo ucieczka do Chin. Powstanie nie udało się, w walkach zginęło 38 powstańców, około 680 zostało osadzonych w więzieniach, ponad 400 wydłużono wyroki. Przywódców – w tym Kotkowskiego – skazano na śmierć. W liście do rodziny opisał przebieg powstania, zdał też relację z procesu²⁰. Karę śmierci wykonano 27 listopada 1866 roku, w chwili śmierci Kotkowski miał 24 lub 26 lat²¹.

Fotografia (F-5203) wykonana w zakładzie Karola Beyera w Warszawie około 1863 roku przedstawia Włodzimierza Zarzyckiego. Z opisu dowiadujemy się, że został on „skazany na 15 lat ciężkich robót w Usoli, zmarł po kilkuletnim tam pobycie”. Przed wybuchem powstania pracował w Wydziale Górnictwa w Komisji Przychodów i Skarbu. Od października 1863 roku był wydziałowym w Organizacji Miejskiej, w grudniu wysłano go do Drezna. Był odpowiedzialny za utrzymanie kontaktów między drezdeńskim Towarzystwem Patriotów Polskich a Głównym Komitetem Rewolucyjnym. Został aresztowany i skazany na 8 lat katorgi, zmarł w Usolu²².

Przebywał tam też Henryk Wohl (1842-1907) przedstawiony na fotografii (F-5149) wspólnie z Tomaszem Ilnickim. Nie wiadomo, gdzie wykonano

¹⁹ E. Niebelski, *Polscy „buntownicy” straceni w Irkucku po powstaniu nadbajkalskim 15/27 listopada 1866 roku*, [w:] *Zesłańcy postyczniowi w Imperium Rosyjskim. Studia dedykowane Profesor Wiktorii Śliwowskiej*, red. E. Niebelski, Lublin–Warszawa 2008, s. 70.

²⁰ List przytacza: A. Iwański, *Pamiętniki 1832-1876*, Warszawa 1968, s. 510-511.

²¹ Opis egzekucji: E. Niebelski, *Polscy „buntownicy”...*, op. cit., s. 76-77. O śmierci Kotkowskiego: D. Małyszek, *Powstanie nad Bajkałem 1866 roku w polskiej prasie emigracyjnej*, [w:] *Zesłańcy postyczniowi w Imperium Rosyjskim...*, op. cit., s. 97, 100. Szerzej o powstaniu i udziale Kotkowskiego: P. Deręgowski, *Powstanie nadbajkalskie*, [w:] A. Kuczyński, *Syberia. 400 lat polskiej diaspory. Zesłania, martyrologia i sukces cywilizacyjny Polaków. Rys historyczny. Antologia*, Krzeszowice 2007, s. 257-269.

²² Miejscowość położona nad Angarą, ok. 70 km od Irkucka. Typowe rosyjskie miasteczko, z cerkwią, koszarami i budynkami urzędowymi. Zsyłani tam powstańcy, a także zbrodniarze i kryminaliści, byli wykorzystywani do ciężkiej pracy w warzelniach soli, w kuźniach, zakładach stolarskich. W powszechnej opinii było to jednak jedno z łagodniejszych miejsc na Syberii. Przebywali tam zesłańcy z rodzinami, inteligencja i osoby uprzywilejowane. Przez Usolę przewinęło się około 200 polskich zesłańców. Wielu z nich pozostawiło po sobie obszerne zapiski.

fotografię, być może w Usolu (tam przebywał też Ilnicki) lub przed zesłaniem w Warszawie.

Wohl jest postacią szerzej znaną. Pochodził z Warszawy, gdzie ukończył gimnazjum, potem był urzędnikiem bankowym. Brał czynny udział w manifestacjach patriotycznych poprzedzających powstanie, był członkiem Wydziału Skarbu Rządu Narodowego. Został aresztowany w październiku 1863 roku i skazany na 10 lat katorgi. Odbył długą drogę, w 1865 trafił do Usola, tam – jak wspomina August Iwański – udzielał się w gronie zesłańców²³. Później – po zwolnieniu – zamieszkał w Irkucku, gdzie był zatrudniony w filii Syberyjskiego Banku Handlowego, współpracował z Benedyktem Dybowskim. Cieszył się powszechnym szacunkiem, jak pisał Lasocki:

Postać to wyjątkowo szlachetna, gorąco kraj miłująca, a obok najidealniejszego poglądu na sprawy powszechne odznaczająca się wysoką praktycznością w ocenie i wyborze środków wierzających do urzeczywistnienia raz wytkniętego i ściśle określonego celu²⁴.

Podczas pobytu w Usolu gromadził finanse, które potem przeznaczył na cele społeczne. Kwotę 20 tys. rubli – jak wspomina August Iwański – otrzymała Akademia Krakowska i została zobligowana do udzielania wsparcia finansowego włościaninowi lub Żydowi po polsku piszącemu. Swoją bibliotekę Wohl ofiarował publicznej bibliotece w Warszawie²⁵. Do rodzinnej Warszawy wrócił w 1883, pracował w Zarządzie Drogi Żelaznej Fabryczno-Łódzkiej. Wolny czas poświęcał na samokształcenie, poza ekonomią interesował się historią. Stale wzbogacał księgozbiór. Jak podkreślał z szacunkiem August Iwański-junior „był to człowiek wybitnie inteligentny, gruntownie i wszechstronnie wykształcony. Z tymi walorami umysłowymi łączył dobroć i życzliwość dla ludzi i gorący patriotyzm polski”²⁶. Zmarł w 1910, został pochowany na cmentarzu żydowskim. Podczas uroczystości pogrzebowych dr Ignacy Baranowski podkreślał jego zasługi i wielki patriotyzm²⁷. Ze składek społecznych ufundowano mu pamiątkowy nagrobek.

Tomasz Ilnicki (1813-1866) był prawnikiem, pracował jako urzędnik w Banku Polskim, należał do Organizacji Narodowej, od lipca 1863 był głównym kasjerem Wydziału Skarbu Rządu Narodowego. Z niezwykłą gorliwością i skrupulatnością prowadził kasę Rządu Narodowego. W jego mieszkaniu (żoną była Maria Majkowska, poetka, pisarka, działaczka kobiecej organizacji „piątki”) ukrywał się Józef Kajetan Janowski. Ilnickiego aresztowano w kwietniu 1864 roku i skazano na 15 lat robót w kopalniach syberyjskich. W dniu

²³ A. Iwański, *Pamiętniki ...*, op. cit., s. 216, 514; Z. Wójcik, *Zesłańcze losy uczonych polskich w Rosji*, „Niepodległość i Pamięć” 1995, nr 1, s. 131; S. Brzozowski, *Zabór rosyjski – Królestwo Polskie*, [w:] *Historia nauki polskiej*, pod red. B. Suchodolskiego, t. IV 1863-1918, red. Z. Skubała-Tokarska, Wrocław 987, s. 195.

²⁴ W. Lasocki, *Wspomnienia z mojego życia*, t. II *Na Syberji*, Kraków 1934, s. 329.

²⁵ A. Iwański, *Pamiętniki ...*, op. cit., s. 236.

²⁶ A. Iwański (junior), *Wspomnienia 1881-1939*, Warszawa 1968, s. 279.

²⁷ W. Śliwowska, *Syberia w życiu i pamięci...*, op. cit., s. 365; R. Żebrowski, *Wohl Henryk*, [w:] *Polski słownik judaistyczny: dzieje, kultura, religia, ludzie*, t. 2, Warszawa 2003, s. 804.

11 sierpnia został wywieziony do Usola, gdzie życie nie było spokojne. Wynikało to z faktu, że obok uczestników powstania zsyłano tam zbrodniarzy i kryminalistów. Dochodziło do napadów i morderstw. Ofiarą takiego zdarzenia był Ilnicki. Według Wacława Lasockiego „pod wpływem gwałtownej tęsknoty za krajem uległ rozstrojowi władz umysłowych i w tym stanie stał się pastwą zbrodni, zwabionej złotym sygnetem na palcu i nadzieją zdobycia kilkudziesięciu rubli”²⁸. Został zamordowany przez nieznaną rabusiów, ciało znaleziono na jednej z wysp na Angarze. Pochowano go w Usolu²⁹.

Wśród fotografii jest zdjęcie (F-5215) ks. Józefa Steckiego, który przebywał w więzieniu w Pietrowsku. Fotografia została wykonana w zakładzie Karola Beyera w Warszawie w roku 1861. Stecki ukończył seminarium duchowne, a potem studiował w Akademii Duchownej Rzymsko-Katolickiej w Warszawie. Od roku 1854 pełnił posługę duszpasterską jako wikariusz w warszawskim kościele św. Karola Boromeusza. W okresie poprzedzającym wybuch powstania był współorganizatorem i uczestnikiem manifestacji patriotycznych. Po zajęciach 27 lutego 1861 roku – jako członek Delegacji Miejskiej – prowadził negocjacje z władzami carskimi. Należał do komitetu organizacyjnego pogrzebu arcybiskupa Fijałkowskiego. Za działalność patriotyczną został aresztowany i osadzony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Wyrokiem namiestnika Królestwa Polskiego zesłano go w lutym 1862 roku do guberni tobołskiej. Do kraju powrócił – na mocy amnestii – w sierpniu 1862 roku i ponownie objął posadę wikarego w swojej parafii. Po wybuchu powstania wygłaszał kazania o treści patriotycznej, co naraziło go na represje władz carskich. Ponownie aresztowany trafił 24 października 1863 roku do Cytadeli i został skazany na 10 lat katorgi syberyjskiej i pozbawienie praw stanu³⁰. Trafił do guberni irkuckiej, a potem, po skróceniu kary, skierowano go na osiedlenie do wsi Tunka w pobliżu jeziora Bajkał, gdzie dołączył do licznej grupy duchownych³¹. W 1874 przesiedlono go do Kostromy, tam zmarł w 1880 roku³².

Zdjęcia z kolekcji Umińskiej dostarczają też wiedzy na temat relacji łączących zesłańców. Z dedykacji na fotografii (F-5144) dowiadujemy się o serdecznej przyjaźni łączącej Władysława Lubatyńskiego (być może chodzi o wspomniane-

²⁸ W. Lasocki, *Wspomnienia...*, op. cit., s. 325.

²⁹ F. Ramotowska, *Ilnicki Tomasz*, PSB, t. 10, Wrocław–Warszawa–Kraków 1962, s. 156-157; AGAD, ZGP, sygn. 4, k. 434.

³⁰ AGAD, ZGP, sygn. 3, k. 217; H. Cederbaum, *Powstanie styczniowe. Wyroki Audytoriatu Polowego z lat 1863, 1864, 1865 i 1866*, Warszawa 1917, s. 9; B. Jędrzychowska, *Polscy zesłańcy na Syberii (1830–1883). Działalność pedagogiczna, oświatowa i kulturalna*, Wrocław 2000, s. 234.

³¹ W Tunce w grudniu 1867 roku przebywało 80 polskich duchownych, potem liczba wzrosła do 156: M. Janik, *Dzieje Polaków na Syberji*, Kraków 1928, s. 334, tam też wykaz wspomnień księży przebywających w Tunce: s. 334-335. O ks. Steckim wspominał S. Matraś, *Podróże do Syberii po moskiewskich etapach w 1863 i 1864 roku*, Lublin 2010, s. 248-255, 362. O zesłanych księżach: E. Niebelski, *Tunka. Syberyjskie losy księży zesłańców 1863 roku*, tom 24, Wrocław 2011; ks. Mikołaj Kulaszyński, *Tunka – osada polskich księży*, [w:] A. Kuczyński, *Syberia. 400 lat polskiej diaspory. Zesłania, martyrologia i sukces cywilizacyjny Polaków. Rys historyczny. Antologia*, Krzeszowice 2007, s. 302-318.

³² Muzeum X Pawilonu – kartoteka więźniów Cytadeli.

go już Lubatyńskiego z fotografii grupowej) z Konstantym Cydzikiem. Obaj mężczyźni musieli też odbyć wspólnie drogę na zesłanie („na pamiątkę razem przeżytego w różnych kolejach czasu”), zanim trafili do Tobolska (fotografia opatrzona jest datą 26 października 1865). Konstanty Cydzik przebywał tam jeszcze w roku 1871, był obecny na chrzcie Jana Wandalina Pietrkiewicza³³.

Na odwrocie innej fotografii (F-5263) przedstawiającej mężczyznę w cywilnym stroju z wąsami i brodą zapisano: „Strumiłło Litwin, powstaniec, a potem długoletni Sybirak”. Trudno jednak podać jakieś szczegóły związane z tą osobą³⁴.

Ciekawym komentarzem opatrzona jest fotografia Maksymiliana Bartodziejskiego³⁵ (F-5216). Pochodzący z guberni radomskiej uczestnik powstania, a potem zesłaniec zmarł na Syberii, o czym informuje dopisek na odwrocie. Natomiast Bartodziejski zamieścił tam następujący tekst: „Jak żyje Polska, jak żyją Węgrzanie, tak nasza przyjaźń niech się nie rozstanie M. Bartodziejski D. 20/9 64 r.”. Należy tylko żałować, że nie wiadomo, komu ofiarował swoją podobiznę.

Na fotografiach nie mogło zabraknąć kobiet, wszak i one dzieliły trudy zesłania skazane za udział w powstaniu lub towarzysząc mężom czy narzeczonym w drodze na Sybir. W Ufie przebywała Laura Lubatyńska-Szaniawska, której podobizna (F-5230) trafiła do zbiorów Wandy Umińskiej. Została uwieczniona w towarzystwie dwóch innych kobiet, niestety, nie wiadomo, kim były, nieznane jest też miejsce i czas wykonania zdjęcia.

Kolekcja fotografii zgromadzonych przez Wandę Umińską jest niewątpliwie cennym przyczynkiem do badań nad losami zesłańców styczeńskich. Na zdjęciach uwieczniono twarze ludzi zaangażowanych w działalność patriotyczną, o bogatych życiorysach. Opisy i dedykacje na odwrocie zdjęć dostarczają wiedzy o ich życiu, kontaktach i przyjaźniach.

Pomimo że od upadku powstania mija właśnie 150 lat, to wiele postaci powstańców-zesłańców czeka jeszcze na opracowanie ich biogramów. Kolekcja Umińskiej może być inspiracją do podjęcia takich działań. Fotografie dostarczają również wiedzy o ówczesnych ubiorach, mogą być też materiałem do kolejnych opracowań na temat dziejów zakładów fotograficznych w kraju i na Syberii³⁶.

³³ www.kdkv.narod.ru/1864/Ssilka-zapSib.html#15 [dostęp 20 czerwca 2014].

³⁴ Michał Janik wymienia Ignacego Strumiłło z Wołynia, który przebywał w Tobolsku w I połowie XIX wieku: M. Janik, *Dzieje Polaków...*, op. cit., s. 176. W powstaniu uczestniczył Leon Strumiłło Zgierski, ale nie był zesłańcem, po upadku powstania osiadł w Bochni (odnaleźć go można na fotografii w zbiorach Muzeum Historycznego m.st. Warszawy).

³⁵ AGAD, ZGP, sygn. 4, k. 664; wymienia go w swoich zapiskach – podając, że trafił do Usola – Wacław Lasocki, *Wspomnienia...*, s. 350.

³⁶ J. Ihnatowiczowa, A. Piotrowski, *Spis polskich fotografów i firm fotograficznych działających w latach 1839-1914*, Warszawa 1996; A. Maciesza, *Historia fotografii polskiej w latach 1839-1889*, Płock 1972; I. Płużewski, *Spojrzenie w przeszłość polskiej fotografii*, Warszawa 1982; W. Źdźarski, *Historia fotografii warszawskiej*, Warszawa 1974.



Emil Podczaski (F-5120)



Helena i Józef Szepietowscy (F-5127)



Henryk Wohl i Tomasz Ilnicki (F-5149)



Laura Lubatyńska-Szaniawska (F-5230)



Ludwik Koch (F-5142)



Ks. Józef Stecki (F-5215)



Zdjęcie grupowe: Pawłowski, Lubatyński i Błażejowski (F-5144)



Bolesław Skalski (F-5196)



Jan Musiałowski (F-5146)

ŁUKASZ KONIAREK

**„ZNAK I KARABIN DO RĘKI BIERZEM”
CZYLI WYSTAWA O POWSTANIU STYCZNIOWYM
I JEGO RZĄDZIE W OSSOLINEUM**

25 kwietnia br. otwarta została w reprezentacyjnych salach Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, zwanych salami „Pod Kopułą”, wystawa zatytułowana „Znak i karabin do ręki bierzem. Powstanie styczniowe i Rząd Narodowy 1863-1864”. Można by zapytać dlaczego Ossolineum zorganizowało ekspozycję poświęconą powstaniu 1863-1864 r. w rok po oficjalnych obchodach okrągłej 150. rocznicy wybuchu styczniowej insurekcji. Termin otwarcia nie był jednak przypadkowy. Przede wszystkim, organizatorzy wystawy pragnęli przypomnieć, że powstanie styczniowe było najdłuższym polskim zrywem niepodległościowym, a ostatnie walki toczyły się jeszcze w 1865 r. Ale przypomnianie powstania jedynie poprzez jego militarne dzieje byłoby bardzo niepełne. Dlatego w podtytule ekspozycji znalazły się słowa „Rząd Narodowy” – bowiem działalność Rządu Narodowego jako centralnej powstańczej władzy to najbardziej niezwykle zjawisko związane z powstaniem styczniowym.

Myśląc o powstaniu mamy zazwyczaj przed oczyma romantycznych partyzantów w kożuszkach i rogatywkach, zbrojnych w myśliwskie sztucery i kosy, prowadzących nierówną walkę z wojskiem rosyjskim. W zbiorowej świadomości Polaków obraz taki utrwał się dzięki genialnym cyklom rysunków Artura Grottgera czy obrazom Maksymiliana Gierymskiego. Mało kto kojarzyć będzie powstanie z podziemnym Rządem i jego niezwykłymi dokonaniem. A przecież właśnie w latach 1863-1864 istniało podziemne państwo polskie, funkcjonujące zupełnie sprawnie pod boki rosyjskich władz, urzędników, wojska i policji. Dość przypomnieć, że Rząd Narodowy utworzył własną strukturę administracyjną z licznymi przedstawicielami na poszczególnych szczeblach, pobierał podatki, emitował pieniądze, ogłaszał pożyczki narodowe przeznaczone głównie na zakup broni i wyposażenia dla walczących oddziałów, dysponował własnym aparatem sprawiedliwości, własną prasą, pocztą, a nawet licznymi i sprawnymi przedstawicielstwami dyplomatycznymi w wielu europejskich stolicach. Trójpolowy herb Rządu Narodowego, a ściśle podziemnego państwa polskiego, cieszył się wielkim poważaniem – dokumenty rządowe opatrzone odciskami pieczęci Rządu Narodowego (popularnie nazywanymi „pieczętkami”) przechowywane były w wielu polskich domach jeszcze wiele dziesięcioleci po upadku powstania jako narodowe relikwie.

W 1924 r. Józef Piłsudski podczas odczytu poświęconego powstaniu styczniowemu i jego znaczeniu wypowiedział znamienne słowa:

[...] wielkość naszego narodu w wielkiej epoce 1863 r. istniała, a polegała ona na jedynym może w dziejach naszych rządzie, który, nieznanym z imienia, był tak szanowany i tak słuchany, że zazdrość wzbudzać może we wszystkich krajach i u wszystkich narodów¹.

Doskonale oddają one to, co do dziś uznawane jest za największe dokonanie insurgentów styczniowych.

Rok 1864 jest niezwykle istotny, gdy spoglądamy na powstanie poprzez pryzmat jego politycznych dziejów. 5 sierpnia tego roku na stokach warszawskiej cytadeli, na oczach tysięcy mieszkańców stolicy, powieszono ostatnie członki ostatniego Rządu Narodowego: Jan Jeziorański, Roman Żuliński, Józef Toczyski i Rafał Krajewski oraz ostatni dyktator powstania – Romuald Traugutt. Ta spektakularna kaźń miała zabić w Polakach jakiegokolwiek marzenia o niepodległości, miała uzmysłwić bezcelowość jakiegokolwiek zrywów skierowanych przeciw państwu Romanowów, Hohenzollernów i Habsburgów. A jednak już 50 lat i jeden dzień później, 6 sierpnia 1914 r., z krakowskich Oleandrów wyruszyła w kierunku Kielc kompania kadrowa Związku Strzeleckiego, załazek przyszłych Legionów Polskich, a wkrótce odrodzonego Wojska Polskiego. Ta niezwykła zbieżność dat musiała mocno oddziaływać na świadomość młodych żołnierzy w siwych strzeleckich mundurach. Wkraczali na ziemię Królestwa Kongresowego jako pierwszy od czasów insurekcji styczniowej regularny oddział polskiego wojska, stając się tym samym następcami swych dziadów – powstańców z 1863-1864 r. Należy pamiętać, że w okresie międzywojennym data śmierci R. Traugutta była dobrze znana każdemu polskiemu dziecku, a kult powstania i ostatnich żyjących jego weteranów stały się istotnymi elementami tradycji w odrodzonej Rzeczypospolitej.

Data otwarcia wystawy w Ossolineum zbiegła się z jeszcze jednym wydarzeniem. Otóż 24 kwietnia 1863 r. w potyczce z Rosjanami w pobliżu Józefowa w obecnym powiecie zamojskim zginął żołnierz oddziału Marcina Borelowskiego-Lelewela – Mieczysław Romanowski. Pochodzący z Pokucia, dość popularny około połowy XIX w. poeta i dramaturg, wysławiający w swych wierszach i poematach różne wydarzenia z rodzimych dziejów, jednocześnie konspirator, w przededniu wybuchu powstania prezes lwowskiej delegatury Komitetu Centralnego Narodowego, tzw. Ławy Głównej Lwowskiej, był pracownikiem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie, najpierw od 1857 r. jako stypendysta, a później od 1860 r. na stanowisku skryptora literackiego. Na wieść o rozpoczęciu walk w Królestwie, wraz z grupą ochotników ruszył ku granicy. Jego oddziałek został jednak zatrzymany przez austriacką policję przed przekroczeniem kordonu, a sam Romanowski trafił na kilka tygodni do więzienia. Zwolniony na skutek licznych interwencji rodziny i przyjaciół u władz, ponownie wyruszył za kordon do powstania. Zgłosił się do formującego się w Galicji oddziału Marcina Borelowskiego-Lelewela, z którym 8 kwietnia 1863 r. wkroczył do Królestwa. Wraz z swym oddziałem uczestniczył w bojach z Rosjanami w rejonie Puszczy Solskiej, m.in. w bitwie pod Studziennicą. Zginął od rosyjskiej kuli podczas odwrotu po potyczce pod Józefowem.

¹ Piłsudski Józef, *Wybór pism*, Wrocław – Warszawa – Kraków 1999, s. 255.



Fragment wystawy poświęcony postaci powstańca i poety
Mieczysława Romanowskiego. Fot. Adam Dealer

Mieczysław Romanowski ma na ossolińskiej wystawie ważne miejsce. Nie tylko ze względu na to, że był pracownikiem Zakładu. Jest on reprezentantem ostatniej generacji poetów romantycznych, zwanych niekiedy „przedburzowcami”. Jego losy są zwierciadłem tragicznych losów całego pokolenia ostatnich romantyków, marzących o zbrojnej walce z zaborcami, o odbudowie niepodległej Polski. Te marzenia przybrały w 1863 r. formę nierównej, często beznadziejnej, walki z wielokrotnie silniejszym przeciwnikiem.

Wystawa pt. „*Znak i karabin do ręki bierzem...*” zbudowana została przede wszystkim w oparciu o przebogate zbiory Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, z których wybrano powstańcze druki i rękopisy, banknoty emitowane przez Rząd Narodowy, medale i odznaki upamiętniające wydarzenia 1863-1864 r., obrazy o tematyce powstańczej oraz fotografie styczniowych insurgentów. Ekspozycje te uzupełnione zostały o wspaniałą kolekcję siedemdziesięciu tłoków pieczętnych Rządu Narodowego udostępnioną na wystawę przez Lwowskie Muzeum Historyczne, które zgodziło się także wypożyczyć oryginalne sztandary powstańcze, kosy oraz laskę kurierską emisariusza Rządu Narodowego z ukrytą w trzonie szpadą. Wystawa jest więc okazją do zobaczenia tych unikalnych ekspozycji udostępnionych po raz pierwszy polskiej publiczności od czasów II wojny światowej. Dodatkowo w ramach ekspozycji prezentowana jest powstańcza broń oraz oryginalna czamarka pochodząca ze zbiorów wrocławskiego Muzeum Militariów – oddziału Muzeum Miejskiego Wrocławia. Wielką pomocą przy budowie ekspozycji pt. „*Znak i karabin do ręki bierzem...*” okazały się obiekty udostępnione przez wrocławskich kolekcjonerów skupionych w Stowarzyszeniu Miłośników Dawnej Broni i Barwy oraz obiekty wypożyczone z Muzeum Etnograficznego we Wrocławiu. Pozwoliło to na stworzenie ekspozycji różnorodnej, ale jednocześnie nie przeładownej i nie przytłaczającej widza nadmiarem ekspozycji.

Mieszcząca się w trzech salach wystawa ułożona została w taki sposób, by pokrótce opowiedzieć dzieje powstania styczniowego i powstańczego Rządu. Komentarze historyczne umieszczone zostały na osobnych planszach oznaczonych dla orientacji zwiedzających białą – czerwonymi wstążeczkami. Wystawę otwiera krótki wstęp poświęcony okresowi tzw. odwilży posewastopolskiej, czyli czasowi złagodzenia antypolskiego kursu w Królestwie Polskim po klęskę Rosji w wojnie krymskiej (jedną z decydujących bitew tego konfliktu było oblężenie rosyjskiej twierdzy – portu Sewastopola przez koalicyjne wojska brytyjskie, francuskie i tureckie). Okres ten datowany od ok. 1856 r. wiązał się z wielkimi nadziejami Polaków na powrót do stanu prawnego – administracyjnego sprzed wybuchu powstania listopadowego. Mimo nieprzejednanego wobec polskich oczekiwań stanowiska car zgodził się na drobne ustępstwa: zniesiony został stan wojenny na terenie Królestwa i Litwy, a nowym namiestnikiem w Królestwie został ks. Michaił Gorczakow, ogłoszono częściową amnestię dla emigrantów i akt łaski dla syberyjskich zesłańców, złagodzona cenzura, natomiast zamiast spodziewanego przywrócenia Uniwersytetu Warszawskiego w 1857 r. otwarta została Akademia Medyko-Chirurgiczna. W tym czasie zaczęły też kształtować się dwa niepodległościowe nurty: umiarkowany (zwany obozem „Białych”), nastawiony na dążenie do niepodległości drogami przede wszystkim politycznymi, skupiony wokół działaczy powstałego w 1857 r. Towarzystwa Rolniczego, oraz radykalny (obóz „Czerwonych”) – grupujący konspirato-

rów dążących do odzyskania niepodległości poprzez walkę zbrojną z Rosjanami. Rok 1860 to czas pierwszych manifestacji patriotycznych, które z czasem przybrały charakter masowy i objęły swym zasięgiem nie tylko ziemie Królestwa, ale także miasta na terenie dawnych wschodnich województw Rzeczypospolitej (tzw. ziem zabranych) oraz miasta w zaborze austriackim. Krwawe stłumienie manifestacji warszawskich zorganizowanych w rocznicę bitwy pod Grochowem 25 i 27 lutego 1861 r. zapoczątkowało okres tzw. żałoby narodowej, którego najbardziej charakterystycznym przejawem było noszenie biżuterii patriotycznej, a przede wszystkim czarnej biżuterii żałobnej. Rosyjskie represje doprowadziły do konsolidacji obozu „Czerwonych”, który szybko rozpoczął przygotowania do powstania. Zainicjowana przez, cieszącego się poparciem samego cara, margrabiego Aleksandra Wielopolskiego próba rozbicia polskiej konspiracji poprzez wyłapanie i wcielenie siłą do carskiego wojska najbardziej aktywnych działaczy niepodległościowych i konspiratorów, czyli tzw. branka, stała się bezpośrednią przyczyną przedwczesnego wybuchu powstania w noc z 22 na 23 stycznia 1863 r.



Żeliwny krzyż z okresu żałoby narodowej upamiętniający krwawo stłumione przez Rosjan manifestacje patriotyczne w Warszawie w lutym i kwietniu 1861 r.
Ze zbiorów ZNiO. Fot. Andrzej Niedźwiecki

Na wystawie zobaczyć można nieliczne pamiątki z okresu poprzedzającego wybuch powstania. Najciekawszym zespołem jest niewątpliwie niewielki zbiorek oryginalnej biżuterii patriotycznej z lat 1861-1862, w którym wyróżniają się przede wszystkim czarne żeliwne krzyże i złota obrączka noszone dla upamiętnienia masakr warszawskich w lutym i kwietniu 1861 r. Biżuterii towarzyszą nieliczne fotografie przedstawiające kobiety w czarnych żałobnych sukniach i mężczyzn w strojach narodowych z tzw. czarnymi karabelami u pasów. Część te uzupełniają oryginalne dokumenty i kopie fotografii najważniejszych uczestników wydarzeń z okresu manifestacji patriotycznych, m.in. prezesa Towarzystwa Rolniczego hr. Andrzeja Zamoyskiego, margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, oberpolicmajstra warszawskiego Fiodora Trepowa czy metropolitę warszawskiego arcybiskupa Antoniego M. Fijałkowskiego.



Złota obrączka patriotyczna z 1861 r. Widoczny napis: "18 KW: 1861" upamiętniający dzień wielkich manifestacji patriotycznych zorganizowanych w Warszawie na wieść o rozwiązaniu Towarzystwa Rolniczego. Zostały one wyjątkowo krwawo stłumione przez wojsko i żandarmerię rosyjską. Ze zbiorów ZNiO. Fot. Andrzej Niedźwiecki

Dodatkowo na ścianach w pierwszej sali wystawowej umieszczone zostały pochodzące ze zbiorów Ossolineum obrazy o tematyce powstańczej oraz fotograficzne powiększenia niektórych okazów biżuterii patriotycznej, pozwalające lepiej dostrzec ich niezwykle piękno. Uwagę zwraca zwłaszcza wspomniały obraz Antoniego Piotrowskiego (1853-1924), przedstawiający scenę powrotu rannego powstańca odprowadzanego przez swych towarzyszy do rodzinnego domu.

W korytarzyku łączącym pierwszą i drugą salę znalazła miejsce niewielka inscenizacja, odtwarzająca wygląd powstańczej kuźni i nawiązująca do najbardziej chyba trwałego i nośnego wyobrażenia związanego ze styczniową nocą 1863 r., jakim jest słynny rysunek A. Grottgera pt. „Kucie kos”. Sama zaś kosa bojowa od czasów insurekcji kościuszkowskiej jest symbolem polskich zrywów niepodległościowych. Zwiedzający, zwłaszcza młodzież, zobaczyć mogą jak z powszechnych narzędzi rolniczych – kos trawnych czy ostrzy do sieczkarni, tzw. rzezaków, osadzanych na sztorc na drzewcach powstawała groźna w starciu wręcz broń. Uzbrajanie powstańczych oddziałów (partii) w kosy było wynikiem niedostatku broni palnej w pierwszych tygodniach insurekcji styczniowej. Sytuacja ta uległa z czasem zmianie i już latem i jesienią 1863 r., dzięki działalności licznych agentów Rządu Narodowego prowadzących zakupy broni za granicami, wyposażenie powstańców w karabiny, karabinki i pistolety stało się wystarczające.

Druga sala wystawiennicza poświęcona została działalności Rządu Narodowego oraz militarnym dziejom powstania. Tu właśnie zobaczyć można piękną kolekcję rządowych tłoków pieczętnych, wśród której znalazły się tłoki na-

czelników i komisarzy wojskowych i cywilnych poszczególnych okręgów, województw, miast i powiatów. Zobaczyć można także unikalne tłoki związane z powstańczymi oddziałami, np. niezwykle rzadkie tłoki 3 kompanii Strzelców III Oddziału Wodza Naczelnego Ziem Ruskich czy kompanii IV kosynierów Wodza Naczelnego Ziem Ruskich. O tym, jak wiele znaczenie miały dla Polaków dokumenty opatrzone odciskiem pieczęci Rządu Narodowego pisał w 1924 r. Józef Piłsudski:

Gdzie wielkich [...] zabraknie, ludzie szukają symbolu siły, symbolu swej wartości, w instytucjach, w symbolicznych nieraz dziwolągach. W r. 1863 istniał taki symbol, który silnie, ba – może nieraz wszechwładnie panował nad ludźmi. Była nim pieczęć – pieczęć Rządu Narodowego².



Obraz olejny pędzla Antoniego Piotrowskiego pt. „Scena z powstania 1863 roku”.
Ze zbiorów ZNiO. Fot. Andrzej Niedźwiecki

Tłokom pieczętnym towarzyszą na ekspozycji oryginalne dokumenty i druki Rządu Narodowego, wśród których zobaczyć można np. unikalną odezwę dyktatorską Ludwika Mierosławskiego zatytułowana „Rodacy !” z 16 lutego 1863 r., dekrety i rozkazy Wydziału Wojny czy pismo informujące Polaków o sytuacji wojskowej powstania pt. „Wiadomości z pola bitwy”. Równie interesujące są emitowane przez Rząd banknoty i obligacje, którym poświęcona jest odrębna gablota wystawowa. Uwagę zwracają zwłaszcza druki pożyczek narodowych, wyróżniające się piękną szatą graficzną. Wśród banknotów znajduje się także niezwykle ciekawy eksponat, a mianowicie ręcznie spisany rejestr zatytułowany *Akta podatku narodowego 1863 r. Obwody ciężkowicki, grzybowski, krościeński, limanowski, nowosądecki, nowotarski, miasto Nowy Sącz*. To sporządzone przez komisarza obwodu sądeckiego Marcelego Drohojowskiego wykazy sum przekazanych na cele narodowe przez obywateli ziemskich wymienionych powiatów. Zawierają one jednak nie tylko dane liczbowe, ale także bardzo nieraz celne charakterystyki podatników i stopnia ich ofiarności.

² Tamże, s. 248.

Rodacy!

Aktem uroczystym wezwany przez Rząd Tymczasowy do kierowania powstaniem wywołanem przez wszechwładne Sprzysiężenie Narodu, staje na tej świętej ziemi jego pełnomocnikiem, z władzą Dyktatorialną.

Biorąc na moje barki ten zaszczytny trud, przysięgam w obliczu Boga i zbrojnego ludu, nie użyć mocy udzielonej mi przez Sprzysiężenie, jak tylko ku ścisłemu i sumiennemu spełnieniu Dziela, które Polska powstająca sama rozpoczęła i szlakiem tyła krwi bohaterskiej, już zakresliła.

Wyzwolić polskie kraje od najazdu Barbarzyńców, a ziemię polską przywrócić ludowi co od wieków ją uprawia, bez krzywdy dla innych, bratnich mu warstw społeczeństwa, oto zadanie ostatecznego wskrzeszenia Polski, a więc i granice władzy jaką mi Sprzysiężenie narodowe powierzyło.

Rodacy! Znam dzieje, ducha i wolę mojego narodu, bom je na sobie długim męczeństwem za żywota wyboleł! Wiem że Dyktatura powstańcza nie jest dostojnym, ale Czynem, i z czynem dokonany się kończy; więc czy trupem, czy żywego, ujrzenie mnie rozbrojonym przed Majestatem wyzwolonego Narodu.

Ale też ażeby taka Dyktatura nie pozostała czym wyrazem, musi wielki Naród co ją obwołał, musi Naród cały stanąć zbrojnie do jej boku, domyślnym i uprzedzającym wykonawcą wszystkich jej rozporządzeń. Polskiej Dyktaturze inni liktorowie na nie się nie przydadzą. Do broni! zatem, polski Narodzie; do broni wszelkiej i wszędy, jak rozległe dziedziny Twoje, jak rozmaite warstwy Twojego społeczeństwa, jak rozmaite wyznania Twojej wiary w Boga jedyne i w jego sprawiedliwość.

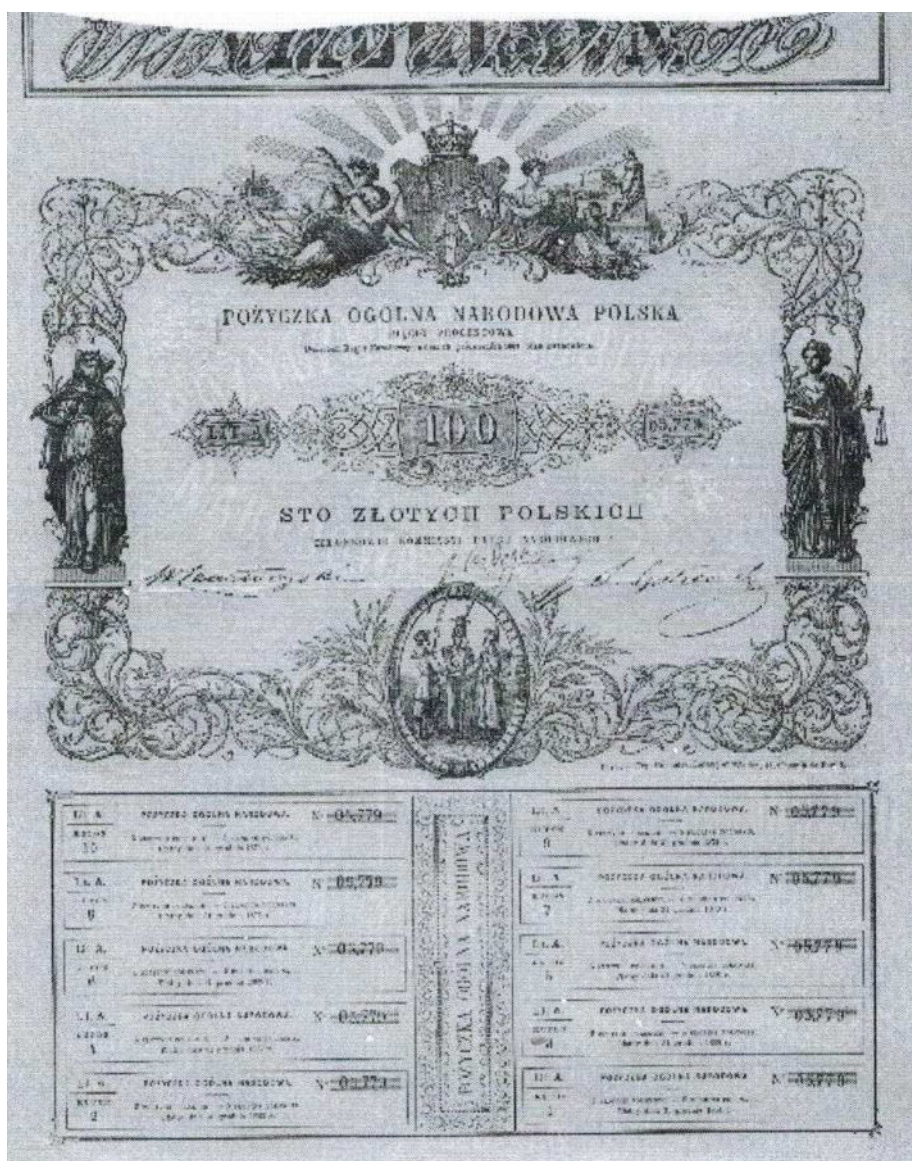
A nie lękaj się tylo-milionowy narodzie ażeby ci zabrakło oręża, byle każdy kawał polskiego żelaza znalazł dłoń co go poniesie przeciw garstkowi bagnatów, ginącym w powodzi wezbranego Powstania. Po temu, dość będzie braciom silniejszym mieniem i rozumem schylić się po te nieprzebrane chmary wiejskiego ludu, co od wieków, zdawało się, leżały biernymi świadkami i potęgi narodowej, i narodowej śmierci, a przecież na polach Raławic, na stosie Książa, w płomieniach Miłosławia i Wrześni, zmartwychwstały ze zwycięską kosą w rękę, na świadectwo zmartwychwstaniu kmiecej Ojczyzny.

Tak, raz jeszcze, raz ostatni zmartwychwstańcie Kmiecie; tylko wszyscy, tylko chmarą, tylko razem, od źródeł Wisły do ujść Dźwiny i Kodymy; zmartwychwstańcie w nieprzebranym lesie kos, pik, widel i cepów waszych, z siekierą u pasa; zmartwychwstańcie w trop za tą waszą awangardą walecznej Młodzieży, której Czar kazał Izami wskazać wam drogę na Sybir i na Kaukaz, a która od tyłu już niedziel wskazuje wam krwią swoją drogę do wolności i do Bożego błogosławieństwa; zmartwychwstańcie za jej świętym przykładem, a na łańcach których nikt już wam nie wydrze, bo strzeżonych własnym waszym zwycięstwem, wszyscy równi synowie jednej Matki Ojczyzny, wzniesiemy do wspólnego Ojca w niebiosach, pieśń dziękczynną, od której Aniołowie Piastowi rozplacą się z radości, a bramy wszech piekieł, wraz z jarzmem waszym, pękają na zawsze.

Na Polskiej ziemi, 16 Lutego 1863

DYKTATOR LUDWIK MIEROSŁAWSKI.

Odezwa gen. Ludwika Mierosławskiego z 16 lutego 1863 r.
Ze zbiorów ZNiO. Fot. Andrzej Niedźwiecki



Obligacja stała Pożyczki Ogólnej Narodowej na 100 złotych polskich z 1863/1864 r. Ze zbiorów ZNiO. Fot. Andrzej Niedźwiecki

Centralna część sali drugiej poświęcona została historii Rządu Narodowego oraz działalności trzech kolejnych dyktatorów wojskowych powstania: Ludwika Mierosławskiego, Mariana Langiewicza oraz Romualda Traugutta. Warto zwrócić uwagę na prezentowany życiorys ostatniego dyktatora styczniowej insurekcji. Romuald Traugutt to bowiem postać znana i właściwie... nieznaną. Ten był rosyjski oficer zawodowy, później dowódca jednej z powstańczych partii na Podlasiu, objął dyktaturę w niezwykle niekorzystnym dla powstania momencie, jednak dzięki swej ogromnej pracowitości, doświad-

czeniu i talentowi organizacyjnemu zdołał nie tylko przeprowadzić reorganizację powstańczego wojska jesienią i zimą 1863 r., ale doprowadził do kontynuowania walki wiosną 1864 r. w nadziei na wybuch konfliktu o charakterze europejskim na miarę co najmniej wojny krymskiej. Usilnie szukał poparcia dla powstania za granicami, zwłaszcza na Węgrzech i we Włoszech. Aresztowany przez Rosjan i stracony wraz z członkami ostatniego Rządu Narodowego. Data śmierci Traugutta przeszła do narodowej legendy.

Salę drugą zamyka część poświęcona powstańczym walkom, uzbrojeniu, wyposażeniu i umundurowaniu powstańców. Tu właśnie zwiedzający zobaczą mogą oryginalną powstańczą czamarkę (długą kurtkę z niewysokim kołnierzem, zapinaną na pętlice), austriackie sztucery, różnego pochodzenia pistolety i rewolwery, a także rosyjski i pruski tasak (krótką broń sieczną) oraz bagnety: francuski i pruski. Już z tego krótkiego opisu wywnioskować można jak różnorodna była używana przez powstańców broń palna i biała. Zdobywano ją bowiem wszelkimi dostępnymi drogami, zwłaszcza poprzez zagraniczne zakupy prowadzone przez rządowych agentów (zwłaszcza we Francji, Belgii i Austrii). Warto także wspomnieć, że w latach 1863-1864 podjęto konspiracyjną produkcję broni palnej i białej, a przede wszystkim amunicji. Pokrywała ona drobną część zapotrzebowania powstańczych partii, jest jednak działalnością godną zapamiętania.

Pomimo, iż trudno mówić o jednolitym powstańczym mundurze, to przeglądając prezentowane na wystawie fotografie styczniowych insurgentów, wyraźnie dostrzec można, że za wszelką cenę starali się oni dążyć do pewnej uniformizacji. W powszechnym bowiem użyciu były krótkie kożuszki, nieraz szamerowane (tj. zapinane na pętlice ze sznurów), kurtki, rogatywki z barankowym otokiem oraz spodnie wpuszczane w buty z cholewami. Ubiór taki miał z jednej strony wiele cech stylu narodowego, z drugiej charakteryzował się konieczną w warunkach polowych funkcjonalnością. Nieliczne oddziały powstańcze umundurowane zostały w sposób bardziej jednolity. Należeli do nich z pewnością Żuawi, zwani też Żuawami Śmierci (nazwa pochodzi doborowych francuskich formacji piechoty werbowanych początkowo wśród plemion arabskich Afryki Płn., umundurowanych w orientalne uniformy), którzy odziani zostali w czarne kurtki lub surduty i czarne szarawary, noszący najczęściej fezy lub kepi w stylu francuskim. Równie charakterystycznie ubrani byli żołnierze Jazdy Wołyńskiej, noszący długie kurtki w typie tzw. wołoszek i okrągłe futrzane kołpaczki. Do w miarę jednolicie umundurowanych formacji należeli także ułani z brygady Edmunda Taczanowskiego odziani w ułanki (dwurzędowe kurtki z wyłogami) i sztywne rogatywki. Wszystkie te formacje zobaczyć można na prezentowanych na wystawie powstańczych fotografiach.

Ostatnia z wystawowych sal poświęcona została różnorodnym tradycjom powstania styczniowego, ale swe miejsce znalazły tu także gabloty prezentujące powstańczych dowódców oraz znaczenie ziem zaboru austriackiego, a zwłaszcza Lwowa i Krakowa, dla powstania. Dominującymi elementami wystroju są wspaniałe kilim z 1913 r. z trójpolowym herbem Rządu Narodowego i dewizą „BOŻE ZBAW POLSKĘ”, wykonany we Lwowie na obchody 50. rocznicy wybuchu styczniowej insurekcji, oraz dwa oryginalne płaty powstańczych sztandarów: oddziału Żuawów Rawskich i partii dowodzonej przez Jana Zajączka Zapałowicza. Na co dzień obiekty te przechowywane są w Lwowskim Muzeum Historycznym. Sporo miejsca poświęcono pamiątkom obchodów

kolejnych rocznic powstania styczniowego, obchodzonych coraz bardziej uroczysto w latach I wojny światowej – w 1916 i 1917 r. Wydano wtedy wiele medalików, znaczków i odznak pamiątkowych, z których wiele zobaczyć można na wystawie. Osobne miejsce mają specyficzne pamiątki związane z insurekcją 1863 r., a mianowicie rosyjskie medale nagrodowe „За усмирение польскаго мятежа 1863-1864” (Za uśmierzenie polskiego buntu 1863-1864), ustanowione dekretem carskim 5 grudnia 1864 r., a wprowadzone do użycia 1 stycznia 1865 r.



Plakietka „Cieniom członków Rządu Narodowego w hołdzie” 1916 r.,
pochodząca z pracowni Wincentego Stefana Wiśniewskiego.
Ze zbiorów ZNiO. Fot. Andrzej Niedźwiecki

Wystawę zamykają dwa ważne tematy związane z powstańczymi tradycjami. Pierwszy to wspomniana już postać poety i powstańca Mieczysława Romanowskiego. Zwiedzający zobaczyć tu mogą nie tylko jego portretowe zdjęcia, ale także fotokopie ostatniego listu, który napisał do rodziców 29 stycznia 1863 r. na wieść o wybuchu powstania na ziemiach Królestwa. Drugi to kult ostatnich weteranów powstania, szczególnie żywy i pielęgnowany w okresie międzywojennym. Doskonałą ilustracją jest tu, eksponowana w ramach wystawy, okładka jednego z numerów czasopisma „Przewodnik Katolicki” z 1938 r. z fotografią zatytułowaną „Trzy pokolenia” i prezentującą weterana 1863 r. obok żołnierza Wojska Polskiego i młodocianego harcerza. Ponadto w gablocie zobaczyć można fotografie weteranów i przyznawane im najczęściej odznaczenia państwowe.

Warto także wspomnieć, że wystawie towarzyszy starannie opracowany i wydany katalog³, do którego niezwykłą okładkę zaprojektował wrocławski

³ *Znak i karabin do ręki bierzem. Powstanie styczniowe i Rząd Narodowy 1863-1864. Katalog wystawy*, pod red. Łukasza Koniarka, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 2014.

artysta Tomasz Fronczek. Katalog obejmuje 290 prezentowanych w ramach ekspozycji obiektów, w większości przedstawionych także na kolorowych fotografiach. Szczególnie wartościowa jest część wstępna zawierająca teksty historyczne autorstwa wybitnych znawców epoki i problematyki powstania styczniowego. Pierwszy stanowi syntezę politycznych i militarnych dziejów insurekcji 1863-1864 r. i wyszedł spod pióra prof. Jerzego Zdrady z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Drugi artykuł poświęcony jest pięknej postaci powstańca i członka Rządu Narodowego Agatona Gillera, a jednocześnie jednego z pierwszych historyków powstania styczniowego. Jego autorami są prof. Wiesław Caban i prof. Lidia Michalska-Bracha z Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach. Katalog wystawy „Znak i karabin do ręki bierzem...”. Powstanie styczniowe i Rząd Narodowy 1863-1864” będzie z pewnością doskonałym przewodnikiem po dziejach tego najdłuższego i najtragiczniejszego polskiego zrywu niepodległościowego i świetną pomocą służącą wszystkim zainteresowanym ojczyzną historią.



Okładka czasopisma „Przewodnik Katolicki” z 1938 r. Wł. prywatna.
Fot. Andrzej Niedźwiecki

/

SYLWIA BRZYSKA

**ZAMKNIĘTA PRZESTRZEŃ WIĘZIENNEJ CELI –
KOBIECY W SOWIECKICH WIĘZIENIACH
PODCZAS II WOJNY ŚWIATOWEJ,
NA PODSTAWIE WSPOMNIEŃ
BEATY OBERTYŃSKIEJ W *DOMU NIEWOLI***

Cela – to nie jak w bajce: cisza i błysk
wysokiego w kratkach okienka.
Cela to upał, wrzask i ścisk,
brak wody i stęchły pęczak [...]

Beata Obertyńska¹

Początek drastycznych represji sowieckich, jakie dotknęły mieszkańców wschodniej części Polski, należy wiązać z datą 23 sierpnia 1939 roku, kiedy został podpisany między Niemcami a Rosją pakt Ribbentrop – Mołotow. Zawierał on m.in. gwarancję o nieagresji na 25 lat, dodatkowo dołączony do umowy był tajny protokół, którego treść dotyczyła również sprawy Polski. Odnosił się on do podziału wschodniej Europy na dwie strefy: niemiecką i sowiecką. Granica pomiędzy nimi miała przebiegać przez środek Polski, na linii rzek: Narwi, Wisły, Sanu i Pisy. Podpisane przez ministrów spraw zagranicznych Rzeszy Niemieckiej i Związku Radzieckiego porozumienie, pozwoliło Hitlerowi nie obawiając się strony rosyjskiej, podjąć działania wojenne. 1 września 1939 roku armia niemiecka zaatakowała Polskę, rozpoczynając tym samym II wojnę światową. Podczas gdy zachodnia i środkowa część Polski walczyła z Niemcami, 17 września 1939 roku całkowicie nieoczekiwanie, wschodnia część państwa została zaatakowana przez Związek Radziecki².

Po podziale Polski pomiędzy dwóch agresorów: hitlerowskie Niemcy i stalinowską Rosję, władze sowieckie, zajęły wschodnie terytorium Rzeczypospolitej Polskiej. Natychmiast zostały podjęte działania, polegające na zmianie sytuacji politycznej, przez wprowadzenie radzieckich reguł ustrojowych. Cel jaki temu przyświecał, wiązał się z wyeliminowaniem wszystkiego co świadczyło o polskości.

Błyskawicznie podjęto działania dotyczące wyniszczenia Polski. Zlikwidowano polską administrację, jako organ władzy lokalnej zakładano Komitety Tymczasowe. Aresztowano urzędników państwowych, oficerów, policjantów

¹ B. Obertyńska, *Cela* [w:] *W domu niewoli*, Warszawa 1991 s. 347.

² A. Szemioth, *Deportacje obywateli polskich w Syberię oraz represje sowieckie w kresach wschodnich II RP po 17 września 1939 roku*, „Zesłaniec” 2011, nr 45, s. 38.

i działaczy politycznych, organizowano milicję, zarządzono godzinę policyjną, wprowadzono ruble, jako środek płatniczy, nakazano także usunięcie godła państwowego i portretów polskich mężów stanu z wszelkich miejsc publicznych³. W październiku 1939 roku, przeprowadzone zostały wybory dotyczące przyłączenia Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej do ZSRR oraz wyznaczenia osób do władz lokalnych. Głosowanie przeprowadzane było pod ścisłą kontrolą funkcjonariuszy NKWD, sfałszowane wyniki zdecydowały, że wszyscy mieszkańcy stali się obywatelami ZSRR. Konsekwencją tego było wcielenie Polaków do Armii Czerwonej, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, które miały przygotowanie medyczne⁴. Włączenie terenów okupowanych do ZSRR sprawiło, że sytuacja mieszkańców natychmiast uległa pogorszeniu. Nie mieli praw do własnego mienia, właściciele wszelkich majątków – fabryk, sklepów byli pozbawieni swoich własności i bezpodstawnie aresztowani lub zabijani. Brakowało podstawowych artykułów, ludzie w kolejkach po chleb stali całą noc, problem był ze zdobyciem opału na zimę. Dokonano zmiany w szkolnictwie, jego system został podporządkowany rosyjskiemu, gdzie obowiązywała struktura 10-klasowa. Zlikwidowano łacinę, wprowadzono język rosyjski, nauczano historii, geografii i konstytucji Związku Radzieckiego⁵.

W natychmiastowym czasie wydano rozporządzenie, nakazujące rejestrację ludności. Sowieci dokładnie zbierali informację na temat każdego człowieka mieszkającego na okupowanym terenie. Chcieli wszystkich z osobna ocenić pod kątem tego, czy nadaje się na „lojalnego sowieckiego obywatela”⁶. Wszelkie dane uzyskane przy spisie ludności, pozwalały w szybki sposób odnaleźć tego, kto został zakwalifikowany do kategorii „wrogów nowego społeczeństwa”⁷, a to z kolei prowadziło do aresztowań. Rosjanom chodziło nie tylko o pozbawienie wolności, eliminację określonych osób uważanych za przeciwników władzy sowieckiej, ale również o „zastraszenie i psychiczne złamanie całego społeczeństwa”⁸. Główne zarzuty jakie był stawiane skazanemu, pochodziły przede wszystkim z artykułu 58 kodeksu karnego RFSRR, czyli: zdrada i walka przeciw ZSRR, szpiegostwo, dywersja, propaganda, czy różne inne działalności, także prowadzone w przeszłości⁹.

Wśród licznych aresztowań, znalazły się również kobiety, które na równi z mężczyznami przeżywały piekło upodlenia i zniewolenia przez władze sowieckie. Jedną z takich kobiet była Beata Obertyńska – polska poetka, pisarka, aktorka. W swoich wspomnieniach *W domu niewoli*, opisuje zamkniętą i osaczającą człowieka przestrzeń celi, której granice wyznaczają mury więzienia.

Aresztowania, przeprowadzane przez NKWD, miały miejsce głównie w nocy. Ludzie, czując się zagrożeni we własnych domach, tygodniami w nich nie nocowali. Mieszkania podejrzanych osób były ściśle obserwowane, gdy

³ J.T. Gross, I. Grudzińska-Gross, *W czterdziestym nas Mamo na Sybir zostali... Polska a Rosja 1939-1942*, Kraków 2008, s. 25-26.

⁴ A. Szemioth, *Deportacje...*, s. 40.

⁵ D. Boćkowski, *Jak piskłeta w gniazdz. Dzieci polskie w ZSRR w okresie II wojny światowej*, Warszawa – Wrocław 1995, s. 30.

⁶ J.T. Gross, I. Grudzińska-Gross, *W czterdziestym...*, s. 27.

⁷ Ibidem, s. 27.

⁸ Ibidem, s. 12.

⁹ Ibidem, s. 13.

tylko ktoś wrócił po jakieś niezbędne rzeczy, czy pożegnać się z rodziną, natychmiast zjawiała się tajna policja. Innym przykładem aresztowań były tzw. łapanki. Polegały one na tym, że obstawiano milicją np. kawiarnię, po czym legitymowano wszystkich i część aresztowano. Ludzie również byli zatrzymywani na ulicy, każdy kto w jakiś sposób wzbudził podejrzenie milicjanta: zachowaniem czy wyglądem zewnętrznym, mógł zostać aresztowany. Nigdy nie było dla Polaków racjonalnego wytłumaczenia aresztowania i osadzenia w więzieniu. Swoje przesłuchanie Beata Obertyńska opisuje w następujący sposób:

Siedział za stołem ogromny, opasły, o twarzy tak obrzękłej, że mu prawie oczu nie widać. Musiał mieć krótki wzrok, bo mrużył te zapuchłe powieki w sposób niecierpliwy i nerwowy. Pyta opryskliwie i już z góry jest zirytowany odpowiedzią. Wpiera we mnie między innymi, że już od czasu ich wkroczenia jeździłam skrycie na wieś i buntowałam fernali przeciwko ich reżimowi. Także chce ze mnie wydobyć nazwiska chłopów, którzy mi przywozili prowiant i drzewo, o czym dobrze – jak mówi – wiedzą, bo widziano przed moim domem fury ze wsi. Zaprzeczam oczywiście, bo w domu od wybuchu wojny istotnie nie byłam, a jeśli chodzi o fury, to twierdzę, że nie były to wcale moje fury, tylko jakieś podmiejskie, chłopskie, które mi przywoziły kupione drzewo. Naczelnik nie wierzy. Wścieka się. Podskakuje na krześle i widzę, że furia go dusi:

- Kiedy wy byli ostatni raz w majątku?
- 31 sierpnia 1939 roku.
- A co wy tam robili tego 31 sierpnia 1939 roku – a?
- Sprzedawałam rzepak.
- A potem wy już nie jeździli?
- Nie. Potem już nie jeździłam...
- Wriosz! – huknął nagle pięścią w stół i zaczął bełkotać jakieś zarzuty, które tylko piąte przez dziesiąte rozumiałam. W rezultacie jedno w kółko: byłam, buntowałam, jeździłam, wiedzą, mają dowody...¹⁰

Przesłuchanie Obertyńskiej jest przykładem jednym z wielu sowieckich absurdów. Groteskowe sądy, żenujące śledztwa i akta oskarżenia oparte na kłamstwach to przykłady niszczenia polskiego społeczeństwa. Nie dowiadujemy się tutaj wprost za co zostaje skazana, aczkolwiek jasno wynika, że przedstawione zostały jej zarzuty walki przeciwko ZSRR, dywersji i propagandy, co doprowadziło do tułaczki przez sowieckie więzienia. Pierwszym więzieniem, do którego dostała się pisarka były lwowskie Brygidki. Następnie jej przymusowa wędrówka wiodła przez więzienia w Kijowie, Odessie, Charkowie, Chersoniu, Artiomowsku czy Starobielsku. Między innymi spisane doświadczenia Obertyńskiej, pokazują nam brutalny obraz życia w nieludzkich warunkach skazanych kobiet. Autorka opisując piekło sowieckiego więzienia, starała się jak najdokładniej opisać panujące w nim warunki oraz egzystencję więźniarek. Są to opisy niewyobrażalnej podłości i przemocy wobec drugiego człowieka, które towarzyszą mu w sowieckiej Rosji na każdym kroku.

Pierwszym zjawiskiem, które chciałabym poruszyć, odnosząc się do środowiska więziennego jest różnicowanie wśród osadzonych. Tak jak w każdej społeczności, tak i między więźniarkami jawił się wyraźny podział. Wydzieliły

¹⁰ B. Obertyńska, *W domu niewoli*, Warszawa 1991, s. 27-28. Kolejne cytaty z tej książki są oznaczone za pomocą skrótu: WDN.

się pewne grupy, które charakteryzują przynależne do nich kobiety. Zbiorowość więzienna dzieliła się na cztery kategorie. Do pierwszej zaliczano „graniczniczki”, czyli kobiety aresztowane przy próbie przekroczenia granicy. Kolejnymi były tzw. „polityczne” – osadzone za udział w różnych organizacjach. Do tych dwóch kategorii, należały często kobiety, których zarzuty przeważnie były bezpodstawnymi podejrzeniami sowieckich władz wyssanymi z palca:

Dostał nam się chyba najspokojniejszy kąt celi, ten blisko pieca właśnie, gdzie znajdowały się same polityczne i graniczniczki – osoby, które nigdy dotąd nie miały z więzieniem nic do czynienia, a które obecnie pod byle pozorem za to aresztowano, że przynależą do zamożnej warstwy społecznej, tej, którą Sowiety – wytępiwszy doszczętnie u siebie – postanowiły z kolei wytępić i na okupowanych terenach Polski (WDN, s. 33).

Trzecią grupę tworzyły „pospolite” – kobiety skazane za przestępstwa kryminalne: złodziejki, paserki czy prostytutki. Była to silna, rządząca grupa, nielicząca się z innymi. Kobiety te były przyzwyczajone do więziennych cel, toteż idealnie potrafiły przystosować się do panujących obecnie warunków, które dla innych były nie do zniesienia. Zajmowały najlepsze miejsca, wokół nich ciągle panował wrzask powodowany kłótniami i bójkami. Ostatnią grupę, do której zaliczała się również Obertyńska, tworzyły „frajerki” – inteligentne więźniarki, którym bardzo trudno było przystosować się do panujących warunków, często były zaczepiane i wysmiewane przez inne współwięźniarki.

W Charkowskim więzieniu poznajemy inną grupę więźniarek, mianowicie małolatki. Były to młode dziewczyny w wieku od 12 do 16 lat, które stanowiły prawdziwą udrękę dla innych:

Małe to przeważnie przedwcześnie zgniłe i zdeprawowane, często bez zębów, anemiczne, skrofuliczne i robaczywe jakiejś jakby od kołyski (WDN, s. 89).

Tworzyły przestępczą szajkę, dla której pobyt w rosyjskiej tiumnie był czymś powszednim. W grupie były groźne, przeklinały, krzyczały, pyskowały i czuły się bezkarne wobec współwięźniarek. Wrażenie robi także tatuowanie się tych młodych kobiet rozgrzaną gumą z kalosza za pomocą igły. Ostatnią grupą były monaszki – prawosławne kobiety, które trzymały się razem na ubożu, nie utrzymując z innymi żadnego kontaktu¹¹.

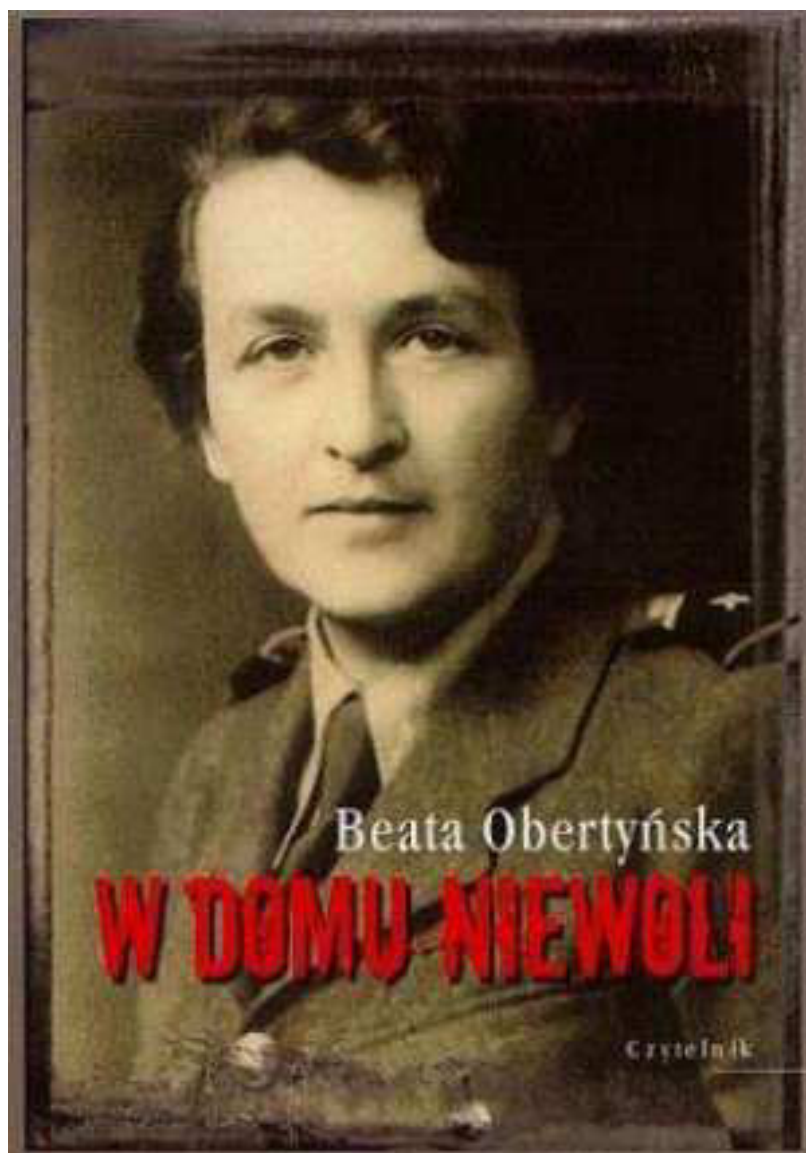
Przedstawione kategorie więźniarek Beata Obertyńska specyficznie podsumowała:

Mam tu przed oczyma dosłowny przekrój całego społeczeństwa, począwszy od różnorodnego typu złodziejek, prostytutek, dzieciobójczyń i paserek – poprzez wszystkie szczeble socjalne – po czcigodną, siwą matronę włącznie! (WDN, s. 34).

Spośród wszystkich więzionych w celi, wybierano starostę – osobę która pełniła funkcję „kierownika”. Kobieta ta miała prawo rozmawiać w imieniu innych z dyżurnym, wyznaczała miejsce nowo przybyłym, pilnowała porządku

¹¹ Agata Cutter przedstawiła również inne określenia więźniarek, które pojawiają się w literaturze. Najpopularniejszą nazwą definiującą więzione kobiety to „urka” – odpowiednik „kryminalnych”. Z kolei „pospolite” to inaczej „bytowyje”, natomiast „polityczne” to tzw. „kontriki”. Zob. A. Cutter, *Losy kobiet w radzieckich obozach pracy (1920-1953)*, „Zesłaniec” 2009, nr 40, s. 42.

podczas posiłku, ale najważniejsze – odpowiadała przed władzami za jakiegokolwiek naruszenia więziennych przepisów, za co na ogół siedziała w karcelu, co było przyczyną do częstej zmieniany starosty.



Okładka książki Beaty Obertyńskiej *W domu niewoli*,
Wydawnictwo: „Czytelnik” 2005

Obertyńska często w swojej książce wspomina różne współtowarzyszki niedoli. Charakteryzuje je, opisuje ich wyroki. Jednak najbardziej uderzające jest tutaj przytoczenie przykładów rosyjskich więźniarek. Powody, dla których ich zamknięto są tak absurdalne, że wprost nie do uwierzenia, oto jeden z przykładów:

Młoda dziewczyna prowadzi z ramienia jakiegoś tam sojuszu sklep z nasionami. Jest osobiście odpowiedzialna tak za pieniądze jak i za towar. Dostaje w sklepie ostrego ataku ślepej kiszki. Telefonuje do zwierzchnika, żeby natychmiast przysłał zastępstwo, bo ją zaraz zabiera pogotowie. Czeka, wijąc się z bólu. Karetka była raz i odjechała, bo zastępstwa nie ma, a ona nie może zostawić sklepu samego. Telefonuje więc znowu, że nie może dużej, że wobec braku zastępcy zamyka sklep i jedzie prosto na stół operacyjny. W karetce jest już ledwo przytomna. Choruje ciężko i długo. Po wyzdrowieniu aresztują ją i wytaczają jej proces o cały domniemany zysk ze sklepu, który by mógł być, a którego nie było przez owo bezprawne zamknięcie. Oddanie sklepu zresztą nie nastąpiło formalnie, zatem ona jest też odpowiedzialna za kradzież i nadużycia popełnione w nim podczas jej choroby. Zostaje skazana na 5 lat, bo nie ma pieniędzy, aby szkodę pokryć. Zwróci ją zdrowiem i bezpłatną pracą w łagrze (WDN, s. 94).

Rosja jest ogromnym, totalitarnym mocarstwem, nie ma tutaj rodziny, w której by ktoś nie przebywał w więzieniu. Absurdalne oskarżenia prowadziły do kar jakimi były długoletnie wyroki w tryumfach czy praca w łagrach.

Beata Obertyńska starała się w jak najdokładniejszy sposób zobrazować nam kolejno cele, w których przebywała. Pierwszym problemem, który daje się zauważyć jest kwestia przepełnienia. W każdym sowieckim więzieniu była znacznie przekroczona liczba osadzonych, dlatego brakowało posłań czy misek do jedzenia:

Na 130 kobiet, które tu zastają, mamy tylko 80 legowisk. Były też krótkie okresy, kiedy nas tam siedziało tylko 90, ale były także inne, gdy na celi dochodziło do 180 kobiet! Jasne więc, że na każdym łóżku gniotą się co najmniej dwie osoby, a i na takie drugie miejsce na sienniku trzeba czekać tygodniami (WDN, s. 33).

W charkowskim więzieniu nie było nawet dość miejsca na podłodze, aby móc położyć się w dogodnej pozycji, kobiety kładły się w czterech rzędach, nogami ku sobie „Miejsca jest tak mało, że nogi leżących naprzeciw mnie zachodzą na moje i sięgają mi do połowy uda” (WDN, s. 74).

Przed wszystkim w takich celach panował przeraźliwy hałas i brakowało świeżego powietrza, łatwo sobie wyobrazić jaką stanowiło to udrękę:

Wrzask – wrzask zbity, jednolity, wrzask bez oddechu, wrzask nie podobny już wcale do wrzasku, a raczej do jakiejś gęstej, napierającej zewsząd galarety, przed którą cofasz się bezwiednie, odruchowo, jak przed falą nagłego smrodu! [...] Nigdy chyba smród w celi nie wydaje nam się tak okropny jak po powrocie z dworu (WDN, s. 33-38).

Więzienne kilkuminutowe spacerki, pozwalały choć na chwilę pooddychać świeżym powietrzem, co sprawiało, że dopiero po powrocie do celi, więźniarki uświadamiały się w jakim fetorze przebywają całymi dniami i nocami. Na panujący odór sumowały się niewietrzone pomieszczenia, spocone ciała i najgorsze co mogło znajdować się w celi – prowizoryczna toaleta:

W dodatku w jednym z kątów królują dwa wysokie, blaszane baniaki. Zaraz nie baniaki! Pokrywy ma to nieszczelne, a dna tak przeżarte, że wiadoma zawartość sączy się z pod nich dzień i noc, wsiąka długimi zaciekami w obrzękłe już deski i zieje trucicielskim smrodem na mile! [...] Dzięki nieszczelności pokrywy w straszliwy sposób zatruwały powietrze, a następnie, ustrzeżenie się przed tym, aby zawartość ich nie opryskała nieszczęsnego, muszącego z nich korzystać człowieka – prawie niemożliwe. Więźniarek zaś, które jawnie przyznawały się do wenerycznych chorób, było wśród pospolitych zawsze kilka (WDN, s. 34, 37).

Te „ziejące” niesamowitym odorem baniaki, to rosyjskie ubikacje zwane paraszkami, które były nieodłącznym towarzyszem wszystkich uwięzionych kobiet. Oprócz sedesów z dziurawych baniaków w celi, w więzieniu znajdowały się łaźnie, które pod względem estetyki i higieny wcale nie były czymś lepszym.

Przebieg dnia, jak sama Obertyńska wskazuje, w każdym więzieniu wygląda podobnie, z małymi odstępami. Pobudka rozpoczyna się o drugiej rano pójściem do umywalni. Jest to tak wczesna godzina, że względu na więzienne przepełnienia, gdzie z jednego pomieszczenia muszą skorzystać zarówno cele żeńskie jak i męskie z całego piętra. Dla każdej kobiety higiena osobista jest bardzo ważną rzeczą. Widok łaźni czy ubikacji przyprawiał o mdłości, a korzystanie z nich, było nie tyle krępujące co nawet upokarzające. Łaźnia była najczęściej małym pomieszczeniem, gdzie znajdowały się nie zawsze czynne krany, natomiast za klozet służyły zwykłe dziury w betonie:

Ktoś, kto nie widział takiej ubikacji, nie potrafi sobie nawet w przybliżeniu odtworzyć pojęcia o jej ohydzie (WDN, s. 64).

Najgorszy jest fakt, iż nie wchodziło się tam pojedynczo, lecz po kilkadziesiąt osób, w ciasnej odrażającej wręcz ubikacji, w przeciągu pół godziny musiało skorzystać ponad 170 kobiet. Tutaj nie ma tam czasu na wstyd, kobiety stojąc na brudnej i zimnej posadzce, musiały w jak najszybszym czasie umyć się i załatwić fizjologiczne potrzeby:

Stale mokra podłoga jest grubo wysypana chlorem. Po krótkiej już chwili zaczynamy się krztusić i oczy łzawią nam niemożliwie. Powietrze tu tak straszne, że stale zbiera się na wymioty [...]. Wobec tej ilości osób, a tylko trzech dziur w betonie, niektóre załatwiają się po prostu na podłogę, pod nogi innymi. Chlor w końcu tak zaczyna dusić, że słabsze mdleją. Czasem dyżurny pozwala je wynieść na korytarz, częściej jednak trzeba je położyć na betonie pod ścianą i czekać, aż reszta skończy (WDN, s. 36, 72).

Łaźnie, czyli rosyjskie uborny, miały jeszcze jeden, bardzo ważny cel, mianowicie służyły do porozumiewania się między więźniami z innych pięter:

Dziury owe, prócz wszystkiego innego, są także więziennym telefonem. Dosłownie! Kiedy w nie głośno i z bliska krzyknąć, jest się słyszalnym w takiej samej betonowej dziurze na niższym piętrze. Można czasem zdobyć w ten sposób wiadomości o kimś swoim (WDN, s. 35).

Korespondencja była również prowadzona na ścianach, na których zapisywano przeróżne informacje:

Ściany – które są gazetką więzienia – zapisywane we wszystkich kierunkach. Litery najczęściej wyskrobane szkłem, ale widziałam też napisy kałem (WDN, s. 36).

Każda grupa więźniów pozostawiała jakiś znak dla bliskiej osoby, pytania czy prośby o przekazanie wiadomości dalej. W taki sposób w chersońskim więzieniu dowiadywano się o nieistniejących frontach i wymyślonych wojnach:

Udzielamy więc sobie wzajemnie wiadomości o wojnie, zupełnie (jak się potem okazało) fałszywych. Bo wedle nich już w styczniu 1941 r. Turcja była w wojnie, Japonia ruszyła na Rosję, a Ameryka biła się od dawna... Takie małe,

w lakierze skrobane literki, które z uborną jedną z nieprzeliczonych w Rosji tium wydawały nie wybuchłe wojny, głosiły nie zaistniałe konflikty, narzucały z kącika nad paczką więziennych śmieci swą niecierpliwą strategię wszystkim dyktatorom świata! (WDN, s. 80).

Kiedy Obertyńska pisała książkę, te wyssane z palca wiadomości wydawały się bardzo śmieszne, jednak pamięta, że w tamtym czasie były one pokrzepieniem na długie dni i tygodnie. Starobielska uborna była również miejscem gdzie zostawiano nie tylko listy, ale także różne przesyłki. W taki sposób funkcjonowała „poczta przesyłkowa” między kobietami a mężczyznami:

Nie o same zresztą listy chodzi. Przesyłki zostawia się czasem też. Czasem pajkę chleba – najcenniejszy dar przy starobielskim głodzie – pudełko z zapalek pełne cukru, machorkę... To zostawiają kobiety. Od mężczyzn w zamian przychodzą krzyżyki i medaliki, niektóre zupełnie nawet ładnie rzeźbione w kości wyciągniętej z zupy, także pierścionki i brożki (WDN, s. 105).

Najdziwniejsze jest to, że mimo skrupulatnej kontroli, niektóre z tych rzeczy docierały do odpowiedniego adresata.

Po powrocie z umywalni, starosta dostawał od dyżurnego cukier i chleb na celę. Bochny chleba kobiety musiały rozdzielić między sobą jakimś ukrytym kawałkiem żelaza. W celi oczywiście zabronione było posiadanie noża, ale jak pisze Obertyńska, chleb na 130 pajek musiały podzielić same. Jednak ten chleb nie był podobny do polskiego. Był kleisty, wilgotny i kwaśny, miał kolor czarny, niekiedy był smaczny i niestety jak się można domyśleć, przydzielana porcja była zawsze za mała. Cukier natomiast dzielony był pudełkiem od zapalek, każda więźniarka dostawała porcję jednego pudełeczka. Dodatkowo rozdawany był gorący czaj, bez smaku, w kolorze słabej kawy, aby osłodzić kubek tego napoju, należało zbierać cukier przez dwa dni. Obiad składał się ze stęchłego pęcaka czy ryby, podobna była kolacja.

Oprócz zimna, gorąca czy fetoru kobiety musiały zmagać się z pasożytami, które były prawdziwą zmorą. Brak odpowiedniej higieny sprawiał, że pojawiały się różne insekty. Najbardziej uciążliwe były pluskwy, które gryzły dzień i noc:

Pluskwy żrą... Z nastaniem zmroku, a potem mimo światła ściany, wszystkie drewniane półki nad łózkami, łóżka i nasze koce – roją się dosłownie od rącznych, zaślepionych, beczelnych pluskwów (WDN, s. 39).

Mimo zabijania ich butami czy wypalania zapałkami, nie można było się ich pozbyć. Podobnie było z wszami, z którymi kobiety prowadziły bezsilną wojnę. Jak by tego było mało, pojawiały się również i szczury, chodziły w nocy po więźniarkach, czasem zjadły mydło, lub co gorsza chleb. Daremna była walka z insektami, które w więzieniach były od zawsze i jeszcze długo będą.

W tych jakże ciężkich warunkach więźniarki radziły sobie na różne sposoby. Zapełnienie wolnego czasu pozwalało chociaż na chwilę oderwać się od panującej rzeczywistości. I tak np. rozwijał się przemysł robienia różańca z chleba. Była to męcząca praca:

Najpierw trzeba chleb rozmieść w palcach, potem porobić miniaturowe kuleczki te poprzedziurawiać. Muszą dobrze przeschnąć, nim się je zacznie nawlekać [...] A potem gdy raz zaschną stają się twarde jak drzewo (WDN, s. 43).

Te prowizoryczne różańce służyły kobietom do wspólnej modlitwy, która musiała się odbywać w jak największej ostrożności przed strażnikami, ponieważ można było zostać oskarżonym o propagandę religijną. Innym zajęciem było robienie na drutach zrobionych z miotły, granie w szachy chlebowymi figurkami czy zabawy polegające na zgadywaniu i wyliczaniu. Kobiety wspólnie śpiewały piosenki oraz pieśni religijne, których uczyły się nawzajem, opowiadały różne historie, a nawet podawały sobie przepisy kulinarne. Niektóre więźniarki urządzały nocne seanse, polegające na wróżeniu i przepowiadaniu przeszłości. Władze chersońskiego więzienia dbały o skazanych rozdając książki, o wiadomej tematyce, czyli żywot Lenina, Stalina itp. Oczywiście kobiety nie miały ochoty tego czytać, lecz jak wspomina Obertyńska:

W pismach jednak były czasem zupełnie dobre nowele i opisy, tak że kilka takich zeszytów – ilustrowanych w dodatku – przeczytałyśmy z ciekawością (WDN, s. 81-82).

W więzieniach odbywały się liczne przesłuchiwania, które trwały od kilku godzin do kilku dni. Obertyńska nie przeszła szczególnie okrutnych przesłuchań, ale w książce opisuje jak wyglądało katowanie jednej z kobiet we lwowskim Zamarstynowie:

Śledztwo miała potworne! Oskarżona z trzech paragrafów. Pierwsze przesłuchanie trwało całą dobę. Trzymali ją na stojąco, twarzą do ściany. Na celę przyszła tak zbita, że nie było na niej od stóp do głowy zdrowego miejsca. Cała była koloru śliwki od sińców wynaczynień krwi pod skórą. Ratowały ją, jak mogły. Okładały mokrymi ręcznikami. Nie było jej po prostu jak położyć na łóżku, tak była skatowana! [...]. Nazajutrz drugie przesłuchanie. Bito ją znów kijami, żelaznymi kijami i linią, po całym – straszliwie po pierwszym śledztwie obolałym – ciele. Odnieśli ją nad ranem. I tak cztery razy pod rząd, co nocy brano ją do tej katowni „na żelaznych schodkach”. Tylko Ci co przeszli przez Zamarstynów, wiedzieli co te schodki znaczą. Tam była cela tortur (WDN, s. 57).

Jan Tomasz Gross w jednej ze swoich książek pisał, że:

Cela to była jakby tylko przechowalnia. Pobyt w niej to był właściwie okres wytchnienia i wypoczynku po brutalnych spotkaniach z oficerami śledczymi NKWD.¹²

Te „audjencje”, odbywały się podczas przesłuchań, to właśnie wtedy rozpoczął się koszmar sowieckiego więzienia. Ludzi poniżano, bestialsko bito, oblewano wodą na mrozie, „łamano” duchowo i fizycznie. Po takim przesłuchaniu nikt nie stawiał oporu w kwestii podpisania, specjalnie przygotowanego protokołu, chciano tylko aby te tortury jak najszybciej się zakończyły¹³.

W więziennej celi przepelnionej różnymi kobietami, gdzie panował zgiełk, krzyk, każdy walczył o swoje, można było również znaleźć prawdziwą i szczerą przyjaźń. Ta piękna więź we wspólnej niedoli połączyła Beatę, Helenę i Marię:

¹² J.T. Gross, I. Grudzińska-Gross, *W czterdziestym...*, s. 55.

¹³ *Ibidem*, s. 55.

Zabawnie, jak to człowiek niczego naprzód nie odczuje i nie przewidzi... Nie wiedziałam, że włączając na tę kojkę wspina się naprzeciw mocnej, oddanej, prawdziwej przyjaźni, którą miałyśmy znaleźć wszystkie trzy na tym wspólnym sienniku w Starobielsku (WDN, s. 100-101).

Jednak jak nietrudno się domyśleć, wśród różnych podziałów Obertyńska spotkała się również z pewnymi przykrościami. Rosyjskie baby, których była większość, pałały nienawiścią do Polek i inteligencji, dlatego starały się zatruwać im życie:

Kopią mnie więc i umyślnie walą na mnie na jawie i we śnie brudne po powrocie z uborny bosc nożyska i starają się mi dokuczyć na każdym kroku (WDN, s. 74-75).

Autorka również podaje przykłady wyśmiewania wiary. Spotkała się z tym podczas więziennej rewizji przeprowadzonej przez Sowietki, które znalazły jej zaszyty w podpinke krzyżyk:

Wypruły go, wyśmiały, zaczęły nim żegnać wszystkich dookoła, udając błogosławionego popa, bić na żarty pokłony, mamrotać niby modlitwy, a potem rzuciły go między tasienki, guziki, podwiązki, sznurki i szpilki do włosów (WDN, s. 66).

Czytając relację Obertyńskiej, zauważamy, że jest ona silną kobietą. Radzi sobie z zaistniałą sytuacją, nie rozczulając się nad sobą, ale nawet najtwardsi mają chwilę słabości wobec zła. Taka bezsilność spotkała autorkę w kijowskim więzieniu, kiedy po raz pierwszy uroniła łzy:

Pierwszy raz od zaaresztowania mnie płacę. Trzymał się człowiek, jak mógł, znosząc wszystko, jak szło po kolei, aż go nareszcie zmoгло (WDN, s. 66).

Ten płacz był wyrazem bezsilności autorki wobec przemocy i chamstwa z jakim się spotykała. Jednak w więzieniu psychicznie było bardzo trudno przetrwać, brak jakiegokolwiek informacji o rodzinie, a także niewiedza dotycząca dalszego losu, często powodowała, że więźniarki nie radziły sobie psychicznie z zaistniałą sytuacją. Było to przyczyną zapadania kobiet na różne zaburzenia upośledzenia umysłowego.

Chorujące w więzieniu kobiety, miały możliwość skorzystania z pomocy pielęgniarki. Zważając na całkowity brak higieny, można stwierdzić, że nie zawsze chore dochodziły do zdrowia:

Wacik, którym smarowała właśnie czyjś rozjątrzony wrzód, wtyka na powrót do słoika, by nim za chwilę smarować inny wrzód komuś innemu. Rąk nie myje nigdy. Nożyczek nie dezynfekuje (WDN, s. 50).

Pozytywnym miejscem w więzieniu okazał się szpital. Wkrótce po przybyciu do więzienia Obertyńska zachorowała, z grypą, która objawiała się wysoką gorączką znalazła się na izbie chorych. Mimo złych warunków, spędzone chwile wspomina bardzo dobrze:

[...] Na wskazanym ci łóżku – co za radość – prześcierała! Brudne, bo brudne i wyglądają na używane, ale może nie są [...]. Zamykasz oczy... Boże! Jak cudownie! Jest CISZA! Nie słyszysz wrzasku 130 bab! Nie słyszysz plugawych, bezwstydných słów! (WDN, s. 52).

Tutaj w nieustającym napięciu nerwowym w jakim ciągle żyły więźniarki, po różnego rodzaju sponiewieraniu, gnieceniu się z zawszonymi ludźmi, wreszcie człowiek może swobodnie leżeć w sali gdzie znajduje się pięć, a nie sto kobiet.

Beata Obertyńska przebywając w różnych więzieniach, z różnymi ludźmi, szczególną uwagę zwracała na wulgaryzmy, które bardzo ją raniły. Używanie zwrotów i wyrażen nieprzyzwoitych, ordynarnych przez współwięźniarki było dla niej prawdziwą udręką. Teksty najczęściej nie do powtórzenia wypowiadały przeważnie pospolite. Gwarowe terminy, oryginalne zwroty i określenia stwarzały prymitywne arcydzieła, wyrażające nastroje skazanych. Niecenzuralne słowa pojawiały się w rozmowach, piosenkach czy kłótniach. Jednak prawdziwego zniesmaczenia autorka doznała w kijowskim więzieniu, gdzie przebywali również mężczyźni – mordercy, zbrodniarze i bandyci. Obertyńska nie podaje tutaj przykładów więziennej gwary, ale z jej komentarzy możemy sobie wyobrazić jak bardzo człowiek może upodlić się słownictwem:

Użycie tu słowa „zezwierzęcenie” ubliżałoby zwierzętom. Żadne zwierzę nie potrafi tak zbeczczyć swojej zwierzęcości, jak w tej otchłani plugastwa, ohydy i zbrodni zbeczczeszczono zostało człowieczeństwo [...] Usypia nas to i budzi. Za oknem, nad oknem, pod oknem, blisko, daleko, w dole, w górze. Jesteśmy wewnątrz objęte tym plugawym piekłem, zalane, zlepione śluzem chorobliwie wyuzdanych słów, utopione w czymś co poniża, znieważa, kaleczy twoje – Bóg wie po co aż tu ze sobą przywleczone – człowieczeństwo [...] (WDN, s. 68).

Wypowiadane słowa trudno było pojmować, a ordynarne wyrażenia wywoływały wstyd u słuchających. Pod każdym względem widziany był upadek moralny ludzi. Agresja między współwięźniarkami wybuchała z byle powodu, często była niezrozumiana. Kłótnie, wyzwiska, poniżania i bójki, sprawiały, że traciły one godność prawdziwej kobiety.

Przez cały czas NKWD aresztowało „wrogich i szkodliwych elementów”, działaczy politycznych i społecznych, byłych urzędników polskiej administracji, właścicieli ziemskich i przemysłowców, ludzi związanych z nauką i kulturą. Stawiano ich pod różnymi pretekstami przed sądem i skazywano na pobyt w więzieniu, obozie pracy czy na śmierć. Władze sowieckie skutecznie realizowały cel sterroryzowania polskiego społeczeństwa, aby uniemożliwić jakikolwiek protest wobec okupanta. Literatura łagrowa przedstawia nam nie tylko opis okrutnego życia w syberyjskich obozach pracy, ale również szczegółowe relacje z groteskowymi sądami, żenującymi śledztwami, aktach oskarżenia popartych kłamstwami, a także nieludzkich warunków panujących w więzieniach. Głównym elementem tejże literatury jest opis wyczerpującej i katorżniczej pracy, wykonywanej przez osadzonych. Poza tym znajdziemy tutaj charakterystykę północnej przyrody, czy niewielkich wsi, które przez kołchozową gospodarkę skazane były na cierpienie głodu i nędzy. Książki zesłańców stanowiły świadectwa nieludzkiego okrucieństwa, biedy i zacofania jakie panowały w ZSRR. Wszelkie publikacje takie jak pamiętniki, wspomnienia, listy, notatki, napisane są przez świadków, którzy przeszli gehennę podczas okupacji sowieckiej w Polsce, oraz przeżyli piekło na „nieludzkiej ziemi”, dają nam świadectwo okrucieństwa popełnionego przez Związek Sowiecki na obywatelach polskich.

RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatępił śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth. Obecnie zesłańcze relacje drukuje też rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

*

Janusz Bogdan Naruszewicz – *Wspomnienia zesłańca do Kazachstanu*

Janusz Bogdan Naruszewicz, urodzony 15 kwietnia 1934 r. w Zaścianku Powoksza na Wileńszczyźnie – mój wujek po kądzieli, należy do szlacheckiego rodu pochodzącego z Wielkiego Księstwa Litewskiego, herbu Wadwicz. Jego korzenie genealogiczne sięgają marszałka litewskiego Piotra Montygierda (1451-1499), który miał trzech synów: Manka, Dowksza i Narusza, od którego pochodzi nazwisko Naruszewicz. Wnukami Piotra Montygierda byli: Naruszewicz Wojciech, którego syn Paweł był w latach 1517 starostą Nowogrodzkim, z kolei Mikołaj Naruszewicz w latach 1569-1573 piastował funkcję podskarbiego litewskiego.

W okresie rozbiorów Polski ród ten był wielokrotnie prześladowany. Dziadek Konstanty Naruszewicz, był posiadaczem majątku w Powokszy, Pietropolu i Żarnelach (obecna Białoruś). Zarządzał ponad 200 hektarami ziemi. Babcia Aurelia z domu Niedroszlańska, miała czworo dzieci: Wilhelma, który miał dwoje dzieci: Halinę i Adama. Druga córka Władysława miała, córkę Zofię. Trzecim dzieckiem była Irena, która także miała dzieci: Edmunda i Danutę, czwarty urodził się Henryk, (ojciec Janusza). Babcia Janusza po śmierci dziadka wyszła ponownie za mąż, za oficera rosyjskiego Siluginę i mieli ze sobą jeszcze czworo dzieci: Natalię, Zenonię, Tolka i Ninę.

Majątek po dziadku Konstantym Naruszewiczu został sprawiedliwie podzielony między jego dzieci, a część należąca do babci była w posiadaniu rodziny Siluginów. Każdemu z dzieci Konstantego Naruszewicza w podziale majątku przypadło po 37,5 h

ziemi. Dom rodzinny otrzymał w spadku najmłodszy syn Henryk, którego obowiązkiem było spłacenie pozostałemu rodzeństwu tego domu, by mogli wybudować na swoich ziemiach własne, nowe mieszkania.

Ojciec Janusza urodził się w 1904 r., ożenił w 1929 r. z Apolonią (1906-1988), z domu Filemonowicz, mieli pięcioro dzieci: Henrykę Irenę (1931 r.), Bogdana Janusza (1934 r.), Mirosławę (1936-2014), Mariana (1942-2009) i Teresę Czesławę (1948). Majątek Naruszewiczów w Powoższy liczył 40 hektarów dobrze zagospodarowanej ziemi.

Przeżyli szczęśliwie wojnę, dwie okupacje, niemiecka i sowiecka. Po ich zakończeniu jego rodzina nie poddała się kolektywizacji i nie skorzystała z możliwości wyjazdu do Polski. Nie chciano zostawiać ani domu, ani ziemi. Bano się wyjeżdżać w nieznane, tak jak uczynili to inni z rodziny. Bolszewicy zaliczyli ich do kułaków, wrogów ludu, w związku z czym ich majątek uległ konfiskacie na poczet państwa.

W latach 40. rozpoczęła się długotrwała gehenna Polaków, rdzennych mieszkańców Kresów Wschodnich RP, nastąpiły prześladowania, więzienia, torturowania, deportacje na Syberię. Zaczęły się także masowe zesłania na Syberię. A po wojnie w 1952 r. wywieziono rodzinę Naruszewiczów do Kazachstanu.

Maria Kalczyńska

*

Pamiętam dokładne tę datę 18 kwietnia 1952 roku, bowiem to ona radykalnie zmieniła życie mojej rodziny. Nie przeczuwałem niczego złego. Byłem spokojny, odprężony i pełen wiary w lepsze jutro. Postanowiłem przygotować kulinarną niespodziankę mojej pani nauczycielce, która w tym dniu miała lekcje do 18:00. Bardzo lubiła kopytka, które już wcześniej robiłem. Ugotowane ziemniaki zgniotłem z mąką i rozwałkowałem. W tym czasie na patelni topiła się słonina. Nagle słyszę dzwonek u drzwi. Poszedłem otworzyć, a w drzwiach stał woźny z zakładu i oświadczył, że natychmiast mam się zgłosić do dyrektora. Pomyślałem, że chyba zrobili zebranie i będą agitować do zapisywania się do Komsomolu. Wygasilem kuchnię, odstawiłem patelnię, zostawiłem niedogotowane kopytka. Ubierając się rozmyślałem, w jaki sposób odmówić, a jednocześnie nie chciałem urazić dyrektora, któremu tak wiele zawdzięczam. Wybiegłem i po 100 m usłyszałem, że ktoś krzyczy „*ej pastoj*” zobaczyłem dwóch mężczyzn w skórzanych płaszczach, w taki sposób ubierali się komisarze. Odpowiedziałem, że śpieszę się do zakładu i próbowałem biec dalej. Oni zastąpili mi drogę, chwycili za ramiona, mówiąc, że już nie muszę tam iść, bo oni właśnie stamtąd wracają i mają mi coś do wyjaśnienia. Kazali wrócić do mieszkania. Wypytywali gdzie śpię, które to moje rzeczy, gdzie gospodyni. Zrozumiałem, że to nic dobrego nie wróży, a cała sytuacja wygląda zbyt urzędowo. Jeden z nich wyjął z teczki pismo i zaczął czytać rozporządzenie rady ministrów Białorusi. Poinformowano mnie, że jestem z całą rodziną wyznaczony do *specpieresielenja* – deportacji. Mam prawo zabrać swoje osobiste rzeczy. Znieruchomiałem i drżącym głosem zapytałem, „co takiego złego zrobiłem, że deportujecie” usłyszałem, że jestem z rodziny kułaków, a chwasty wyrывa się razem z korzeniami – żadnych pytań, mam zabierać swoje rzeczy, dopóki są cierpliwi inaczej pójdę bez niczego. Ich cierpliwość się wyczerpała i mam ich nie denerwować.

Miałem drewnianą skrzynkę w kształcie walizki z zepsutym zamkiem, do której beładnie powkładałem swoje rzeczy i związałem sznurkiem. Kołdrę i poduszkę przewiązałem prześcieradłem na cztery rogi i zarzuciłem na ramię. Do ręki wzięłem *czemodan* – walizkę. Wychodząc oddałem klucz sąsiadce

i poprosiłem ją, aby przekazała mojej gospodyni wiadomość o deportacji i przeprosiła, że nie zdarzyłem ugotować kopytek.

Na komendzie milicji zamknięto mnie w piwnicy. Usłyszałem trzaśnięcie żelaznych drzwi i zgrzyt kluczy w zamku. Usiadłem na pryczy. Rozrzewniłem się, a w piersiach poczułem bolesne klucie. Szlochając zacząłem odmawiać różaniec, potem zawołałem głośno „Boże nie opuszczaj nas”. Przeczuałem, że pozostali członkowie mojej rodziny przechodzą to samo. Nie myliłem się. W tym samym dniu wszystkich aresztowali. Byli u Miry, Heni z Marianem i rodziców.

W celi zrobiło się ciemno, siedziałem osłupiały i bez ruchu. Co jakiś czas wołałem „Boże nie opuszczaj, nie opuszczaj, nie opuszczaj... nas”! Jeszcze tego samego wieczora żołnierze zawieźli mnie do Wilna. Znalazłem się na głównej komendzie w budynku. Tam na I piętrze duża sala, a w niej mnóstwo rodzin, płacz i krzyk. Jedni głośno się modlili, drudzy pomstowali, inni śpiewali „Pod twą obronę”. Widok był przerażający. Dołączyłem do śpiewających. Około północy wszedł żołnierz z pepeszą, miał jedną belkę na naramiennej naszywce i głośno wymienił moje nazwisko, zakomunikował, że jest tu moja siostra. Wcześniej bowiem zobaczyłem w tym ludzkim tłumie zapłakaną Mirę z płachtą na plecach. W tej samej chwili ona zobaczyła także mnie. Przepychając się przez tłum powoli zbliżyliśmy się do siebie w milczeniu. Przywarliśmy do siebie i długo tuląc staliśmy nieruchomo, a ja głośno powiedziałem: „nie płacz – Bóg nas nie opuści”.

W milczeniu przytuleni do siebie siedzieliśmy na naszych rzeczach. Po dwóch godzinach ten sam żołnierz znowu woła: „Naruszewicz zjedź po brata!”. Patrzę i własnym oczom nie wierzę. Widzę stojącą ciężarówkę z otwartą tylną burtą w rozjeżdżonym po kostki błocie. Na górze żołnierz zrzucający bezwładnie rzeczy prosto w błoto, fruwały buty, suknie, podkoszulki, bielizna damska, kołdry. Obok w błocie stoi mój ośmioletni brat Marian, bez czapki, w Heni płaszczu, z krzywo zapiętymi guzikami. Spłakany, zastraszone, zmarznięty. Nic dziwnego, jechał 60 km na pace, w bardzo zimną kwietniową noc, w asyście uzbrojonych żołdaków. Podbiegłem do niego, mocno przytuliłem widząc, go samego zapytałem o Henie, broda mu się trzęsła, słysząc było zgrzytanie zębów, nie mógł wypowiedzieć słowa.

Poczułem szturchnięcie kolbą pepeszy i usłyszałem „*bystrej*”. Pozbierałem porozrzucane, obłocone i mokre rzeczy. Marian zaczął mi pomagać, ale idąc po schodach przydeptywał długi płaszcz Heni, który całkowicie utrudniał mu poruszanie się. Puściłem go przodem. Mira poprawiła mu płaszcz i przytuliła. W środku było ciepłej. Ja zacząłem związywać i układać rzeczy. Na sali większość ludzi zasypiała na siedząco, ucichło szlochanie, my też przytuliliśmy się i już w trójkę, na siedząco zasnęliśmy.

Droga do miejsca zesłania

Rano powstał szum i rumor, pojedynczo zaczęli nas rodzinami wyprowadzać i ładować na ciężarówki. Gdy przyszła nasza kolejka, dokooptowano do nas jeszcze trzy rodziny. Pod eskortą dwóch żołdaków na burcie i dwóch uzbrojonych żołnierzy w kabinie było nas jedenaście osób. Jechaliśmy ponad 3,5 godz. Zawieźli nas do Oszmiany na Białorusi. Na miejscu na rampie czekał jeszcze dwie godziny, aż wreszcie przyszło dwóch żołdaków z oficerem i kazali nam iść do wagonu. Tam byli rodzice z Tereską.

Kazano ludziom wchodzić do wagonów towarowych, w których były zakratowane okna. Otwarte były tylko z prawej strony rozsuwane drzwi. Cała lewa strona od wewnątrz była zablokowana. Znajdował się tam tylko niewielki otwór na korytko służące jako ubikacja. Zawiesiliśmy przy nim koc, aby w jako takiej intymności korzystać z potrzeb fizjologicznych. Na środku wagonu stał żelazny piecyk z palnikami u góry i rura, która wystawała za dach, obok niego leżało około 20 kg węgla i stała beczka wody. Po obu końcach drzwi były półki na wysokości 1.2 m na całą szerokość wagonu, które stanowiły „drugie piętro” do spania. Na każdej z półek miało spać po 8 osób, czyli razem 33 osoby. Aby jako tako się przespaciać było ludzką niemożliwością

Moi rodzice oraz dwie bezdzietne rodziny pozostali na podłodze wagonu, wszyscy leżeliśmy głowami do kierunku jazdy pociągu, który odjechał dopiero po południu. Nikt nie wiedział, dokąd nas wiozą, ani ile potrwa podróż. Pociąg zatrzymał się dopiero na drugi dzień w południe. Słyszeliśmy jak inne pośpieszne pociągi omijały nasz skład. Staliśmy na jakiejś dużej stacji towarowej, a zasłaniały nas z obu stron wagony towarowe. Po 30 min. rozsunięto drzwi i wszedł oficer, według listy sprawdził nazwiska i liczbę osób. Stojący na ziemi żołnierze wybrali dwie kobiety, które miały małe dzieci. Wśród nich znalazła się moja mama, dali im po dwa wiadra i rozkazali, aby poszły po wodę w asyście żołnierzy. Całą zawartość wody z wiader wlały następnie do beczki. Mama jednak została w wagonie, a tej drugiej kazano pójść z nimi. Wróciła za godzinę niosąc w jednym wiadrze zupę, bardzo rzadką z pływającymi okami oliwy. W drugim wiadrze był czarny razowy chleb, na jedną osobę wypadało po 35 g zupy i 400 g chleba. Wielką sztuką było podzielić sprawiedliwie wśród wszystkich głodnych te skromne porcje pożywienia i w dodatku zachować resztki ludzkiej godności. Była to porcja jednodobowa, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedzieliśmy.

Każdego dnia w porze obiadowej pociąg zatrzymywał się na dwie godziny na dużych stacjach kolejowych, ale w dalszym ciągu nie wiedzieliśmy dokąd zdążamy. Czasami ludzie, którzy byli na górnych półkach wypatryli jakąś stację np. Saratow, Odessa. Tylko takie mieliśmy informacje. Po tygodniu podróży najgorsze dla wszystkich były te momenty, gdy drzwi wagonu zasuвано i zamknięto na śrubę od zewnątrz. Wiedzieliśmy już, że coraz trudniej jest nam wytrzymać w tak podłych warunkach. Pomału zaczynaliśmy też tracić orientację, nie mogliśmy już spamiętać – ile tak naprawdę czasu upłynęło od wyjazdu.

Pewnego dnia mama odbierając zupę, zauważyła sporo ludzi o ciemnej karnacji, mówili niezrozumiałym dla niej językiem. Domyślaliśmy się, że to Kazachowie. Nasze przypuszczenia potwierdziły się, byliśmy na stacji Aralsk w Kazachstanie. Kiedyś udało mi się wejść na górną półkę wagonu, na długim łuku torów zdążyłem naliczyć 73. wagony. W pierwszym i ostatnim byli żołnierze, a w każdym wagonie była budka hamulcowa i stali żołnierz z bronią

Kiedyś pociąg zatrzymał się w polu, było to dla nas ogromnym zaskoczeniem, ale dla żołnierzy celowym działaniem. Przez kraty w oknach zobaczyliśmy jak w prześcieradłach żołnierze wynoszą zwłoki trzech osób. Nie wiem, dokąd zanieśli ciała, bo step był falisty i trudno było nam więcej wypatrzeć. Po 20 minutach pociąg dał sygnał i ruszył dalej. Za kilka dni sytuacja się powtórzyła, była wówczas noc, drzwi odryglowano, w sąsiednim wagonie słychać było komendy, odgłosy tupiących nóg.

Z dnia na dzień w wagonie robiło się coraz parniej, zaczęło też brakować wody w beczce. Zwróciliśmy się z prośbą o zwiększenie ilości wody, przy południowych postojach. Nasza prośba została spełniona, od tej pory mieliśmy podwojoną ilość.

Dżambuł

3 maja 1952 roku wczesnym rankiem wagony zepchnięto na ślepy tor. Było bardzo gorąco, chyba 40° C. Pociąg zatrzymał się, a my zobaczyliśmy kilkanaście ciężarówek, które podjeżdżały pod wagony. Sprawdzono listę a potem kazano nam wsiadać do samochodów. Wjechaliśmy po wyboistej drodze około dwóch godzin, za nami unosiły się tumany pyłu i kurzu. Przywieziono nas na plac kantoru – tak nazywało się biuro kołchozu. Za nami dojechało jeszcze pięć rodzin, ktoś poinformował, że można dostać herbatę u Kazaszki stojącej blisko nas. Gotowała ją w kociołku i rozdzielała chochlą, każdy z nas zaczął biec z naczyniem, bo pragnienie było silniejsze od dumy. Nagle w wojskowym mundurze w stopniu kapitana z NKWD pojawił się żołnierz. Od razu, w cieniu, bo słońce było zbyt ostre postawiono przed nim stolik z krzesłem. Poleciał nam wszystkim się zbliżyć i poinformował po rusku, że będzie naszym opiekunem. Kazał pojedynczo podawać nazwiska i podpisywać się na liście. Jednocześnie zaznaczył, że bez jego zezwolenia nie można nikomu się oddalić poza teren kołchozu, dowiedzieliśmy się także, że zostaliśmy przywiezieni tutaj do pracy, a o ucieczce mamy nawet nie marzyć. Będziemy tutaj dożywotnio, a kto będzie pracował z głodu nie umrze. Nie ma stąd odwrotu, powinniśmy dziękować władzy radzieckiej, że daje nam szansę na życie. Zaznaczył również, że po sezonie letnim, zimą z jego tylko dobrej woli będzie dawał jednej osobie z rodziny raz o w miesiącu przepustkę po zakupy do miasteczka Pachtu-Arlaku oddalonego od kołchozu o 12 km. Ostrzegał, że gdyby, kogoś złapano bez przepustki, wówczas będzie zmuszony do zastosowania wobec niego surowej kary.

Potem głos zabrał *predsiedatiel*- przewodniczący kołchozu. Słabo mówiący po rosyjsku, dowiedzieliśmy się od niego, że jest to kołchoz imienia „Dżambuk”. Na jego terenie znajduje się ponad tysiące hektarów plantacji bawełny. Bawełna wymaga troskliwej pielęgnacji, musi być na czas spulchniona, przerywana, podlewana. Pracy jest dużo, w sezonie od maja do października będą płacić nam zaliczkowo po kilogramie mąki, za tzw. *trudodzień*. Wpłata będzie, co 10 dni.

Aktualnie na każdą rodzinę czeka przygotowane mieszkanie, do którego zostaniemy przewiezieni, jutro mamy dzień wolny na przygotowanie się do pracy, do której mamy zabrać ze sobą picie i pożywienie. W południe wydawana będzie herbata według indywidualnych potrzeb. Praca codziennie rozpoczyna się od 5.00 do 13.00, z przerwą do 16.00, a kończy o 21.00. Potem przedstawili się brygadziści, którzy mieli wybrać swoich ludzi i życzył nam dobrej współpracy.

Czekaliśmy na transport, przyjechał powóz zaprzężony w woły, które często były tam do tego celu były wykorzystywane. Chciano osiedlić nas szybko. Od kantoru wzięli nas 1,8 km. Na miejscu zajęliśmy lepiankę, która przeznaczona była dla dwóch rodzin. Od siebie oddzielała nas ściana, przedzielona osobnym wejściem. Nasze lokum to izba o wymiarach 3-3,5 m – razem 11m². Wszystkie lepianki były identyczne i obojętne czy rodzina była duża czy mała,

każda otrzymywała jednakową. Nasza rodzina liczyła sześć osób, a za ścianą mieszkała matka z córką. Izba była wyposażona w murowaną kuchenkę z blatem o jednym otworze z fajerką, w rogu stała leżanko-prycza także murowana. W ścianie znajdowało się maleńkie okno i drzwi zbite z nieheblowanych desek. Drzwi były zamykane na skobel, a w deskach miały szpary, dach pokryty gałęziami i trzcina, od samej góry był posmarowany gliną. W porach opadów glina rozpływała się i po trzcinie spływała na klepisko, na garnki i prycze. Mieliśmy też instalację elektryczną. Na samym środku izby na kablu wisiała żarówka bez wyłączania gniazdka, za to w rogu na ścianie jeden bezpiecznik, do włączania i wyłączania. Światło włączano tylko jesienią i zimą od zmroku do godz. 23.⁰⁰.

Latem w południe, temperatura powietrza wynosiła od 50-55° C, a w nocy spadała do 15° C. Wiezorami otwieraliśmy drzwi i okno, aby przewietrzyć izbę, trochę ją ochłodzić. Nad ranem zawieszaliśmy koce, aby zatrzymać trochę zimna, przeważnie brakowało jednak tlenu, a nagrzone ściany i dach robiły swoje.

Po drugiej stronie ulicy, właściwie jednej ujeżdżonej drogi, mieszkała Niemka z dwójką dzieci. W czasie wojny mieszkała w Nadwołżu, ale gdy front niemiecki zbliżał się pod Moskwę to Sowieci oczyszczali tyły z „niepewnej ludności”. W taki sposób została ona wywieziona w to okropne miejsce 10 lat wcześniej od nas.

Jako pierwsza z sąsiadek przyszła do nas, mogliśmy wreszcie porozmawiać po rosyjsku, ostrzegała nas przed wypiciem nieprzegotowanej wody, którą braliśmy z kanału. Wyjaśniała, że po przyniesieniu jej do lepianki, trzeba zostawić ją w wiadrze na 8-10 godz., musi odstać, by na dnie osiadł muł, potem można ją przegotować i po ostudzeniu pić. Od sąsiadki dostaliśmy też trochę badyli po bawełnie, do palenia, gdyż zostaliśmy przywiezieni już po okresie, gdy ludzie gromadzili zapasy opałowe. W przerwach w pracy, chodziłem z ojcem po rowach i zbieraliśmy suche badyle traw czy też końcówki zgiętej kukurydzy. Wszyscy wygnańcy zbierali zimą badyle po bawełnie, układali je w stosy robiąc w ten sposób zapasy na cały rok, oficjalnie było to zabronione, ale kto co miał koło swojej lepianki nikogo nie obchodziło. Najważniejsza zasada polegała na tym, by nie dać się złapać stróżom nocnym, którzy jeździli na koniu i pilnowali. Gdy kogoś złapali to zabierali mu wszystko. Badyle, te bowiem nie tylko dla nas były jednym z podstawowych środków do życia w kołchozie. W specjalnych suszarniach wyjmowano z nich resztki niedojrzałych kokonów bawełny.

5 maja o 5 godz. usłyszeliśmy stukanie do drzwi, to brygadzysta uderzał ręką od bata, siedział na koniu i wzywał w ten sposób do pracy. Co drugie słowo mówił po rosyjsku, był to Kazach. Mama wymówiła się od pracy tłumacząc, że jest chora i ma małe dziecko. Zabrał ojca i mnie i jeszcze innych pięciu Polaków. Dostaliśmy kekmeny, to takie duże haki. Potem nam je odliczono od zarobku, brygadzysta jechał na koniu, a my pieszo za nim w pole, które znajdowało się w odległości 4 km.

Cała plantacja podzielona była na odcinki, 1000 m długości i 250 m szerokości. Bawełna sadzona była rzędami, między kanałami do nawadniania jej, co kilometr szły równoległe kanały główne. Od nich, co 250 m mniejsze, które służyły także do nawadniania. W ten sposób powstawały kwadraty 1000 m x 250 m, które nazywano *uczastkami*. Obrazowo kwadraty te powstawały tworząc, co trzeci, siódmy czy dziesiąty, liczone kolejno – od pierwszego *uczastka*. Był to niepowtarzalny dla oczu widok.

W pierwszym dniu pracy byliśmy na czwartym *uczastku*, brygadziosta przedzielił nam po pięć rzędów każdemu 1000 m długości, pokazał jak przerywać. Mieliśmy zostawić jedną silną, albo dwie słabe sadzonki bawełny. Wokół roślin spulchnialiśmy ziemię, bo była bardzo twarda. Teraz zrozumieliśmy, dlaczego dostaliśmy takie duże kekmey, które trzeba było mocno i głęboko wbijać je między rzędami. Brygadziosta przychodził co chwilę i pokazywał w których miejscach trzeba poprawić. Miejscowi mieli po dziesięć rzędów i byli już daleko w przed nami. W dodatku bez poprawek, wieczorem brygadziosta mierzył ile kto zrobił, ja z ojcem mieliśmy po 0,7-0,6 *trudodnia*, miejscowi 1,3-1,5 *trudodnia*. My nie mieliśmy jeszcze wprawy i doświadczenia w tej ciężkiej pracy. Po pierwszej ręcznej obróbce bawełny, jechał traktor z kultywátorem, spulchniał głęboko ziemię między rzędami, potem robił bruzdy, tzw. rajki, w które wpuszczano wodę na $\frac{3}{4}$ wysokości rajki. Ręcznie kopaliśmy poprzeczne kanaliki pilnie obserwując, by nie zatopić roślin. Miejscami zapory puszczały, szybko, więc musieliśmy je zatykać, ogólnie teren był równy, ale zdarzały się niewielkie nierówności, do których stopniowo odcinkami nalewaliśmy wody. Trzeba było tak nawodnić, aby woda na powierzchni utrzymała się przez dwa dni, aż nasiąkła nią ziemia. Przynajmniej trzy razy podlewano, aż do zarośnięcia rajki. Bawełna jest rośliną delikatną, pracochłonną, wymagającą odpowiedniej pielęgnacji. Tak uprawiane pola dawały obfite plony, na jednym krzewie rośło ok. 40-50 kokonów, w każdym kokonie (8 sekcji), po 7-8 ziarenek obrosniętych włóknem bawełny długości 1-1,3 cm. Dojrzała bawełna stanowi piękny widok, rośnie w postaci puszystego pąka o wielkości ludzkiej pięści, pomiędzy zielonymi liśćmi wyrasta białutki puch. Bawełna dojrzewała stopniowo, ostatnie zbiory odbywały się w październiku. Trzeba było wówczas ją dosuszać, bo pora roku temu nie sprzyjała. Często padające deszcze i brak słońca zmuszały do jej wcześniejszego zrywania.

Dojrzałą bawełnę przewożono do fabryk, w celu dalszej obróbki. Ziarenka obdzierano z włókna, część przeznaczano na nasiona, część na olej bawełniany. Całkiem małą – karmiono bydło, natomiast krzewy, na których rosła przeznaczano na opał. Nic się nie marnowało. Po 5. dniach wspólnej pracy z ojcem zarobiliśmy 7. *trudodni* czyli 7 kg mąki, którą u Kazachów zamienialiśmy na 18 kg kukurydzy. Musieliśmy tak zrobić, aby przetrwać. Byliśmy w gorszej sytuacji niż pozostali mieszkańcy, bo przywiezieni zostaliśmy w maju.

Każda rodzina w kolchozie miała działkę, na której w większości sadzano kukurydze. Moja rodzina również, w drugim roku pobytu, po rozliczeniu przychodów i rozchodów w kolchozie, otrzymała działkę. Miejscowi zamieniali kukurydzę na mąkę pszenną. My zmuszeni byliśmy żyć z zaliczkowych kilogramów mąki, której było stanowczo za mało dla naszej dużej rodziny. Ciągłe towarzyszył nam przejmujący głód, jedliśmy tylko kukurydzianą kaszę na wodzie. W ciągu dnia starczało na przygotowanie tylko dwóch identycznych posiłków – rannych i wieczornych.

Do podlewania bawełny utworzono dwie zmiany. Pracowałem z ojcem codziennie po 12 godz. Boso, grzęznąc do połowy łydek w glinie. W dzień upał osłabiał cały organizm, a w nocy ochłodzenie nie przynosiło ulgi. W dodatku żołądek domagał się pożywienia. Podczas pracy na polu musieliśmy oszczędzać przegotowaną wodę, którą braliśmy z lepianki. Nic dziwnego, że po 3. miesią-

cach takiego życia, ojciec zachorował na dyzenterię – krwawa biegunka. Wielu ludzi chorowało na tę chorobę, zwłaszcza osoby starsze. Ojciec znalazł się w szpitalu, po 10. dniach został wypisany do domu. Nie było nawet, za co wykupić leków, nie wspominając o zastosowaniu zalecanej diety. Mama podawała ojcu jedynie bardziej rozrzedzoną kaszę kukurydzianą na wodzie. Po krótkim czasie nastąpił nawrót choroby z podwojoną siłą. Ojciec tracił siły. Wypożyczyłem więc w kołchozie osiołka, na którym posadziłem ojca i prowadząc zwierzę odwoziłem do szpitala. Tym razem przebywał tam 17 dni. Na szpitalnym wyżywieniu nabrał trochę sił, zatrzymano biegunkę i wypisano do domu. Sytuacja jednak powtarzała się, a choroba nasilała.

W czasie choroby ojca pracowałem na całą rodzinę, zarabiałem tylko 1,3-1,5 *trudonia*. Zostawialiśmy trochę mąki dla ojca, by mama mogła mu upiec placek czy ugotować na wodzie zacierki. Resztę zarobku wymienialiśmy na kukurydzę i dalej głodowaliśmy. Zachorowałem na tą samą chorobę co ojciec, na szczęście mój młody i silny organizm pozwolił mi niebawem wrócić do pracy. Po 5. dniach poszedłem do kantoru z podaniem o pożyczkę 50 kg mąki. *Predsiadatel*, najpierw sprawdził jak pracuję i dopiero otrzymałem 30 kg mąki, którą wymieniliśmy na kukurydzę, zostawiając część ojcu na dietę. Wcześniej mamie udało się otrzymać, w zamian za poduszkę, 3 kg kukurydzy. Ojciec słabł jednak z godziny na godzinę, marniał w oczach. Widząc naszą trudną sytuację sąsiadka Niemka, co jakiś czas z litości przynosiła dla nas trzylitrowy garnek kukurydzy, co było dla nas wielkim dobrodziejstwem z jej strony.

Gdy rozpoczął się zbiór bawełny, przeniesiono mnie do jej ładowania w kanary – worki jutowe - mieszczące od 75-80 kg. Odbywało się to tak, że na dużym klepisku rozsypywano z poprzedniego dnia zbiór bawełny. Co jakiś czas przewracano ją w celu wysuszenia. Potem w kanarach ładowano na furmanki do których zaprzęgano konie, po 22. – na każdą oraz samochody ciężarowe, po 50 kanarów. Załadowaną bawełnę przewożono do fabryki przeróbki bawełny w Pachta-Arlaku, odległego o 12 km od kołchozu. Kanary magazynowano w stogach o wysokości 5 pięter, o długości 150 m. Często wysyłano mnie do rozładowywania samochodu i wnoszenia kanarów na stogi. Najciężej było, gdy sterta była w końcowej fazie układania. Wchodziło się z ciężarem po kołyszących trampolinach zbitych z desek w zygzak. Nie zawsze docierałem do celu z ciężarem na plecach, nogi się trzęsły z wysiłku, a w gardle zasychało od gorąca i zmęczenia, ponadto w południe doskwierał upał 45-50° C, czasami się dziwiłem ile też człowiek może wytrzymać. Samochód rozładowywany był we dwóch. W czasie transportu kanary na samochodzie wiązane były linami, żeby ich nie pogubić. Jeden z ładowaczy zawsze jechał na górze.

Któregoś razu na jechałem siedząc na szczycie ułożonych kanarów, trzymając się lin. Droga była wyboista. Przejeżdżaliśmy przez kanał wodny, po jego obu stronach na drogach były duże doły. Ziemię wywożono na nasypy, samochód zjeżdżając z mostu nagle zakołysał się ściągnęło go w bok i z nasypu zaczął opadać w dół. W tym czasie trzymałem się mocno lin, a samochód upadł na bok, wtedy puściłem liny i czołgając się po ziemi zacząłem uciekać. Przed samymi moimi nogami samochód obrócił, a to, co na górze znalazło się na dole, koła samochodu obracały się w górze, a kierowca i konwojent leżeli głowami w dół. Kabina zawisała w powietrzu na wysokości konarów. Chciałem pomóc ludziom z kabiny, ale nie mogłem dostać się do drzwi, były zbyt wysoko, z wiel-

kim trudem udało się je otworzyć. Usłyszeliśmy brzęk sypiących się spod siedzenia różnych samochodowych, uderzyły o dach ciężarówki. Z całej tej opresji udało się nam jednak wyjść cało.

Od października zatrudniony byłem jako palacz w suszarni bawełny. Na opał wykorzystywane były suche badyle po bawełnie, pracując nocą miałem okazję przynieść dwie wiązki do domu. Było to wielkim ryzykiem, ale dużym zaoszczędzeniem i tak ograniczonego domowego opału.. W listopadzie na polach po zbiorze bawełny zaczynała się orka i wtedy pracowałem na polu, obsługiwałem pług, pracowałem w większości na siedząco na ramie pługa, i mimo wszystkiego regenerowałem mocno nadwyrężone siły. Operując pługiem regulowałem głębokość orki oraz na zakrętach podnosiłem lub opuszczałem pług. Prace zaczynaliśmy o 5 rano, a kończyliśmy o 23.00, w tym były dwie godzinne przerwy, po godzinie na obiad i podwieczorek. Na polu stał barak, w którym kobieta gotowała herbatę i piekła *lepioszki* na koszt kołchozu. Mogłem wreszcie najść się chleba i napić herbaty do woli. Sumienie jednak nie pozwalało mi cieszyć się takim darem, od razu przed oczami widziałem bliskich, którzy byli głodni. Próbowałem co jakiś czas myśleć, że nikt nie widzi, ukradkiem kawałki chleba wrzucałem pod bluzkę, żeby zanieść do domu. Żał mi było Tereni i coraz słabszego ojca, który prawie już nic nie mógł jeść. Pamiętam, że najmłodsza wówczas czteroletnia Terenia potrafiła czekać do północy na kawałek chleba. Gdy spała budziłem ją. Nie zapomnę jej świecących oczu i roześmianej buzi, gdy po małym kawałeczku chleba zaspakajała głód. Zdarzały się takie dni, że potrafiłem przynieść 1,5 kg małych kawałeczków. Każdy wtedy mógł zjeść po kilka. Mama dyskretnie zostawiła je po to by dać rano Tereni. Współpracownicy zauważyli, że podbieram chleb i w końcu jeden powiedział głośno „ten chleb idzie, jakby ktoś miał tu dwa brzuchy”! Poczulem mrówki na ciele, a cała twarz poczerwieniała. Obsługująca kobieta dyskretnie powiedziała mi żebym więcej się nie narażał, że ona na fajrant zawsze postara się przygotować trochę więcej chleba. Przyznałem się jej, że to dla czteroletniej siostry i umierającego ojca. Po pracy prawie codziennie wciskała mi jedną *lepioszkę* albo więcej. Było to zenujące, ale takie było życie, które polegało na walce o przetrwanie. Stąd też na zawsze owe *lepioszki* będą dla mnie niezapomnianym smakiem, który wspomagał nas przy utrzymaniu się przy życiu.

Jedno wiem, że najlepiej wychodziły one spod zwinnych rąk i palców kobiet, które z niczego potrafiły wyczarować przepyszne danie. Piekły je w piecu, gdzie w jego podniebieniu oblepiały dobrze rozrobione ciasto, w dole pieca paliły mały ogień podtrzymywany łodygami bawełny. Kiedy ciasto zaczynało się rumienić, energicznie odrywały całą powierzchnię, a następnie z drugiej strony przyklepiały cały kawał ciasta. Podczas jedzenia rwano po małym kawałku chleba.

W czasie zimy orkę pól bawełnianych przerywano. Zostałem wysłany do innej pracy. Zacząłem pracować jako ładowacz w magazynie zbożowym. Pracowaliśmy w czwórkę przy ładowaniu pszenicy w worki, które układaliśmy w samochody kołchozowe i rozwoziliśmy do młynów. Pracowałem w dużych gumowych butach, do których celowo wsypywałem pszenicę, a wcześniej wyjmowałem z nich onuce po to, by więcej ukraść zboża. Po drodze do młyna przesypywałem ziarno z butów do teczki, a na fajrant zabierałem do domu. Nic nie powinno usprawiedliwiać kradzieży, ale gdybym w tym okresie postępował

inaczej na pewno więcej osób z mojej rodziny, by odeszło. Całą nadzieję pokładaliśmy w nadejściu wiosny gdyż wtedy mieliśmy już własną działkę i nie musieliśmy mąki wymieniać na kukurydzę, bo mieliśmy i mąkę i kukurydzę.

W grudniu znowu otrzymaliśmy pomoc od rodziny z kraju, był to przekaz na 250 rubli i paczka. Przede wszystkim były w niej dla ojca biszkopty, kasza manna, dla nas wędzony boczek, makaron trochę suszonych grzybów, a na Święta Bożego Narodzenia, opłatek. Choć przez święta musiałem pójść do pracy, bo w sumie były tylko trzy dni wolnego w roku (1 stycznia, 1maja i 7 października). To były dla nas dni uroczyste i odmienne od koszmarnej codzienności wypełnionej pracą ponad siły.

Wigilia. Mama upiekła bułeczki z mąki razowej – przesianej przez drobne sito, ugotowała barszcz z grzybkami. Wróciłem z pracy i usiedliśmy do uroczystej wieczerzy. Łamaliśmy się opłatkiem od Heni i ze łzami w oczach składaliśmy sobie życzenia doczekania w zdrowiu powrotu do kraju. Ojciec głośno rozplakał się mówiąc, żeby tylko doszedł do sił to ucieknie i dojdzie do kolei pieszo, a tam towarowymi wagonami dotrze do kraju, aby zostawić swoje kości na ojczystej ziemi, bo tu boi się nawet zginąć, ale los pokierował jednak inaczej.

Była to ostatnia wigilia w jego życiu dołączył do kilkudziesięciu tysięcy ofiar Syberii. Był ofiarą systemu komunistycznego, zmarł w wieku 49 lat, 14 marca 1953 r. Przedtem nigdy nie chorował mógł żyć jeszcze przez długie lata, nie tylko dla siebie, ale przede wszystkim dla rodziny. Zemsta za odmówienie kolektywizacji ziściła się, a słowa wypowiedziane przez organizatora kołchozów – *pożalejesz*, spełniły się dzięki zbrodniczemu systemowi. Stopniowo po trupach do władzy za wszelką cenę.

Ojciec zmarł rano. Kantor był czynny dopiero od 22 nie miałem wyjścia, musiałem czekać, chciałem załatwić deski na trumnę, nie mogłem dopuścić do tego, by ojca pochować w prześcieradle wg. tradycji. Wieczorem z podaniem udałem się do kantoru, *predsiedatel* był zdziwiony, że chcę dla ojca trumnę. Po usilnych próbach i wytłumaczeniu, że od pradziadków tak chowamy zmarłych, wyraził zgodę na wydanie desek. Dostałem 2 metrowe i 12 desek o szerokości 30cm.

W kołchozie był warsztat mechaniczno-stolarski, w którym pracował jeden człowiek od wszystkiego. Pobiegłem do niego aby poprosić o zrobienie trumny, ale on nie wiedział jak ona wygląda. Szybko narysowałem kształt dwóch połówek pasujących do siebie. Zgodził się, odetchnąłem z ulgą, na drugi dzień razem zrobiliśmy trumnę. Znalazłem dwu i pół metrową rurkę, którą uciąłem, na ramieniu przyniosłem do warsztatu, pospawałem i z niej zrobiłem krzyż.

W nocy mama z dziećmi spała na pryczy, a ja z nieboszczykiem na leżance. Pilnowałem świeczki, by w czasie, gdy się wypali wymienić na następną. Bardzo się śpieszyłem z pochowaniem ojca, gdyż z końcem marca temperatura sięgała powyżej 25° C, a izba mała i tyle w niej było osób. Sąsiedzi wykopali dół, obok innych zmarłych. Wieczorem dostałem furmana, włożyliśmy trumnę na wóz i w towarzystwie około 50 ludzi odprawiliśmy ojca w ostatnią drogę. Pochowaliśmy kochającego ojca na dalekiej obczyźnie, z dala od rodzinnej ziemi. Był kolejną ofiarą okrutnego systemu.

Doczekaliśmy się w kołchozie rocznego rozliczenia za pracę ojca i moją. Ojcu za okres 3 miesiące obliczyli 110 *trudodni*, a mnie za 8 miesięcy 250 *trudo-*

dni, co dało razem 360. Wyszło po 3 ruble na *trudodzień*. Obliczono zaliczkę, którą brałem w sezonie tj. 300 kg mąki pszennej kosztowała po cenie państwowej 2,50 rubla, razem z ojcem zarobiliśmy 330 rubli. Po odciążeniu długu pomyślałem wówczas, że jako początkujący tokarz rok temu za miesiąc pracy zarobiłem więcej niż tutaj za 11 miesięcy. Pod koniec marca dostaliśmy upragnioną działkę. Była ona dla nas furtką do przetrwania. Skopałem ją, przygotowując do sadzenia kukurydzy i warzyw. Za otrzymane ruble kupiliśmy Mirce i Marianowi buty do szkoły, mnie gumowce, a mamie kwokę-kurę i 20 jajek do nasadzenia.

Na początku kwietnia wysłali mnie na stopy do kołchozowej fermy owiec w celu wyczyszczenia i pogłębienia studni. Ferma ta odległa była 320 km od kołchozu. Jechaliśmy na wielbłądach, był to jedyny środek transportu, którym można było tam dotrzeć. Wieźliśmy ze sobą zapasy mąki, soli, herbaty, nafty i zapalek, wśród nas był doświadczony przewodnik, majster - specjalista od pogłębiania studni. Do dyspozycji mieliśmy 5 wielbłądów, po 4 dniach morderczej podróży zobaczyłem 4 jurty pokryte filcem z wełny wielbłądziej o średnicy 5 m, w środku okrągłe ściany zbite z listew tworzyły szachownice. Jurty były wysokie na 2 m, w kształcie stożka na samej górze, w środku miały otwór o średnicy 1 m, który służył do ulatniania się dymu. W środku jurty znajdowało się małe palenisko otoczone kamieniami. Gotowano na nim w żeliwnych dzbankach z lejkiem i uchwytem wodę na herbatę. Wokół paleniska siedzieli biesiadnicy i pili herbatę z *pijałek* (filizanek bez ucha). Podczas picia herbaty panowała tajemnicza atmosfera, a wśród pijących wyczuwało się, że dla biesiadujących jest ona czymś wyjątkowym. Rytuał picia trwał przez trzy godziny w trakcie, których wszyscy pijący delektowali się napojem. Do esencji - zielonej chińskiej herbaty dolewali gotującą wodę do połowy filizanki, by nie zdążyła ostygnąć przed wypiciem. Picie takiej herbaty gasiło pragnienie.

Farma liczyła ok. 500-600 owiec, parę wielbłądów, koni, psów. Owce pasły się same i raz na dobę po południu przychodziły do wodopoju. Wtedy zaganiano je do zagrody, pojedynczo przez wąskie przejście liczone były przy wypuszczaniu, a te, które dawały mleko zapędzano do innej zagrody. Przy owcach pracowało 6 mężczyzn. Każdego ranka jeden z nich wyjeżdżał konno w step z psami i sprawdzał gdzie są owce w tym czasie. Troje z nich napełniało koryto z wodą, do tego celu służył im worek ze skóry wielbłąda, mieścił on około 50 litrów wody. Worek przywiązany był do liny i przechodził przez kołowrotek, a drugi koniec do wielbłąda, na głębokość studni. Stojący przy studni wielbłąd służył do pracy. Wypełniony worek był sygnałem dla człowieka, aby pogonić wielbłąda, ten biegnąc wydobywał na wierzch całą zawartość. Dwoje czekających ludzi chwyciło za worek i przelewało wodę go do koryta.

Studnia znajdowała się w najgłębszym dole i miała ponad 100 m głębokości z długim korytem. Specjalista wchodził do worka, opuszczaliśmy go w dół studni, tam worek napełniał ziemią i dawał znak błyskiem latarki, wyciągaliśmy i wypróżnialiśmy zawartość worka. Wnętrze studni obudowane było klockami z twardego drewna, te które było przegniłe, musieliśmy je wymienić na nowe. Raz w roku przeprowadzony był taki remont studni. Byliśmy tam przez 3 tygodnie, majster się nie spieszył nikogo nie poganiał. Wszyscy byliśmy zadowoleni, bo praca nie była ciężka, a jedzenie dostawaliśmy dość dobre. Po powrocie od studni kolacja zawsze była gotowa i za każdym razem jedliśmy baranie mięso, tzw. *łapsze*. Codziennie mężczyźni zabijali dużego barana,

a w protokole pisali, że padł. Raz w miesiącu przyjeżdżał na fermę weterynarz i podpisywał taki protokół, a oni śmiali się między sobą, że niejednokrotnie ta sama głowa owcy wisi przez 3 miesiące. Ich obowiązkiem było każdą niby padniętą owcę pokazać jako dowód. Odcinali, więc głowę od tułowia. Wysoka temperatura w krótkim czasie wysuszała powieszoną głowę. Weterynarz miał dowód i protokół, a mężczyźni pożywienie.

Z zabitej owcy gotowali *lapszę*. Najpierw obdzierano skórę ze zwierzęcia, potem rozdzierano ją przez środek wzdłuż całego tułowia, wyjmowano i wyrzucano wnętrzności, mięso cięto na kawałki, które wrzucano do żeliwnego kotła. Po ugotowaniu i obraniu mięsa od kości można było je dalej przygotowywać. W tym czasie do rosółu wrzucano makaron łazankowy, po ugotowaniu wrzucano obrane mięso i *lapsza* była gotowa do spożycia.

Mężczyźni siedzieli w kole po turecku, kobieta z dzbankiem i miską wody podchodziła do każdego, polewała wodą ręce. Na ramieniu miała przewieszoną ściereczkę, która służyła do wycierania rąk. Inna - dużą chochlą nabierała z kotła *lapszę* i już przestudzoną podsuwała każdemu jedzącemu. Wszyscy mężczyźni zanurzali prawą rękę w misie szukając odpowiednio dużych kawałków mięsa. Ja jako jedyny - *szoszkojad* tj. świnojad stanowiłem dla muzułmanów w tym gronie osobę według nich trefną, wobec tego dostawałem jedzenie w osobnym naczyniu. Mogłem jeść łyżką w ten dla mnie ludzki i naturalny sposób. W ciągu tych trzech tygodni przebywania na stepach wykonywałem lekką pracę, spożywałem treściwe posiłki. Poczułem, że nabrałem nowych sił. Praca dobiegła jednak końca i trzeba było wracać. Muzułmanie zaopatrzyli nas w owczy ser, który był bardzo smaczny i pożywny.

Po powrocie, w maju zaczęły się sianokosy, wysłano mnie wówczas do innej fermy, odległej o 90 km. Na trasie, 40 km trzeba było przejść pustynię. Pocieszeniem był fakt, że w pobliżu płynął kanał wodny z rzeki Symurdarja, który prowadził wodę do wszystkich kolchozów posiadających plantacje bawełny. Na miejsce zawieziono mnie i Heńka - Polaka samochodem ciężarowym. Zastaliśmy tam już zgrabione kupki siana, nasza praca polegała na podawaniu ich na wóz. Nikt nie chciał wykonywać tej pracy, szybko zorientowaliśmy się dlaczego. Co druga lub trzecia kupka była z lokatorami i to jakimi, mianowicie gnieździły się w nich jadowite żmije, które w cieniu kupek chroniły się przed piekącym słońcem. Były ich ogromne ilości, istna plaga, gromadziły się tam gdyż w nocy żerowały w płynącym w pobliżu kanale wodnym. Po uniesieniu kupki siana widłami, zaskoczona żmija nie ruszała się, wtedy energicznym i zdecydowanym ruchem wideł trzeba było przycisnąć ją mocno w pobliżu głowy oraz ostrożnie i silnie rozgnieść piętą. Pomimo upałów musieliśmy mieć koniecznie ubranie na sobie. Dostaliśmy także gumowe buty, dziennie każdy z nas potrafił zabić do 150 sztuk żmij. Po całym dniu wieczorem, gdy zamykałem oczy widziałem tylko wijące się żmije. Najgorzej i najniebezpieczniej było, wtedy gdy razem z sianem na widłach unosiło się kopiec, a z niego gady spadały prosto pod nogi. Były rozdrażnione i trudniej było je zabić. Po 3 tygodniach pracy w ciągłym napięciu, mieliśmy jej dość. W dodatku do jedzenia mieliśmy tylko chleb i herbatę, i to w niedużych ilościach, aby zaspokoić i oszukać żołądek. Co prawda na polu stało kwaśne mleko owcze, którego nie dało się jednak pić, było bardzo gorące.

Heniek zaczął namawiać mnie do ucieczki. Decyzji sprzyjał upał dochodzący do 50° C, obrzydliwe i niebezpieczne gady, przebywanie przez cały dzień w gumowcach, codzienna pobudka o 5 godzinie i praca do zachodu słońca. Zaplanowaliśmy ucieczkę w nocy, gdy wszyscy zmęczeni głośno chrapali, musieliśmy wcześniej zorganizować trochę chleba i chociaż po butelce wody. Po godzinie 24, po cichu wyślizgnęliśmy się z obozu i patrząc na gwiazdy obraliśmy kierunek południowo-wschodni. Pojawił się księżyc było łatwiej iść, musieliśmy pokonać jak najdłuższy odcinek drogi póki było chłodno, aby przez pustynię nie iść w dzień. Po 3 godzinach marszu zobaczyliśmy stóg siana, przypomniałem go sobie gdy jechaliśmy do pracy na fermę.

Teraz wiedzieliśmy już, że idziemy w dobrym kierunku, ale musimy lekko odbić w prawo. Mijając stóg, zmęczony poprosiłem Henia abyśmy choć na chwilę przy nim usiedli. Kapcie, które miałem na nogach rozlatywały się, stopy wychodziły na zewnątrz. Chciałem je przywiązać chusteczką zajęty kapciami usłyszałem jak Heniek krzyknął – chowajmy się ktoś jedzie konno – zobaczyliśmy dwóch jeźdźców. Mogła to być pogoń, na wszelki wypadek zakopaliśmy się w stogu. Jeden z jeźdźców objechał wokół stóg i krzyknął po kazachsku tu ich nie ma, po czym odjechali. Byliśmy przekonani, że to nas szukają. Nie mogliśmy iść na razie dalej, bo złapaliby nas w czystym stepie. Wydedukowaliśmy, że będą na pewno wracać, gdy nas nie znajdą. Jeszcze głębiej zakopaliśmy się w sianie, a słońce było już dość wysoko. Faktycznie wrócili i akurat postanowili odpocząć przy naszym stogu, siedzieliśmy cicho prawie nie oddychając. Wiedzieliśmy, że gdyby nas znaleźli nie mielibyśmy żadnych szans. Kazachowie to silni mieszkańcy azjatyckich stepów. W końcu się oddalili, a my spoceni, zgrzani i mokrzy ze strachu mogliśmy wyjść na zewnątrz. W ten sposób zmarnowaliśmy dużo cennego czasu, słońce już grzało, straciliśmy także dużo płynu w organizmie, a na pustyni każda kropla wody jest bardzo cenna. Słońce stało coraz wyżej, w powietrzu żadnego wiatorku, chciało nam się bardzo pić. To co mieliśmy trzeba było oszczędzać. Przed nami było jeszcze 20 km bezludnego terenu, z koszuli zrobiłem turban na głowę. Temperatura wzrastała bardzo szybko, pół łyka ciepłej wody długo trzymałem w ustach, nie rozmawialiśmy aby nie tracić niepotrzebnie energii - zupełne milczenie. Jedyna nie odparta myśl to, aby starczyło sił do jakiegoś zaludnionego miejsca. Po jakimś czasie zaczął ogarniać mnie strach i przerażenie, gorący piasek wsypywał się do kapci i ten nasilający się upał, z trudem przesuwiałem powieki. Oczy piekły czułem, że coraz trudniej patrzeć. Całą siłę skupiałem na nogach, wreszcie ulga, Heniek chrapiącym głosem szepcze: widzę jurte. Ja jej nie widziałem, widocznie Heniek był silniejszy ode mnie. Nagle poczułem, że nie mogę już iść dalej, nie mogę za nim zdążyć, przeraźliwie bałem się zostać sam.

Wypiłem ostatni łyk wody, w piersiach zaczęło piec, widzę też jurte, ale jakby stanęła w miejscu. A my przecież idziemy, widzę, że ktoś idzie do nas, to mieszkaniec jurty. Widząc nas z daleka wiedział co nam potrzeba. Niósł dzbanek wody i szedł na spotkanie. Dostałem na początek tylko 5 łyków, potem Henio, później polał nas po turbanach. Myślę szkoda wody, lepiej wypić. A on po chwili znowu daje nam po 6 łyków i zabiera dzban. Od razu w oczach pojaśniało, tylko jakieś ogromne pieczenie, resztę wody wylał nam na głowy i kazał iść za sobą. Zaprowadził nas do swojego domu – jurty.

W środku jurty znajdowało się sześć osób: dwie kobiety, troje dzieci: trzynastoletni chłopiec, dziesięcioletnia dziewczynka i roczny chłopczyk; usiedliśmy po turecku jak gospodarz, który wziął małego na kolana od młodszej kobiety, a ona w tym czasie bez słowa nalewała nam gorącą herbatę do *pijałek*. Piliśmy ostrożnie, małymi łydkami. Gospodarz cały czas zachęcał nas do picia ciągle uzupełnianej esencji gorącą wodą. Później podano nam *lepioszki*. Przez cały czas na ogniu stały trzy garnki z wodą, puste wymieniono na pełne. Pot spływał po nas ciurkiem, a koszule były mokre. Gospodarz spytał nas, dokąd zmierzamy? Wymieniliśmy kołchoz „Dżambukł”, i pobliskie miasteczko Pachta-Arłak. Twierdząco pokiwał głową i powiedział, że przed nami jeszcze 50 km. Piliśmy i jedliśmy około trzech godzin. Słońce było już popołudniowe, kiedy zaczęliśmy czuć powracające w nas siły.. Poprosiliśmy o wodę do naszych butelek, nalano nam do połowy butelki esencji, a resztę uzupełniono wodą. Wyjąłem pieniądze chcąc zapłacić, ale muzułmanin unosząc ręce w górę, i kręcąc głową nie wziął nic. Wszyscy podnieśliśmy się ze słowami – Allahum i Salum Malejkum - podając sobie ręce. Kobieta na drogę dała jeszcze *lepioskę*, a mężczyzna wyciągnął do nas obie ręce wypowiadając Allahum (z bogiem). Jak można zapomnieć takich ludzi...?

Może 3 km od jurty biegł kanał wodny. Jedno z odgałęzień, ułatwiło nam iść na skrót. Idąc wzdłuż kanału było łatwiej. W sumie przez step szliśmy 36 km, a wzdłuż kanału – 80 km. Droga był miejscami ujeżdżona, moczyliśmy w wodzie koszule, chłodząc się w ten sposób. Szybko rozleciały się nam kapcie, szedłem dalej boso, dobrze, że ziemia była mniej gorąca. Słońce coraz niżej, szliśmy przed siebie nie bacząc na zmęczenie. W jednym ze sklepów kupiliśmy po 2 oranżady, kilo cukierków – poduszczek z marmoladą w środku.

Cukier krzepił zmęczony organizm, szliśmy do wieczora i przez całą noc, co kilka godzin siadaliśmy na 15 minut. Po takim odpoczynku ciężko było wstawać. Kiedy słońce zaczynało już wschodzić byliśmy blisko dotarcia do celu. Kiedy doszliśmy spałem dzień i noc. Po obudzeniu się nie mogłem stanąć na nogi, bolały okropnie chyba miałem zapalenie mięśni, przez kolejne 3 dni nie mogłem zrobić kroku. Przez tydzień nie zgłaszałem się do pracy, w końcu dowiedziano się o tym w kantorze. Wpadł wówczas wściekły brygadzysta i niby podając mi rękę chwycił za ramię, a drugą uderzył mnie w plecy. Mama widząc to podbiegła do siedzącego na koniu brygadzisty i chwyciła za bat, a ja w tym momencie uciekłem do wysokiej kukurydzy.

Pojechał konno za mną, ale nie mógł mnie znaleźć, byłem w lepszej sytuacji, bo słyszałem stąpanie konia. Mogłem się chować, a mama cały czas biegła za nim. Wiedziałem, że gdyby mnie znalazł broniliby. W końcu zrezygnował i odjechał. Ja pobiegłem do *predsiedatiela* do domu na skargę mówiąc, że mnie pobił i nie będę u niego pracować. Heniek już wcześniej powiedział mi, dlaczego uciekliśmy z fermi. Kazał wieczorem przyjść do kantoru, zebrali się wszyscy brygadziści na, tzw. *dyspieczkę* – na naradę. Dyskutowano o mojej sprawie, potem dowiedziałem się, że rano na 5 godzinę mam się zgłosić do stajni. Zacząłem pracować w transporcie, rano nowy brygadzysta dał mi dwa konie, uprząż, wóz, bat, 1,5 kg kukurydzy dla koni, wysłał mnie do zwożenia siana w stogi. Potem miałem wypuścić konie, a o 16 godz. otrzymałem drugą parę koni.

Pracowałem wówczas jako furman, w czasie zbioru bawełny wywoziłem kanary bawełny do Pachta-Araku. Doskonale pamiętam jak była to ciężka i niebezpieczna praca. Dodatkowo jeszcze o 21 godzinie jechałem na pole po kobiety zbierające bawełnę. Dowoziłem je na punkt, tam warzono bawełnę i naliczano *trudodni*. Zwożenie zbiorów i kobiet przeważnie kończyło się około godziny 24, musiałem potem jeszcze odstawić konie do stajni. Najczęściej w domu byłem o pierwszej w nocy, a o 5 rano zaczynał się nowy dzień pracy. Za dniówkę miałem policzone 2,7- 2,8 *trudodnia*, a co dziesięć dni pobierałem zaliczkę 27-29 kg mąki. Pracując w polu miałem o połowę mniej. Mimo trudnych warunków byłem zahartowany i w dobrej kondycji zdrowotnej. Te atrybuty pozwoliły mi to wszystko wytrzymać i pracować ciężko na utrzymanie rodziny. Mira po ukończeniu VII klasy poszła też do pracy, zbierała bawełnę.

Uprawialiśmy też kukurydzę, która rosła na naszej działce. Mama w nocy ją podlewała inni robili to samo. Kiedy przyszedł przekaz pieniężny od Heni, mama przede wszystkim kupiła prosiaka i trochę niezbędnych rzeczy do ubioru, bo już nie mieliśmy w czym chodzić. Ja musiałem postawić jakiś chlewik dla prosiaka i kur, ale nie miałem materiałów. Musiałem sobie radzić, upatrzyłem słupek z podporą od linii elektrycznej, sytuacja zmusiła mnie do jego kradzieży. Całe szczęście, że byliśmy w Kazachstanie tylko 5 lat, bo w przeciwnym razie zostałbym nałogowym złodziejem. Chciałem żyć, dlatego sięgałem po nie swoje. Kradłem wędkę żeby łowić ryby. Zjadałem łowione ryby, bo byłem głodny.

Na wymurowanym chlewiku wg. długości podpory słupa, którą ułożyłem na środku zbudowałem daszek ze stożkowymi szczytami. W środku przedzieliłem pomieszczenie na dwie strony, z gałęzi i kukurydzianych badyli zrobiłem dach. Wierzch zasmarowałem gliną. Chlewik był dość długi, z jednej strony był świniak z drugiej strony kury, a później koza. Moim marzeniem było, żeby na długość domu wybudować werandę. Zacząłem pomału formować cegły i je suszyć.

Kończył się sezon zbioru bawełny, dostałem zlecenie na wożenie desek z Pachta-Araku do magazynu w kołchozie. Deski układane były jedne na drugiej, ale o zróżnicowanej długości, na kwiecie musiały zgadzać się sztuki. Jesienią szybko robiło się ciemno nie byłem tak widoczny, obcinałem najdłuższe deski. Cztery sztuki wrzuciłem do rowu, po pracy znosiłem je i chowałem w chlewisku. Nagromadziłem ich tyle, że starczyło na dach, drzwi i stół. Wiosną wymurowałem werandę. W jednym szczycie zrobiłem drzwi, w drugim na propek zbudowałem pryczę odtąd spałem z bratem.

Świniak, gdy miał około 100 kg nadawał się do zabicia. Z dzieciństwa pamiętam jak bije się świnie. Co innego jest wiedzieć, a co innego to zrobić. Przy zabijaniu świni pomagała mi mama. Trzymała przednią nogę świni, i przygniatała swoim ciężarem głowę. Miałem ostry nóż i silnym pchnięciem musiałem trafić w serce świni. Udało się za pierwszym razem. Świniak ucichł, a z rany trysnęła krew do podstawionej misy. Byłem dumny z siebie, że przebiłem serce bez zbędnego męczenia przerażonej świni. Za tylne nogi powiesiłem świniaka na belce, w chlewie można było spokojnie parzyć sierść. Och! Co to było za świniobicie? Wysmażone duże skwarki spod gardła jedliśmy z chlebem. Wszystkim, aż uszy się trzęsły, można było nareszcie najeść się do syta. Słoninę i sadło mama przetopiała na smalec i włożyła do słoików. Już wcześniej kupowaliśmy artykuły, aby zdobyć słoiki do zapraw. Mięso oddzielone od kości w ka-

wałkach obtaczała w soli, wkładała je do specjalnie uszytych woreczków z płótna, które z wierzchu też były posypane solą. Woreczki były szczelnie związane i powieszono we właściwym miejscu. Sposób zaczerpnięty był od miejscowych. Sól występująca z worków uszczelniała dokładnie dostęp powietrza, a na zewnątrz powstawała biała skorupa. W takim stanie mięso mogło wisieć miesiącami. Przed spożyciem należało je tylko mocno wymoczyć, a otwarty woreczek w krótkim okresie trzeba było zużyć. Kości z marynaty spożywane były pierwsze. Nie można było niczego zmarnować. Krojone podroby mama wkładała do żołądka zaszywała i w całości jeszcze raz gotowała, później przyciskała deską obciążając kamieniem. Było to pyszne. Na brak apetytu nikt nie narzekał, nie daliśmy nic zmarnować. Na wiosnę kupiliśmy kozę, a latem nowego prosiaka. Dorobiliśmy się 50 kur. Jajka, mama sprzedawała na bazarze kupcom z Taszkientu, po rublu za sztukę. To się opłacało. Z działki zebrałem wiele kolb kukurydzy. Chyba 1.500 kg. Powieszono na słońcu, po tygodniu łatwo się łuskały, starczało dla świń i kurek. Za ześrutowane ziarno płaciło się 1/10 miary lub wagi. Zaczęliśmy stawać na nogi, szkoda, że ojciec tego nie doczekał!

Rok 1954 dla kołchozu był rokiem nieurodzajnym, wszyscy to odczuliśmy. Każdy z nas bezpośrednio przepracował 361 dni, czyli 620 *trudodni*. Nasz kołchoz wykonał plan tylko w 75%, co oznaczało, że zgodnie z decyzją zarządu pracownikom obcięto 25% *trudodni*. Powiedziano nam, że źle pracowaliśmy. Obcięli mi 154 *trudodni*, choć do rozliczenia miałem 466. Taki plan to i małe pieniądze. Na 1 *trudodzień* wynosiło 2,85 rubla x 466 = 1328 rubli. Jeszcze w okresie sezonu od maja do września zaliczkowo obierałem 410 kg mąki po cenie państwowej 2,5 rubla za kg wyniosło to 984 ruble, do wyrównania zostało 344 rubli.

W pierwszym roku naszego pobytu głodowaliśmy, dlatego też aby przeżyć sprzedawaliśmy co się tylko dało. Pamiętam jak do pracy nie raz szedłem głodny. Obecna sytuacja była niczym w porównaniu z tym, co już mieliśmy za sobą.

Kiedy jeździłem do Pachta - Araku przeczytałem na ogłoszeniu, że jest pobór do szkoły na roczny kurs przyuczenia do zawodu traktorzysty - kombajnisty i innych maszyn rolniczych. Wymagane dokumenty to: zaświadczenie z pracy miejsca zamieszkania i świadectwo ukończenia VII klasy. Przewidziane było stypendium w wysokości 250 rubli miesięcznie dla dobrze uczących się oraz internat z wyżywieniem, umundurowanie. Było to dużo więcej, niż ciężko wypracowane zarobki w kołchozie.

Zaproszenie do Polski

W tym samym czasie, latem w czwartym roku pobytu na zsyłce, z ambasadą w Moskwie przyszło zaproszenie od mamy brata Juliana Filemonowicza mieszkającego w Międzyborzu w Polsce na przyjazd do kraju. Dostaliśmy dokumenty umożliwiające staranie się o taki wyjazd. Cóż za cudowny zbieg okoliczności pomyślałem sobie, trzeba działać i korzystać z takiej możliwości. Wziąłem ręcznie napisane przeze mnie podanie w dwóch egzemplarzach i udałem do kołchozu. *Predsiadatel* przyjmując urzędowe pismo z Moskwy poczuł wyraźny respekt, przeczytał i zaczął mówić: „Chcesz jechać do Polski, kiedy u nas demokracja, a tam dopiero ona powstaje dzięki pomocy ZSRR”. Zaczę-

łem udawać, że ja i Mira nie pojedziemy, ale mama z dziećmi niech sobie jedzie do brata. Chodziło mi tylko, aby podpisał dokumenty, bo to może być jedyna i ostatnia okazja do wyjazdu. Podsunąłem podwójne dokumenty mówiąc, że przygotowałem je wcześniej by nie zajmować czasu na pisanie. Spojrzał tylko i podpisał, przybił pieczętkę, a ja szybko mówiąc, że jedno – do Moskwy, a drugie – do Polski podziękowałem i odszedłem.



Autor odbył roczny kurs mechanizatorów rolnictwa;
tu w mundurze galowym. Kazachstan Pachta-Arał (1956)

Tak samo zrobiłem w gminie, tj. w sielsowiecie. Urzędnik zachował się podobnie jak *predsiedatiel*. Mówiłem, że niech matka z dziećmi jedzie, a ja zostanę. Był trochę zdziwiony, ale podpisał na obu dokumentach. Posunąłem się

w tej sprawie nie tylko do kłamstwa, ale jeszcze dalej. W domu dopisałem (tym samym długopisem): wydaje się w celu przyuczenia do zawodu w szkole Pachta-Arak. Pierwsze pismo wysłałem poleconym listem do Moskwy, a powtórnie razem z podaniem życiorysem i świadectwem szkoły zawiozłem do dyrektora. Był to już ostatni moment naboru uczniów, mamie powiedziałem, że gdy przyjdzie brygadzysta ma powiedzieć, że zachorowałem i jestem w szpitalu.

W szkole otrzymałem dopasowany mundur, bieliznę, pościel i przybory warsztatowe. Mieszkałem w internacie w trzyosobowym pokoju. Każdy z nas był innej narodowości: Kazach, Rosjanin i Polak. Do szkoły chodziliśmy umundurowani, dostałem używane podręczniki, które należały do szkoły. Jedyne co musiałem sobie kupić, to osiem zeszytów - oddzielne do każdego przedmiotu. Zajęcia szkolne były po 8 godzin dziennie, od poniedziałku do czwartku. W piątki i soboty były warsztaty, po osiem godzin. Od 4 lat miałem po raz pierwszy wolną niedzielę. Większość z nas na niedzielę wyjeżdżała do domów, ja zostawałem, bo bałem się wracać do kołchozu. Wówczas też w stołówce szkolnej było dużo jedzenia i można było dostać podwójne porcje. Wyjeżdżałem z internatu raz w miesiącu aby podpisać listę obecności w sielsowiecie u kapitana NKWD. Oceny miałem dobre i bardzo dobre. Starłem się, aby otrzymać stypendium, z którego 150 rubli wysyłałem do domu. Mira nadal pracowała w kołchozie. Marian chodził do V klasy, a Terenia do pierwszej. Na wigilię i pierwszy dzień świąt pojechałem do rodziny. Zabiłem drugiego świniaka. Łamiąc się opłatkiem życzyliśmy sobie żeby w tym gronie przyszłe Święta Bożego Narodzenia być już w Polsce.

Brygadzysta z kołchozu nachodził mamę i dopytywał się co ze mną, kłamała że źle i przewieziono mnie do szpitala. Musiałem uważać, aby nikt z sąsiadów mnie nie zobaczył. Był luty i upłynęło pięć miesięcy mojej nauki. Słońce świeciło, było ciepło, zwolniłem się na godzinę z warsztatów, żeby zrobić zakupy. Po południu zamierzałem pojechać do domu, idąc ulicą w mundurze szkolnym w ostatniej chwili zauważyłem przewodniczącego i księgowego. Szliśmy naprzeciw siebie wycofać się było za późno, powiedziałem dzień dobry i chciałem ich minąć. Usłyszałem wtedy pytanie, co ja tu robię? Odpowiedziałem grzecznie: uczę się na traktorzystę żeby z furmanki w kołchozie przejść na traktor. Zdenerwowany *predsiedatiel* nie mógł zrozumieć kto mi pozwolił na naukę. Kazał zaprowadzić do dyrektora. Nie miałem wyjścia. W gabinecie dyrektora przewodniczący krzykiem chciał się dowiedzieć, jakim prawem Naruszewicz korzysta z nauki. Opanowany dyrektor najpierw chciał wiedzieć, z kim ma przyjemność rozmawiać. Kiedy dowiedział się, że z przewodniczącym kołchozu, to spokojnie podszedł do szafy, wziął teczkę z dokumentami i pokazał wpięte zaświadczenie z kołchozu. Wtedy okazało się, że pieczęć i podpis należą do przewodniczącego. *Predsiedatiel* nie mógł zrozumieć jak to się stało, skoro podpisał pismo, które miało być wysłane do Moskwy. Dyrektor powiedział, że nie do Moskwy, ale do Pachta-Araku. Było bowiem wyraźnie napisane: wydaje się w celu przyuczenia zawodu.

Stanowczym i zdecydowanym głosem dyrektor uświadomił przewodniczącego kołchozu, że ta szkoła przygotowuje kadry do pracy na celinach – stepach nowo zagospodarowanych do obsiewania pszenicą. Szkoła ustanowiona jest przez radę najwyższą a on wyznaczony jest do jej prowadzenia. Wszystko co robi jest zgodne z prawem. zaproponował przy tym spotkanie w komitecie

powiatowym, gdzie będzie się dochodzić prawdy. Po tych słowach dyrektor nagle zwrócił się do mnie ostro: a ty czego nie na warsztacie, biegiem na praktykę! przebierz się, marsz! W ciągu pięciu minut byłem na warsztatach. Wykładowcy powiedzieli, że podpadłem na przepustce dyrektorowi.

Nie wiem jak dalej potoczyła się rozmowa w gabinecie, po godzinie dyrektor zjawił się w warsztacie zapytał mnie na osobności jak to było naprawdę? Powiedziałem że faktycznie podałem dwa zaświadczenia do podpisu, a jedno z nich wysłałem do ambasady. Nie jestem pewien czy przewodniczący wiedział do jakiego celu są przeznaczone. Podałem je przygotowane, by nie zajmować przewodniczącemu czasu. Widzę – odpowiedział, dyrektor, że kombinowałeś żeby się tu dostać? Z lekkim uśmiechem odszedł.

Od tej pory nie musiałem ukrywać się i co drugą niedzielę jeździłem do domu, za każdym razem przywoziłem czarny żytni chleb, którego kilogram kosztował 2,5 rubla. Opłacało się, do internatu przywoziłem słoik smalcu. Rosjanin i ja jedliśmy ze smakiem. W czerwcu przysły dokumenty pozwalające na wyjazd do Polski. Radość ogromna, ale skąd wziąć pieniądze. Ktoś nam powiedział, że przecież mamy obligacje, przeszukałem dokumenty, rzeczywiście było ich na 1700 rubli. To kolejny cud z nieba.

U dyrektora zwolniłem się na poniedziałek, bo po wymianę obligacji musiałem jechać do Czymkientu – województwa. Musiałem dojechać tam kolejką, a do najbliższej stacji było 60 km. W niedzielę rano wyjechałem autostopem, później do Taszkientu koleją 80 km. Okazało się, że na stacji biletów nie sprzedają, bo są tylko z miejscówkami, które trzeba zamawiać dzień wcześniej. Mój pociąg miał odjazd za półtora godziny. Prosiłem nachalnie w kasie, że ja muszę natychmiast wyjechać. Nic to nie pomagało, ktoś jednak usłyszał moje prośby to i podszedł do mnie. Pół szeptem podpowiedział, że przed wjazdem pociągu mam przejść na drugą stronę torów. Mam uważać na milicję, jak pociąg wjedzie mam stanąć na stopniach i pojadę wtedy za darmo. Tak też zrobiłem, ale takim pasażerem nie byłem tylko ja. Ludzie byli wyrozumiali wobec siebie, ktoś posunął się na wypełnionych stopniach i wskazał drabinę, która prowadziła na dach. Wszedłem, było tam już parę osób. Usiadłem, musiałem uważać na wiadukty. Na dworcach układaliśmy się na dachu, żeby z ziemi nie było nas widać. Wreszcie dojechałem do Taszkientu. W Taszkientie ta sama sytuacja. Pociąg do Czymkientu miał być za 3,5 godz., ale brakowało miejsc. Dostałem się ponownie na dach, dosiadł się Kazach ubrany w biały garnitur. Wyglądał na zamożnego, widocznie też nie mógł czekać na *kompasirówkę* (miejscówkę) i jechał na gapę. Po dwóch godzinach jazdy na dachu, dosiadło jeszcze dwóch krępych mężczyzn. Od razu zwrócili się do mego współtowarzysza podróży po rosyjsku „dawaj wyskakuj z ubrania i butów”. Zaczął się bronić, zszedł na stopnie wagonu i zaczął walić w drzwi, ale nikt nie reagował. W tym czasie oni zaczęli mnie rewidować. W torbie miałem kawałek chleba i wodę w butelce, na nogach rozlatujące się buty. Celowo się tak ubrałem, wiedziałem do czego ludzie są zdolni. Pod podkładką schowałem 80 rubli na podróż, jeden z nich szukał portfela, drugi zrewidował torbę. Nic nie znaleźli, źli zostawili mnie w spokoju. Siedziałem jak struś, nie reagowałem. Chwilę siedzieli koło mnie, mówili coś półgłosem, minęło jakieś 25 minut. Potem zeszli na stopnie. Mężczyzna w białym garniturze w panice zaczął uderzać pięścią w szybę, a nogą w drzwi, ale bez reakcji przebywających w wagonie. Pociąg

wjeżdżał do miasta zbliżał się do stacji, zobaczyłem jak jeden pięścią uderzył człowieka w brzuch, drugi po rękach. Nagle ten w białym garniturze puścił ręce i z krzykiem poleciał na ziemię, mignęła mi tylko biała postać. Wrócili ponownie na dach, skakali z wagonu na wagon. Pociąg zaczął hamować, a oni zapewne wrócili do zabitego człowieka, by go ograbić ze wszystkiego. To było wstrętne, byłem zszokowany, cały sparaliżowany strachem i obrzydzeniem nie mogłem się ruszyć z miejsca. Tak dojechałem do Czamkientu, gdy wysiadłem było już po trzeciej w nocy. Drżały mi nogi, w poczekalni przysiadłem się do koczujących pasażerów, czekających na *kompasirówkę* – bilety”. Czekałem do 6 rano, potem poszedłem do wojewódzkiego urzędu. Tam wypisano mi zlecenie do banku. Pobrałem pieniądze, teraz dopiero zacząłem się bać poruszać z tak dużą gotówką przy sobie. Wsiadłem w pierwszy nadjeżdżający trolejbus, przejechałem dwa przestanki i przed ruszeniem dalej, w ostatniej chwili wyskoczyłem. Oglądając się czy ktoś za mną nie wysiadł, uspokoiłem się, bo nikogo nie wiedziałem. Doszedłem do stacji, tam w klozecie pieniądze włożyłem do specjalnie uszytej kieszeni w dolnej części koszuli pod brzuchem. Musiałem się zabezpieczyć, aby nie stracić tego co dawało nam nadzieję na wyjazd do Polski.

Na stacji chciałem kupić bilet, ale usłyszałem jak zatrzymał się pociąg towarowy. Za chwilę zapowiedziano pociąg z Taszkientu. Pomyślałem, że towarowy przepuszcza osobowy i może za chwilę po przyjeździe tego ruszy w kierunku Taszkientu. Przeszedłem pod wagonami towarowego na drugą stronę, zauważyłem budkę hamulcową. Obejrzałem się czy ktoś nie idzie, wsiadłem do budki. Moje przepuszczenia potwierdziły się za 5 minut pociąg ruszył, ale dokąd nie wiedziałem. Zmierzał na szczęście dokładnie tam gdzie chciałem dotrzeć. Po 2 godzinach stanął na dużej stacji towarowej, wysiadłem i po przejściu 3 km dotarłem do dworca osobowego Taszkientu. Tutaj dostałem bilet docelowy z miejscówką, bo pociąg rozpoczynał tu bieg. Autostopem dostałem się do Pacht-Araku. Ciężarówki jeździły często, a kierowcy chętnie zabierali na pakę. Z góry trzeba było jednak zapłacić parę rubli. Przed zachodem słońca byłem już na miejscu. Do soboty uczęszczałem jeszcze na zajęcia, kończył się lipiec.

Któręś dnia zostałem wywołany z zajęć na korytarz. Jakiś nieznajomy poinformował mnie, że dowiedział się o naszym wyjeździe do Polski. Okazało się, że on też jedzie i ma zamówiony wagon towarowy na przejazd do granicy. Pomyślał, więc że gdybyśmy jechali razem to wyniesie nas to taniej. Wyjazd ma nastąpić 8 sierpnia, czyli za 11 dni. Ucieszyłem się, podziękowałem nieznajomemu i wyraziłem zgodę.

W domu zaczęliśmy pomału wszystko sprzedawać po obniżonych cenach. Ze szkoły nie zrezygnowałem, bo jeszcze chciałem uzyskać stypendium. 3 sierpnia pobrałem pieniądze, a czwartego z dokumentami zgłosiłem się do dyrektora z podaniem. Z oporem podpisał obiegówkę. Otrzymałem zaświadczenie, że od 1 października 1955 r. do 5 sierpnia 1956 r. uczęszczałem na kurs kombajnistów – traktorzysty, którego w związku z wyjazdem do Polski nie ukończyłem.

Polska

W nocy 7 sierpnia 1956 roku kierowca kołchozowy w tajemnicy zawiózł nas na stację kolejową gdzie czekaliśmy na podstawienie wagonu towarowego do wieczora. Myśleliśmy z wielką obawą czy tak się stanie naprawdę. Nim jednak ruszyliśmy musieliśmy dodatkowo przemawiać do kieszeni zawiadowcy

stacji. Dopiero po wpłaceniu mu pewnej sumy, wszystko poszło szybciej. Po ujechaniu około 100 km odczepiono wagony i znowu staliśmy, aż „załatwiło się z zawiadowcą” przyśpieszenie.

Wyjechaliśmy z Kazachstanu 11 sierpnia 1956 r., a do granicy naszego państwa dotarliśmy 9 września 1956 r. Gdybyśmy jechali pociągiem pośpiesznym z Taszkientu do Moskwy tam czekając dobę na *kapasirówkę* – bilety z Moskwy do Wrocławia lub Legnicy zajęchaliśmy w ciągu 10 dni o połowę taniej. Od chwili oswobodzenia – wyzwolenia, nazywam to okupacją sowiecką 1939 r. – do momentu przyjazdu do Polski w 1956 r. Długi to okres, bo aż 17 lat. W tym czasie nasze życie uległo radykalnym zmianom i to na gorsze. Odbiło się na nas wszystkich i pozostawiło piętno. Moi rodzice na pewno marzyli o innym życiu dla swych dzieci. Stało się inaczej, to nie z ich winy.



Brześć – przy wagonie, którym przyjechaliśmy, wrzesień 1956 r.

Naszym całym dorobkiem, z jakim wjechaliśmy do kraju, była walizka z rzeczami i to, co mieliśmy na sobie. W Brześciu kupiliśmy zegarek „pobieda” za pozostałe ruble – utrwalone mamy to na zdjęciu. Na dworzec przyjechała nas przywitać rodzina z Wilna. Po przekroczeniu polskiej granicy dojechaliśmy do Białej Podlaskiej, od razu poczuliśmy bliskość. Wszędzie było słyhać polską mowę, szyldy, napisy i nazwy urzędów wypisane w języku ojczystym.

W biurze obsługi repatriantów wypłacono nam na osobę po 1000 złotych polskimi banknotami. Kupując bilet do Wrocławia, a później do Międzyborza nie mogliśmy uwierzyć, że słyszymy rozmowy w ojczystym języku. Słyszymy naprawdę, to nie jest sen czy halucynacje, serce ścisnęło się, aż do bólu wreszcie jesteśmy w kraju. Przypomniały mi się słowa wypowiedziane w Wilnie, gdy byliśmy na Komendzie w czasie deportacji – „bóg nie opuści” spełniło się !

W Międzyborzu od razu ludzie wskazali nam gdzie znajduje się apteka. Z daleka przeczytaliśmy „Apteka – Julian Filemonowicz”. W budynku znajdowała się prywatna apteka, a na górze pięknie wyposażone mieszkanie. Łazienka cała w kafelkach i z ciepłą wodą. Pięknie zastawiony stół. Od miesiąca w ustach nie mieliśmy nic ciepłego. Spojrzałem w lustro, przed wyjazdem nowo kupione spodnie wisały na mnie jak na wieszaku, rękawy u koszuli zrobiły się za długie, a nic lepszego do przebrania nie było. Uczucie niesamowite, coś zapierało dech w piersiach, do oczu napływały łzy, poczuliśmy się jak nędzarze, choć wiem, że nie szata zdobi człowieka, w stosunku do pozostałych domowników. Nasi krewni nawet przez sekundę nie dali nam odczuć, że jesteśmy inni od nich. Czekali na nas i przyjęli z ogromną serdecznością.*

* Relację opracowała merytorycznie prof. dr hab. Maria Kalczyńska.

KRONIKA

• POLSKA HONORUJE W JAPONII BRONISŁAWA PIŁSUDSKIEGO

19 października 2013 roku był dniem pełnym łagodnych, dojrzałych w jesiennym słońcu zapachów, z lekka podszytych trzcina, spływających od połyskującego nieopodal jeziora w stronę szeregu obszernych drewnianych chat komunalnych. Taka oto aura zapanowała tego dnia w japońskiej miejscowości Shiraoi na wyspie Hokkaido, gdzie ulokowane jest muzeum i skansen odtwarzający życie wymierającego już dziś ludu Ajnów, pierwotnych mieszkańców tej wyspy. Duchy zmarłych pokoleń Ajnów najwyraźniej wybłagały u swych bogów odpowiednią pogodę, sprzyjającą odbywającym się tam właśnie uroczystościom: rząd dalekiego kraju zwanego *Porando* wraz z władzami wyspy Hokkaido odsłaniał odlane w brązie popiersie zasłużonego pobratymcy Ajnów – Bronisława Piłsudskiego, który w 1903 roku bawił jakiś czas wśród nich w Shiraoi.



Profesor Koichi Inoue z Uniwersytetu Hokkaido w Sapporo,
inicjator wzniesienia pomnika Bronisława Piłsudskiego w Shiraoi
oraz etnolog Witold Kowalski

A kolej uroczystości była taka: najpierw w jednej z wielkich chat odbyły się modły zamieszkującej skansen starszyny dzisiejszych, mocno zjaponizowanych, Ajnów, wśród których zasiadł w wianku ze świeżo nastruganej brzozy kory minister Dziedzictwa Narodowego kraju *Porando* – Bohdan Zdrojewski. Następnie zaproszeni goście (dobrze ponad setka osób, gęsto dawał się słyszeć język polski) udała się pod zasłonięty dotąd ogromnymi kolorowymi *tatami* pomnik wielkiego Bronisława. Po serii okolicznościowych przemówień odsłonięcia dokonał Bohdan Zdrojewski w towarzystwie polskiego ambasadora, wicegubernatora wyspy Hokkaido i dalszych notabli, wśród których wyróżnić trzeba profesora Koichi Inoue, wieloletniego, niestrudzonego propagatora osiągnięć Bronisława wśród Japończyków, a także Rosjan, tych z wyspy Sachalin.

Następnie goście udali się do innej z nadjeziornych chat, gdzie odbył się pokaz przeróżnych tańców i rytuałów ajnuskich. Niestety, bariera językowa nie do końca pozwalała obcokrajowcowi docenić kunszt występujących artystów... Po tańcach przyszedł czas na zasłużoną wyzerkę, na którą gości sprosił i powitał żyjący od urodzenia w Japonii wnuk Piłsudskiego – Kazuyasu Kimura. Szampan polał się strumieniami, braterstwo polsko-ajnusko-japońskie pieczętowane było częstym postukiwaniem kieliszków, przy akompaniamencie obowiązkowego pomlaskiwania i zachwyty nad ponętą urodą podawanego asortymentu glonów morskich czy zadziwiająco gładką przeżuwalnością świeżo skrojonego odnóża rzadko tylko (ponoć) trującej ośmiornicy... Piszący te słowa, świadom międzynarodowego wymiaru kulinarnej odpowiedzialności, jaka właśnie spadła na jego niewybredny przelyk, z pobladłym licem kosztował to gotowanego „brown seaweed” (wodorost „brązowy”), to znowu surowe algi (także wodorost). I gdy szlachetnym trunkiem zalewał tęsknotę za jakimkolwiek pożywieniem, które by nie trafiło na jego talerz wprost z głębin japońskich mórz, do piszącego te słowa Waszego sprawozdawcy podszedł minister Dziedzictwa Narodowego krainy *Porando* i zaproponował mu osobistą pomoc w przygotowaniu pełnej, nowej, polskiej edycji „Dziennika”, który młodociany Bronisław Piłsudski pisał w latach 1882-1885. Minister powiedział, iż czytał rosyjskie wydanie „Dziennika” w opracowaniu niżej podpisanego i chce przyczynić się do ich polskiego wydania. Z wrażenia piszący te słowa omal nie odrzucił wchłanianej właśnie porcji tzw. kelpu (morski wodorost). Gdy ochłonał, na znak zawartego paktu opiekun dziedzictwa narodowego kraju znanego jako *Porando* i Wasz skromny sprawozdawca stuknęli się wyleniałą resztką szampana.

Spizowy pomnik, hołd rządów Polski i Japonii, obietnica wydania „Dziennika” w języku oryginału – takie oto dary słoneczny i pachnący dzień 19 października 2013 roku ofiarował duchom Bronisława Piłsudskiego i jego partnerki – Ciuchsammy. A w gronie żywych towarzyszył im i świętował ten dzień wraz z nimi ich wnuk najrodzeńszy – Kazuyasu Kimura.

I ja tam byłem; miód i... hola, hola! To jeszcze nie koniec. Następnego ranka, w mieście Sapporo – stolicy wyspy Hokkaido, na tamtejszym uniwersytecie odbyła się specjalna sesja naukowa poświęcona postaci Bronisława Piłsudskiego. Na wstępie była pompa z udziałem ambasadora RP w Japonii oraz wnuka Bronisława, Kazuyasu Kimury. Potem nastąpiła część seminaryjna: najpierw profesor Koichi Inoue odczytał list od profesora Antoniego Kuczyńskiego z Wrocławia, który, choć zapraszany, nie zdołał przybyć na seminarium. Następnie profesor Ewa Pałasz-Rutkowska z UW przybliżyła słuchaczom zarys stosunków japońsko-polskich w latach życia Bronisława Piłsudskiego. Niestety:

wykład był po japońsku, ale równie japońska aparatura audio-wizualna zawiodła na całej linii, tłumaczenie na inne języki nie docierało do słuchawek i taki laik, jak Wasz uważny sprawozdawca wiele (a prawdę powiedziawszy zupełnie nic) nie zrozumiał. Na koniec profesor Alfred Majewicz z Poznania, także zasłużony na Bronisławowej niwie, jak PT panowie Kuczyński i Inoue przypominał drogę ku dzisiejszej chwale naszego bohatera, zawiłe ścieżki, którymi jego dzieła pisane oraz zbiory materialnych artefaktów przedostawały się do świadomości obecnych pokoleń, gdzie obrosły w siłę i przebiły się na poczesne miejsce w globalnej kulturze narodów Europy i Azji. Profesor Majewicz mówił po angielsku, ale – najwyraźniej zmęczony uprzednią utarczką z panią Ewą Pałasz-Rutkowską – japoński sprzęt audio-wizualny podporządkował mu się niemal bez walki i działał tak, jak powinien, czyli rzecz na potrzeby japońskich słuchaczy na ekranie wyświetlał, a w słuchawkach tłumaczył.



Uczestnicy uroczystości odsłonięcia pomnika Bronisława Piłsudskiego.
Od lewej: Kazujasu Kimura, wnuk B. Piłsudskiego; Witold Kowalski – etnolog;
Jadwiga Rodowicz-Czechowska – ambasador RP w Japonii (2008-2012)

Między te uczone dywagacje wdarł się ze swoim wykładem niżej podpisany, proponując, abyśmy się zastanowili nad narodową przynależnością rodu Bronisława i genetycznym splotem talentów, geniuszu, jak też przywar i udręk, jakimi rodzice obdarzyli Bronisława, Ludwikę, Adama i pozostałe rodzeństwo Piłsudskich. I gdy tak Wasz korespondent zbliżał się ku swym wysublimowa-

nym wnioskom, kątem oka dostrzegł wbiegającą na aulę gromadkę poprzebieranych w powiewne kostiumy niewielkich rozmiarami, choć naładowanych energetycznie, istot. Sądząc, iż nastąpiła inwazja stworów pozaziemskich, niżej podpisany karygodnie skrócił tok rozumowania i zamknął swą opowieść przyspieszoną konkluzją.

Wkrótce wyszło na jaw, iż niepotrzebnie spanikował, bowiem biali przebierańcy okazali się młodocianymi (nawet bardzo młodocianymi) artystami występującymi w przedstawieniu tanecznym sponsorowanym przez pewną zamożną damę z Sapporo. Przedstawienie to – będące ni to energiczną rozgrzewką przed zajęciami WF, ni to (jak twierdzą wtajemniczeni) „operą tańczoną” w swej ideologicznej wymowie nawiązującą do sakralnych tekstów ajnuskich zapisanych na wałkach fonicznych przez Bronisława Piłsudskiego – pobudzone niezwykle dynamicznym przytupem zatrzęsło aulą szacownego Uniwersytetu Hokkaido zaraz po odczycie profesora Majewicza... Gdybyż, ach, gdybyż owe tany mogli obejrzeć krzesający przed laty najostrożniejsze hołubce soliści mundurowego ansamblu Armii Czerwonej! Czy dostrzegliby w białych przebierańcach nowych mistrzów swego kunsztu?

I ja tam byłem, miód i wino piłem, własnym okiem patrzyłem, biednym uchem słuchałem... – ale, ale – to wciąż jeszcze nie koniec. Podochoceni arcyzmem Bronisławowej „operetty” włodarze auli i w ogóle Uniwersytetu w Hokkaido po jakimś czasie postanowili, wbrew uprzednim ustaleniom, udostępnić łaknącym wiedzy internautom pełne teksty wykładów profesora Majewicza oraz niżej podpisanego. Karma więc chciała, żeby nic więc z tego, co miało być powiedziane, nie zostało uronione, mimo karygodnie panikarskiej postawy Waszego sprawozdawcy za mównicą Uniwersytetu w Hokkaido. Zainteresowanego czytelnika odsyłam do tzw. linku, który znajduje się tutaj: <http://hdl.handle.net/2115/53485>.

Ambasada Polska w Japonii, która była jednym ze fundatorów pomnika w Shiraoui wydała też z tej okazji krótką (przez to – cenną i unikalną) serię japońskich znaczków pocztowych z portretami „wielkich Polaków”. Na starannie skomponowanej karcie 10 znaczków, dominuje popiersie Bronisława Piłsudskiego.

A dalej? Dalej było Tokio i przyjęcie u premiera Japonii, Shintzu Abe. Dzięki uprzejmości profesora Inoue doświadczyli tej gościnności Alfred Majewicz i Witold Kowalski. Opuszczając progi oficjalnej rezydencji premiera Japonii, profesor Inoue wręczył pani premierowej, Akie Abe (kobiecie o sławie skądinąd nieco notorycznej), okolicznościowo wydaną przez Uniwersytet Hokkaido japońskojęzyczną pracę pod angielskim tytułem „The Achievements of Bronisław Piłsudski”, zawierającą między innymi treść wykładów panów Majewicza i Kowalskiego. Rozpatrywane w kategoriach *public relations* posunięcie profesora Inoue było całkiem mistrzowskie – gdyby wręczył księgę premierowi, ten by ją po prostu odłożył i zapomniał o niej w natłoku codziennej dźbaniny politycznej. A tak? – nie wiadomo; a nuż znana z nietuzinkowych pomysłów premierowa żona jednak za tę książkę przy jakiejś okazji chwyci...

I ja tam byłem, miód i wino piłem, jakieś „mydełko” (może czekoladkę?) na pożegnanie od premierowej dostałem, z jej podobizną na pudełku. Czy był to już koniec japońskich uroczystości? W części oficjalnej, to tak. Ale od czego polska prywatnie? Zamiast więc końca nastąpił ciąg dalszy – dokładnie w dwa dni później. Kazuyasu Kimura, jedyny wnuk Bronisława Piłsudskiego i w ogóle

ostatni z rodu Piłsudskich (bez żadnej kądzieli, ale na nim „miecz” zaginie, bo los obdarzył go tylko córkami), bardzo uprzejmie zaprosił Waszego wysłannika na spotkanie rodzinne z pozostałymi potomkami Bronisława. Trzeba Wam bowiem wiedzieć, że poza Ciuchsamma nie miał Bronisław dzieci z żadną inną kobietą, i że wszyscy jego wnukowie, prawnukowi i praprawnukowie urodzili się i mieszkają do dziś w Japonii.



Oprócz braw były także kwiaty dla autorów referatów o życiu i pracy Bronisława Piłsudskiego

Na spotkaniu z niżej podpisanym w tokijskiej restauracji za stołem zasiadło kilkunastu potomków reprezentujących różne lineáže – ci z Hokkaido to wnukowie córki Bronisława – Kiyō; ci z Jokohamy są po Bronisławowym synu – Sukezo i jego z kolei synu – Kazuyasu. Oj, długo by wymieniać, kto był kim. Wasz sprawozdawca od razu się pogubił. Dzielna, najstarsza córka Kazuyasu, Kanako, poszła po rozum do głowy i rozrysowała skołowanemu przybyszowi z Europy schemat postaci: choćby ten, ten z naprzeciwka z policzkami rzeźbionymi, jak samuraj w filmach Kurosawy, to rzecz jasna wnuk Kiyō, Takahashi Mitsuo (jego córka Miki siedzi dalej po prawej), a ta obok ciebie to Sudou Yumi, siostra Mitsuo...

Zorientować się w tym zbyt łatwo nie było, dogadać się przychodziło jeszcze trudniej, bo przecież Bóg nam już przed wiekami pomieszał języki... W sukurs przyszło piwo i sake. Zagryzane, ma się rozumieć, następną odmianą mątwy

i kałamarnicy oraz potrawką z glonów na ostro. Nic to! – po 10 dniach w Japonii Wasz oddany korespondent był już na tyle uświadomiony w kwestiach kuchni japońskiej, że wiedział, iż na cukrzycę, raka, tlen pozakomórkowy, a zwłaszcza na radioaktywne izotopy jodiny pozostałe po niedawnym (w marcu 2011 roku) wybuchu elektrowni atomowej w Fukushima, nie ma to jak „wodorost brązowy” (nazwany tak z czystej perwersji, bo po ugotowaniu zielenieje!)... I byle by nam się... Jako trunek sake jest może bez wyrazu, czy to na ciepło, czy na zimno, ale po paru czarkach świat robi się przystępniejszy – nawet rzewny hymn Irlandczyków *Danny Boy* śpiewany *a capella* w tokijskim karaoku nie jest taki straszny. Jeszcze kilka kubków sake i grozę wzbudzający Takahashi Matsuo przyjmuje wreszcie do wiadomości, że niżej podpisany rzeczywiście nie wie, dlaczego w roku 1906 jego pradziadek Bronisław na pastwę losu porzucił jego prababcie Ciuchsammę (z dwójkiem maleńkich dzieci) i na zawsze odjechał w siną dal – taka widać im wszystkim pisana była karma... Parę dalszych dolewek i z Sudou Yumi wymieniamy krewniacze uściski, jakbyśmy się znali od niepamiętnych czasów. Zaś uroczej Kanako, prawnuczce Bronisława, z uporem tłumaczę, że mam nieżonatego syna, a ona przecież wciąż panienka; gdyby więc się umieli dogadać, to ja nie miałbym żadnych obiekcji.

I na tym uroczystości ku czci Bronisława Piłsudskiego – te oficjalne i te prywatne – zakończyły się. *I ja tam byłem, miód i wino piłem, po brodzie sphywalo, do ust nie dostało...*

No, a pakt zawarty z byłym już dziedzicem Dziedzictwa Narodowego kraju zwanego *Porando* – co z nim, będzie dotrzymany? Cóż, jak wiemy, łaska pańska na pstrym koniu hula. Z drugiej jednak strony – *pacta sunt servanta*, mawiano przed laty... Tak było przed laty; jak będzie dzisiaj dowiesz się niebawem. Jeśli za rok, dwa przeczytasz w tym miejscu recenzję z nowowydanych „Dzienników” Bronisława Piłsudskiego, to wyjdzie na to, że politycy czasem dotrzymują słowa. A jeśli nie? – to nie!

Witold Kowalski

*

List Antoniego Kuczyńskiego przekazany prof. dr. Koichi Inoue

Wrocław, dnia 18 października 2013 roku

Drogi Przyjacielu,

na Twoje ręce przesyłam serdeczne pozdrowienia dla uczestników uroczystości odsłonięcia pomnika Bronisława Piłsudskiego, który sto lat temu przebywał na Hokkaido prowadząc badania nad kulturą i językiem Ajnów, narodu z którym połączyły go więzi rodzinne.

Laureatka nagrody Nobla, polska poetka Wisława Szymborska napisała przed laty „Umarłych wieczność dotąd trwa, dokąd pamięciom im się płaci”! Dziękuję serdecznie za tę pamięć okazywaną dzisiaj Bronisławowi Piłsudskiemu, tu w miejscu prze przebywał wiele lat temu. Dziękuję za pamięć wyrazem której są publikacje ukazujące się w Japonii, szczególnie zaś wyrazy podziękowania składam za badawczy trud nad ajnosko-japońską częścią jego życiorysu oraz za ten odsłaniany w Shiraoui wspinały znak pamięci Jemu poświęcony.

Bronisław Piłsudski był w Japonii cztery razy i zawsze marzył o kolejnym tam powrocie. Badania etnograficzne na Dalekim Wschodzie (Rosja, Japonia) pozwoliły mu zdobyć doświadczenie naukowe, a Przyjaciele japońscy także kontakty z światem nauki. W Japonii poznał nowoczesne muzea, a po powrocie do Polski nie zaprzestał twórczego działania na rzecz przybliżenia swoim Rodakom wiedzy o ludziach i kulturze Kraju Kwitnącej Wiśni, do którego powracał w swoich publikacjach i listach do Przyjaciół.

Szanowni Państwo. Dzisiejsza uroczystość to czas podziękowań za pamięć o Bronisławie Piłsudskim, czas gratulacji ale także refleksji nad Jego życiem i dokonaniem naukowymi oraz szeroką ich recepcją we współczesnej antropologii kulturowej.

Bardzo żałuję niemożności osobistego uczestnictwa w tym wspaniałym wydarzeniu, los jednak sprawił, że pozostałem wśród Rodziny i najbliższych w odległym kraju Porando. Uroczystości, w której Państwo uczestniczycie przypominają mi mój pobyt na Uniwersytecie Kyoto Sangyo Daigaku gdzie dzięki opiece Profesorów Masanari Kobayashi oraz Akyoshi Nakayamy miałem możliwość odbyć podróż studyjną do miejsc związanych z pobytom Bronisława Piłsudskiego w Japonii. Dzisiaj jestem daleko od tych stron. Pozostały jednak miłe wspomnienia i nostalgia.

Śpieszę z wyrazami szacunku dla organizatorów tego wspaniałego spotkania oraz pozostaję z dobrymi myślami i pozdrowieniami –

Antoni Kuczyński

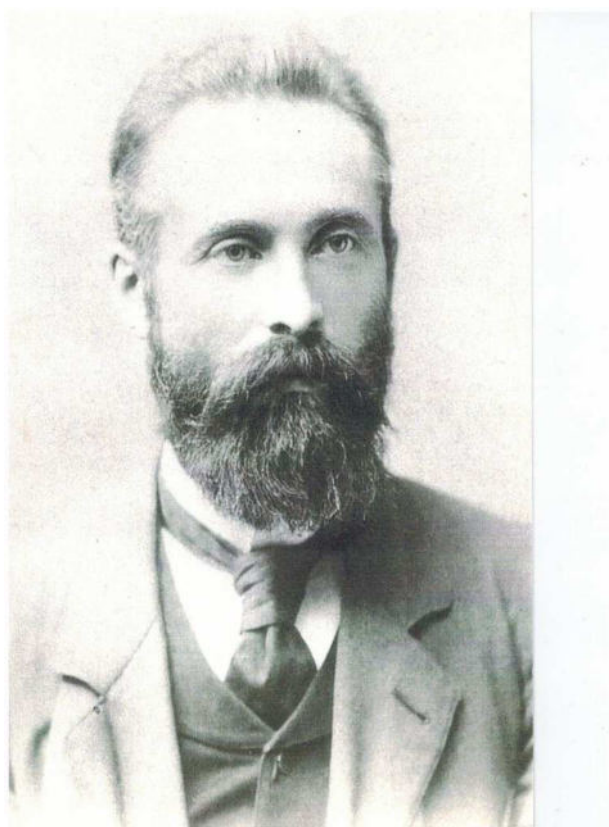
• **JAPOŃSKIE SZLAKI BRONISŁAWA PIŁSUDSKIEGO – GALERIA ONLINE ARCHIWUM NARODOWEGO W KRAKOWIE**

Archiwum Narodowe w Krakowie instytucjonalnie istniejące od 1878 r. przechowuje w swoim zasobie wiele zespołów i zbiorów archiwalnych. Znajdziemy wśród nich, nie tylko cenne źródła do badań nad historią regionu czy dziejami Polski, lecz również mamy do dyspozycji liczne ślady związane z miejscami rozszanymi po całym świecie.

Taką wyjątkową kolekcją jest niewielki zbiór materiałów Bronisława Piłsudskiego (1866-1918). Plik fotografii (sygn. 29/645/435) został przejęty do ówczesnego Archiwum Aktów Dawnych miasta Krakowa wraz z aktami Naczelnego Komitetu Narodowego, prawdopodobnie z pierwszą partią materiałów w 1920 r.

Okazją do szerszego zaprezentowania tych dokumentów stała się wizyta w Archiwum Narodowym w Krakowie reprezentacji parlamentu Japonii oraz Ambasady Japonii w Polsce. 7 września 2013 r. w Krakowie gościli: p. Tsutomu Sato – Przewodniczący delegacji (Partia Liberalno-Demokratyczna – LDP), Takashi Ohtsuka – (LDP), p. Taku Ohtsuka, (LDP), p. Hitoshi Goto, (Demokratyczna Partia Japonii), p. Kenta Matsunami, (Partia Odnowy Japonii) oraz J. E. Makoto Yamanaka – Ambasador Japonii w Polsce w towarzystwie p. Yuzo Yoshioka, Radcy Ambasady i p. Daisuke Yamashita, Pierwszego Sekretarza Ambasady. Delegacji Parlamentu towarzyszyli panowie: Minoru Nakamura – Radca Biura Izby Reprezentantów, Tatsuya Nakamura, Radca Biura Izby Reprezentantów, Tsuyoshi Hikiyama Zastępca Podsekretarza Stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

W trakcie wizyty w krakowskim Archiwum goście szczególną uwagę zwrócili na fotografie ze spuścizny Bronisława Piłsudskiego. W Japonii, brat Marszałka Józefa Piłsudskiego jest znany, a jego dorobek naukowy do dziś służy japońskim badaczom, czego świadectwem było w 95. rocznicę śmierci B. Piłsudskiego odsłonięcie pomnika w dniu 9 października 2013 r. w Shiraoicho na Hokkaido w obecności Bogdana Zdrojewskiego, Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Rządu Rzeczypospolitej Polskiej. Uroczystość ta otwierała dwudniowe seminarium poświęcone związkom wybitnego etnografa z Krajem Kwitnącej Wiśni.



Bronisław Piłsudski (1866-1918)

Aby przybliżyć te mało znane materiały Archiwum przygotowało galerię online. Prezentowane fotografie mogą stanowić interesujący przyczynek dla badaczy życia i działalności B. Piłsudskiego, który swoim życiem udowodnił, że w każdych okolicznościach można znaleźć pasję życia. Piłsudski na zesłaniu, na które trafił w młodym wieku, spotkał i zaprzyjaźnił się z Niwchami, ludem zamieszkującym Syberię. To dało impuls do rozpoczęcia badań nad ich życiem, zwyczajami, otoczeniem i kulturą. Naukową pasję kontynuował również po skróceniu kary na mocy amnestii w 1896 r. Prowadził szerokie badania etnograficzne, nie porzucając jednocześnie działalności politycznej i niepodległościowej. Do Japonii Piłsudski przybył w styczniu 1906 r. i przebywał na wyspach japońskich siedem miesięcy. W tym czasie współpracował z japońską

i chińską lewicą, nawiązał kontakty z przedstawicielami prawicy, był założycielem wraz z Shimei Futabatei Towarzystwa Japońsko-Polskiego. Piłsudski poznaje Japonię tak różną kulturowo od Polski, nawiązuje przyjaźnie, spotyka się z wieloma osobami, przede wszystkim przedstawicielami inteligencji japońskiej. Jego wiedza i zaangażowanie zdobywa uznanie w Japonii. W sierpniu 1906 r. przez Amerykę wrócił do Europy, dalej kontynuując działalność naukową i niepodległościową.

W opublikowanej w Internecie galerii, dzięki zachowanym fotografiom, możemy bliżej przyjrzeć się japońskim gospodarzom Piłsudskiego. Jako ciekawostkę zaprezentowano również pocztówki z Japonii oraz fragment tekstu transliterowanego z języka japońskiego. Galeria cieszy się sporym zainteresowaniem internautów, dostępna jest pod adresem: www.ank.gov.pl/wystawy-i-galerie/japonskie-szlaki-bronislawa-pilsudskiego

Monika Andrasz-Mrozek

• RADA NAUKOWA ZWIĄZKU SYBIRAKÓW

W latach 2010-2014 działalność Rady Naukowej Zarządu Głównego Związku Sybiraków ukierunkowana była przede wszystkim na wypełnienie luk w zakresie tematyki zesłańczej oraz na zaspokojenie potrzeb dotyczących uzupełnienia wiedzy z zakresu problematyki zesłań i deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu i w inne rejony ZSRR w okresie II wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu. Temu celowi służyły liczne publikacje kwartalnika „Zesłaniec”, a w minionym okresie nastąpiło poszerzenie tematyki uwzględniającej życie codzienne na zesłaniu.

W okresie sprawozdawczym ukazało się 15 tomów „Zesłańca”, jedynego w tej chwili periodyku o profilu popularno-naukowym poświęconego złożonym problemom polsko-syberyjskim. Pismo o charakterze „Non profit” dotowane jest przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Dzięki temu otrzymujemy interesujące i pobudzające do myślenia oraz refleksji pismo poświęcone związkowi polsko-syberyjskim, co niestety jest rzadkością w literaturze historycznej, stroniącej od ciągłego pogłębiania tej tematyki. Układ treści i proporcje miejsca poświęconego różnym zagadnieniom z tego zakresu są odbiciem kontaktów z czytelnikami. O zakresie tematycznym „Zesłańca” świadczą tytuły poszczególnych działów: artykuły, relacje z zesłania, kronika, regał z książkami i listy do redakcji, przez co pismo ma zwartą i uporządkowaną problematykę. Z uwagi na to, że w „Zesłańcu” znajduje się wiele wiadomości z dziedziny związków polsko-syberyjskich jest on szeroko wykorzystywany przez studentów piszących prace licencjackie i magisterskie oraz przez pracowników naukowych. Z każdym rokiem powiększa się więc krąg czytelników. Kwartalnik stanowi ważną pomoc dydaktyczną dla nauczycieli historii w szkołach średnich.

Z uwagi na to, że w „Zesłańcu” znajduje się sporo wiadomości z dziedziny związków polsko-syberyjskich pismo jest szeroko wykorzystywane przez studentów i pracowników naukowych z każdym rokiem powiększa się też krąg jego czytelników. Stanowi też ono cenną pomoc dla nauczycieli historii w procesie nauczania w szkołach średnich. Oczywiście, niektóre z omawianych zagadnień ulegają z czasem znacznym modyfikacjom stanowiącym pokłosie

czytelniczych propozycji wzbogacającym zasób wiedzy o polskich losach na syberyjskim zesłaniu. Ważne więc jest to, że dzięki tym kontaktom łatwiej jest dostrzec zespołowe redakcyjnymu zasadnicze problemy i tendencje zmierzające w kierunku pogłębienia naszych związków z Syberią. Trud ten, jakkolwiek niemały, opłaca się, pozwala bowiem czytelnikom pisma na pogłębienie wielu tematów związanych z polskim dziedzictwem naukowym za Uralem, katorgą, pobytem w łagrach i sowiecką niewolą. Dodajmy tu jeszcze, że redakcji udało się zgromadzić interesujący zespół autorów, w tym także z Rosji, zwłaszcza z jej syberyjskiej części.

Na szczególne wyróżnienie działalności Rady zasługuje wydanie monograficznego zeszytu „Zesłańca” poświęconego losom dzieci na syberyjskim zesłaniu oraz recenzowanie naukowe i wspieranie edycji tomu studiów autorstwa D. Bazuń, I. Kaźmierczak-Kałuży i M. Pokrzyńskiej pt. „Matki Sybiraczki – losy i pamięć. Polskie kobiety zesłane w głąb ZSRR”, wydanego przez Uniwersytet Zielonogórski (Zielona Góra 2012).

Rada współpracuje z Komisją Syberyjską Komitetu Historii Nauki Polskiej Akademii Nauk, która organizuje tematyczne spotkania dotyczące różnych aspektów zesłań Polaków na Syberię, a jej członkowie prof. Zbigniew Wójcik i Antoni Kuczyński konsultowali założenia powstającego w Białymstoku Muzeum Sybiru, wnosząc wartościowe propozycje do tematycznego profilu ekspozycyjnego i naukowego dotyczące tej placówki oraz pozostają w stałym kontakcie z jej organizatorami. W łonie Rady Naukowej powstał też projekt prezentowania na łamach „Zesłańca” wywiadów z osobami, z działalnością których łączy się idea powstania tej placówki. Pierwszy z dyrektorem Muzeum Wojska w Białymstoku Robertem Sadowskim opublikowany został w 58 numerze „Zesłańca”, kolejne wywiady zaplanowane zostały do numerów 59-61 roku 2014.

Dzięki staraniom Rady w okresie sprawozdawczym została utworzona strona internetowa „Zesłańca” prowadzona na zasadzie wolontariatu nam której w zakładce „Spis treści” dostępne już są roczniki 2006-2013 i w miarę możliwości dodawane będą sukcesywnie zeszyty sprzed 2006 roku. W ten sposób publikacje zamieszczane na łamach naszego kwartalnika docierają do szerokiego kręgu czytelników pełniąc funkcję edukacyjną, popularyzatorską i dokumentacyjną.

W działalność Rady od początku jej powołania wpisuje się merytoryczna oraz edytorska działalność serii wydawniczej „Biblioteka Zesłańca” Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego we Wrocławiu, w ramach której w latach 2010-2013 ukazały się cztery książki o tematyce zesłańczej. Istotnym nurtem dokumentującym syberyjskie losy Polaków jest rozpoczęta przez Radą Naukową w roku 2012 współpraca z „Wrocławską Fundacją Edukacji Europejskiej i Współpracy Międzynarodowej”, w realizacji długofalowego programu pod nazwą: „Syberia w poszukiwaniu przeszłości i przyszłości 2009-2015”, w którym w latach 2012-2013 uczestniczyli studenci Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II.

Rada była też wspólnie z Zarządem Krajowym Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” inicjatorem zorganizowanej w roku 2012 konferencji naukowej na temat Polaków w Charbinie i ich roli w budowie Kolei Wschodniochińskiej, przyczyniając się w ten sposób do ubogacenia faktograficznego tego deficytowego tematu związanego z dziejami Polaków na Syberii i pograniczu chińsko-rosyjskim.

Dopełniając te sprawozdanie o inne wątki tematyczne powstałe w łonie Rady należy dodać tu ponownie w roku 2013 wniosku o wmurowanie tablicy pamiątkowej w Gmachu Politechniki Warszawskiej poświęconej minionej w ubiegłym roku 85-tej rocznicy powstania Związku Sybiraków. Można oczywiście rozwinąć tę informację o inne tematy, które zarówno w sferze naukowej, medialnej i publicystycznej łączą się osobowymi przedsięwzięciami niektórych członków Rady, jak np. opieka merytoryczna prof. dr A. Kuczyńskiego nad przygotowaniem międzynarodowego grantu naukowego dr Marty Nowakowskiej, poświęconego dziejom Polaków-Sybiraków w Afryce w ujęciu przeszłości i teraźniejszości jako elementu antropologii pamięci historycznej.

Wiesław Krawczyński

Artur Międzyrzecki

PIEŚNI

Zdrętwiała w stepach kazachskich, omdlała z żaru wśród pustyń,
Ty jedna mnie nie zawiedziesz, Ty jedna mnie nie opuścisz.
Są wzloty podniebne, harde. Są ostre, ciemne upadki.
Są dni, co pachną lipami, są słońca pokryte cieniem.
Jest wiersz o wiosnie w mym tomie, a obok jest list od Matki.
Są ranki dzwoniące pustką i blade światło, jak westchnienie.
Żmudna jest droga do siebie, gdy szlak się gubi w ciemności,
Gdy płaczą uschnięte kwiaty, gdy wyje noc urągliwie,
Kiedy nie można ogarnąć, kiedy nie można uprościć
Zmierzchów przeklętych rozpaczą i zwyciężonych porywem.
Ciężko jest nie móc odszukać swych własnych zmęczonych kroków,
Wciąż patrzeć celów odległych, rzuconych w przepastne dale,
W zsiniałym jak obojętność, w nostalgii płaczącym mroku,
Czekając tęczy u kresu, nie mogąc jej w drodze znaleźć.
Ciężko nieść miłość przed sobą w wędrówkach długich, ciernistych,
Ciężko nieść żagiew nadziei, rozplamionej swą wolą,
Szukając dalekich oczu, które się nie chcą przyśnić,
Szukając dłoni pomocnej i zagarniając popioły.
Ty ze mną tylko idziesz, Ty ze mną tylko płyniesz,
Ty świecisz gwiazdą przewodnią i szlak wytyczasz męczeński
Przez śniegi więziennych łądów, przez morza i przez pustynie.
Umiesz bić werble zwycięskie i odwrót osłaniać z klęski.
Pieśni, niegasła wśród lodów, pieśni trwająca wśród pustyń,
Ty jedna mnie nie zawiedziesz, Ty jedna mnie nie opuścisz.

REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- **Adam Czesław Dobroński, *Miasta województwa podlaskiego*, Białystok 2014, s. 388.**

Książka zawiera 40 zwartych monografii miast aktualnie wchodzących w skład województwa podlaskiego. Monografie te są uporządkowane alfabetycznie. Tom otwiera rozprawa o Augustowie a zamyka historia Zambrowa. Układ ten sprawia, iż duże ośrodki miejskie sąsiadują z małymi miasteczkami, te o bogatej przeszłości historycznej ze znacznie młodszymi. Jednak struktura każdej rozprawy jest podobna. Rozpoczynają ją informacje o lokacji miejscowości, jej rozwoju gospodarczo-demograficznym, by przejść następnie do dziejów patriotyczno-martyrologicznych.

Informacje dotyczące gospodarki są bardzo dokładne. Autor wylicza liczbę młynów, browarów, gorzelni, następnie warsztatów tkackich i farbiarni w poszczególnych miastach. Podaje także skąd zostali sprowadzani fachowcy do powstającego i rozwijającego się przemysłu włókienniczego regionu, i na jakie rynki zbytu była przeznaczana jego produkcja. W pracy można też znaleźć dane demograficzne mówiące o zmieniającej się liczebności mieszkańców omawianych ośrodków miejskich w zależności od wydarzeń historycznych.

W drugiej części opracowania na uwagę zasługują przede wszystkim informacje omawiające powstanie styczniowe na Podlasiu i wypadki je poprzedzające. Mało znanym był na przykład fakt, iż dwu mieszczan miasteczka Suraż zostało zesłanych na Sybir za udział w akcjach patriotycznych związanych z latami 60-tymi XIX wieku. Wypadki w tym miasteczku związane z powstaniem miały przebieg dramatyczny, partia powstańcza „Zameczka” weszła do miasta i przypuściła szturm na miejscowy arsenał w celu zdobycia broni. Akcja się jednak nie powiodła, powstańczy oddział poniósł duże straty. Od tamtych wydarzeń Suraż był pod ścisłym nadzorem carskiego wojska i policji. W kwietniu 1865 roku powieszono na rynku Michała Laskowskiego za udział w walce partyzanckiej. Całe miasto za wydarzenia te zapłaciło wysoką cenę – za karę utraciło prawa miejskie.

Podobnie za wspieranie styczniowego zrywu utraciła je Jałówka, znana osada miejsko targowa położona między Michałowem a Świsłoczą nad rzeczką o tej samej nazwie. Prawa miała nadane przez króla Zygmunta Augusta, w miasteczku był neogotycki kościół, zbór protestancki, cerkiew, synagoga i murowany budynek szkoły. Dziś są tam ruiny neogotyckiej świątyni, kościół katolicki i nowoczesna w formie cerkiew prawosławna. Osada pielęgnuje do dziś pamięć swojej miejskiej przeszłości; dowodem nie tylko pomnik ostatniego

z Jagiellonów wystawiony przez mieszkańców na dawnym rynku, ale i ulice o tradycyjnych nazwach, po których nie wędrują żadne kury ani gęsi. Rynek jest zawsze wysprzątany, ulice odśnieżone i pozamiatane.

Michałowo, obecnie siedziba władz miejsko-gminnych, też podległo ostrym represjom. Przez osadę przeszło bowiem, jak i przez Jałówkę, duże zgrupowanie partyzantów z puszczańskiego uroczyska Budzisk przedzierające się na Wołyń. Właściciel osady, dbający w sposób nowoczesny o dynamiczny rozwój gospodarczy miejscowości, Seweryn Michałowski, oskarżony o wspieranie powstańców został zesłany na Syberię, a jego dobra zostały skonfiskowane. Nabył je rosyjski generał Aleksander von Minkwitz. Tak skończył się dynamiczny rozwój przemysłowy Michałowa. Związek gospodarki i historii, jak z tego wynika, nie przyniósł miejscowości szczęścia, ucierpieli wszyscy mieszkańcy, gdyż brakło pracy, zarobków i perspektyw. Nic więc dziwnego, że jedna z ulic, dziś już miasta Michałowo, nosi imię dawnego właściciela, dobrego gospodarza i syberyjskiego zesańca.

Także średniej dziś wielkości miasto Grajewo, utrwalone w trylogii Henryka Sienkiewicza, utraciło za wspieranie styczniowego zrywu status miasta, który miało od 1540 roku, z nadania króla Zygmunta Starego. Utrata praw miejskich była karą dotkliwą, oznaczała utratę przywilejów demokratyczno-gospodarczych. Przestano posiadać wybieralny samorząd, ustalać samodzielnie wysokość miejskich podatków. Narzucone były oczywiście wyższe. Pogarszały się więc warunki ekonomicznego rozwoju miejscowości i byt wszystkich mieszkańców.

Badania profesora A. Dobrońskiego ustaliły niedoceniany do tej pory a znaczący wkład mieszczan obecnego województwa Podlaskiego w oba powstańcze zrywy i ten listopadowy i ten styczniowy. Ponadto publikacja zawiera wiele informacji mówiących o historii najnowszej, o walkach z wojskami hitlerowskimi, ale i represjach, które dotknęły społeczność Podlasia po 1945 roku. Przyniesione fakty są rzetelnie umotywowane i świadczą o drobiazgowych, wnikliwych badaniach nad historią najnowszą regionu.

Książka należy graficznie do typu edytorskiego modnego obecnie, który jednak nie budzi mojego zachwytu. Pewnie z tej przyczyny, że przywykłam zgodnie z zaleceniami Kazimierza Wyki, ufać autorowi. Co prawda jest to zaufanie ograniczone, ale też dalekie od nieufności. Tymczasem budowa książki, która główny tok naukowej narracji sytuje we środku karty, zaś marginesy wypełnia cytatami z dokumentów różnego typu od fragmentów pamiętników z epoki, aktów nadań, po informacje prasowe, nie wpisujące się w naukową narrację, w moim subiektywnym odczuciu służy autorowi za wsparcie merytoryczne. A przecież sięgam po pracę uznanego autorytetu w danej dziedzinie. Owe zaś marginalia tę moją wiarę podważają. A wątpić powinnam ja jako czytelnik na podstawie konfrontacji tej lektury i znanych mi faktów z historii Polski i regionu, w tym dokumentów źródłowych. Lepiej by chyba było, gdyby dokumenty znalazły się w aneksie. Mogłyby być obszerniejsze i w większej liczbie.

Na ładnej okładce są trzy fotografie największych miast województwa. Ich kolejność budzi wątpliwości. Niewątpliwie najstarszym miastem wymienionej w tytule jednostki terytorialnej jest Łomża. Badając ostatnio łomżyński kościółek archeolodzy ustalili, że pochodzi on z pierwszej połowy XI wieku. Katedra tamtejsza to piękny obiekt gotycki, a i innych zabytków jest wiele. Jest to po-

nadto miasto osnute legendami. I bohaterską walką w wojnie 1831 roku i w powstaniu styczniowym. Tu także działała powstańcza partia Zameczka, a sprzyjający walczącym rodakom mieszkańcy miasta i uczniowie tamtejszego gimnazjum srodze ucierpieli za władzy rosyjskiego gen. Mikołaja Ganeckiego. Posądzanych o sprzyjanie powstańcom rozstrzeliwano przy szosie zambrowskiej. Nie brakło i zesańców. W pamięci mieszkańców zachowa się długo obrona miasta przed nawałą hitlerowską i długo stojący front w 1944 roku, co spowodowało wielkie zniszczenia miasta. Zasłużyła więc Łomża na pierwsze miejsce. Tymczasem zajmują je Suwałki. To prawda, że gimnazjum tamtejsze stało na wysokim poziomie. Prawdą jest i to, że była to szkoła, w której najpóźniej po styczniowym zrywie wprowadzono jako język nauczania język rosyjski. Ponadto badania Mariana Lecha ustaliły, że w guberni suwalskiej była najmniejsza liczba analfabetów z całych ziem polskich. Była to zasługa i związków z Wilnem, i poziomem tamtejszego gimnazjum I pracy tamtejszych ziemianek. Jednym z pierwszych gubernatorów guberni augustowsko-suwalskiej był absolwent wileńskiej wszechnicy Aleksander Połujański. Miłośnik tamtego regionu i autor pierwszego przewodnika turystycznego po Suwałkach i okolicy.

Miasto i okolice także w czasach najnowszych miało bogatą i tragiczną przeszłość. Słynna oblawa suwalska pierwszego roku po wyparciu wojsk hitlerowskich do dziś jest przedmiotem badań historyków i niezaleconą raną mieszkańców tego regionu. Czyżby umieszczenie konterfektu tamtejszego gimnazjum było subiektywnym głosem Adama Dobrońskiego oddającego hołd tamtejszej XIX-wiecznej oświacie? Czy tragicznym ofiarom suwalskiej oblawy? Nie umiem na to odpowiedzieć. Nie mniej dobór fotografii na okładce może budzić dyskusję.

Brakuje mi w tej pracy większej liczby informacji o kulturze poszczególnych ośrodków, o ruchu amatorskim. I zawodowym. Przez Łomżę i Suwałki szedł szlak, którym trupy teatralne warszawskie wędrowały ku Wilnu i do Petersburga z bardzo dobrym repertuarem. Karol Hoffman absolwent suwalskiego gimnazjum, a później znany aktor, w pamiętniku notuje wrażenie z takiego spektaklu, a i zabawną historię sceny amatorskiej, na które to przedstawienie aktualny generał gubernator nie wyrażał zgody. Młodzi panowie skokietowali jego żonę i ta w przewiewnym, królewskim negliżu przedstawiała w niemym obrazie Wandę, co nie chciała Niemca. Przedstawienia się odbywały przy licznych udziałach okolicznych ziemian. Przypomnieć należy, że język polski wyparty ze szkół i urzędów mógł przemawiać wierszem Aleksandra Fredry czy frazą Józefa Bliźnińskiego ze sceny, a chór amatorski śpiewać *Wiliję* czy krakowiaka na miejskim rynku. Roli tych faktów i wpływu ich na społeczeństwo miejscowe nie sposób przecenić.

Niewątpliwym plusem publikacji jest duża ilość fotografii archiwalnych, czytelny druk, a także wypowiedzi burmistrzów 26 miast, które stanowią bogactwo Podlasia. Informują one o aktualnej ocenie grodu przez jego władze i planach rozwoju w przyszłości. O otwarciu się samorządów na inicjatywy gospodarcze. Te wypowiedzi włodarzy miast są dobrym pomysłem autorskim. Dzięki nim książka może być pomocna ewentualnym inwestorom szukającym miejsca dla swoich firm na terenie ziem z dużą liczbą osób szukających pracy.

Barbara Noworolska

- **Swietłana A. Mulina, Anna A. Krich, *Polacy w Zachodniej Syberii. Słownik biograficzny*, Omsk 2013, s. 300.**

Dzieje masowych zesłań zamknąć można w ponad stusześćdziesięcioletnim okresie, między rokiem 1815 a 1956. Ich prolog stanowiło branie w niewolę jeńców pojmanych w czasach wojen polsko-rosyjskich od końca XVI wieku. Wśród nich liczniejsi byli konfederaci barscy i powstańcy z oddziałów Tadeusza Kościuszki, których kierowano na osiedlenie albo do służby wojskowej w prowincjach syberyjskich. Jednak dopiero od 1815 roku zesłanie stało się karą praktykowaną wobec obwinionych o przestępstwa polityczne Polaków z ziem zabranych. Mieszkańców Królestwa Polskiego wysyłano za Ural jeszcze później, bo od 1832 roku, kiedy wprowadzenie Statusu Organicznego w miejsce konstytucji z 1815 roku zniósło formalno-prawne gwarancje odbywania kary na terenie kraju.

Książka *Polacy w Syberii Zachodniej* dotyczy wczesnego okresu zesłań, ale zawiera też nazwiska osób pojmanych w niewolę czy wysłanych na Wschód zanim jeszcze zsyłki do Rosji stały się powszechnie praktykowane. Napisały ją dwie autorki z Omska, które mimo młodego wieku mają już spory dorobek w badaniu dziejów polskiej diaspory w Rosji. Anna Aleksiejewna Krich jest aspirantem katedry etnografii i muzealnictwa tamtejszego uniwersytetu, natomiast Swietłana Anatoliewna Mulina z Państwowego Uniwersytetu Rolniczego, to znana badaczka historii Polaków w Rosji, uhonorowana Nagrodą „Przeglądu Wschodniego” w 2012 roku. Jako stypendystka Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia realizuje projekt: „Polska diaspora na Syberii zachodniej w pierwszej połowie XIX wieku”.

A. Krich prześledziła proces formowania rosyjskiej ludności środkowego Przyjrtysza w XVIII-XIX wieku na podstawie danych o migrantach. Nasuwa się tu jednak uwaga, że używając w książce terminu „migranci”, nie zawsze wiadomo, czy chodzi o dobrowolnych przybyszów czy o osoby represjonowane, co dla nas jest ważne. Z kolei S. Mulina, prowadząc kwerendę w archiwach, zebrała informacje o ponad 4 tysiącach uczestników powstania 1863 roku, zesłanych do Syberii Zachodniej. Zbadanie dodatkowych wątków pozwoliło ukazać te osoby w pełniejszym świetle i wyjść poza ramy czasowe nakreślone przez autorki. Piszą one, że biogramy opracowane na podstawie wielu archiwalnych źródeł dają wyobrażenie m. in. o liczebności i stanie polskiej diaspory w Zachodniej Syberii w ostatnim ćwierćwieczu XVIII wieku i pierwszej ćwierci XIX wieku. Określenie danych personalnych osób, składających się na nią, pozwalają lepiej poznać specyfikę procesu adaptacji Polaków w odmiennym etnicznie otoczeniu, a także prześledzić proces formowania narodowościowego i socjalnego oblicza syberyjskiej społeczności. Reasumując, stanowią one niejako materiał wyjściowy do dalszych badań.

Słownik powstał głównie w oparciu o źródła rosyjskie, choć podaje też wiadomości pochodzące z naszych dość dobrze znanych książek. Zawiera informacje o przebywaniu w Zachodniej Syberii przedstawicieli konfederatów, jeńców wojennych armii Napoleona i uczestników powstania 1830-1831 roku. Każda z tych grup została ujęta w osobnym rozdziale.

Na początku słownika zawarte są biogramy polskich konfederatów i jeńców wojennych. Autorki zaznaczają, że okres ten jest przez historyków najmniej zbadany. Pierwszym, który zestawiał spis, dający wyobrażenie o składzie

i ilości ówczesnych zesłań, był Tesby Francois de Belcour (Franciszek August Belcour), oficer francuski w służbie konfederacji barskiej, skazany na 3 lata do Tobolska. W sporządzonym przez niego wykazie znajduje się 5445 osób. Gwoli wyjaśnienia podaję, że obszerna informacja o Franciszku Belcour znajduje się w książce A. Kraushera, *Konfederaci barscy na Syberii* (Kraków 1895), w którym autor przytacza sporządzony przez niego wykaz ludzi wziętych w niewolę, obejmujący 9 marszałków, 2 komendantów, 9 pułkowników itd. Szerzej spis Belcoura opisała T. S. Mamsik (*Poliaki w Sibiri, po materiałach amnestii 1804 g.*), ale polscy historycy nie do końca się zgadzają z niektórymi jej ustaleniami.

W książce zawarte są też nazwiska innych badaczy, którzy gromadzili dane o konfederatach barskich wraz z ich publikacjami. Są to przeważnie historycy rosyjscy. W sumie zebrano w opracowaniu informacje o 265 osobach, a zamieszczony materiał jest generalnie dość szczegółowy. O ile było to możliwe, zawiera informacje o pochodzeniu, sytuacji rodzinnej, miejscu przebywania w Syberii Zachodniej i stopniu polskich konfederatów w syberyjskim wojsku, które znajdują się w archiwach w Tobolsku i w Omsku. Autorki piszą, że wśród nich byli katolicy, luteranie i unicy. Masowe przyjęcie prawosławia przypada na lata 1773-1774, kiedy w różnych miastach tobolskiej guberni przeszło na prawosławie 154 polskich konfederatów, o czym polscy badacze z rzadka wspominają. Podkreślić jednak należy, że w książce nie znajdziemy nazwisk takich zesłańców, jak Adam Kamieński-Dłuzżyk, Józef Kopeć czy Ludwik Sienicki, którzy wędrowali m. in. przez Tobolsk i byli autorami cennych pamiętników, zawierających wiadomości o przemierzanych terenach.

Warto przypomnieć, że w Polsce opublikowano już słownik represjonowanych przedstawicieli ruchów narodowowyzwoleńczych z lat 1815-1856, zatytułowany *Zesłańcy polscy w Imperium Rosyjskim w pierwszej połowie XIX wieku* (Wydawnictwo DiG, Warszawa 1998). Ukazał się on pod redakcją profesor Wiktorii Śliwowskiej. Jest to obszerna publikacja, zawierająca 2500 biogramów. Autorki książki *Polacy w Zachodniej Syberii* piszą jednak, że w słowniku nie zostały zamieszczone materiały z zachodniosyberyjskich archiwów, a w czasie kwerend znalazły dokumenty, mówiące o 407 osobach. Pobieżny przegląd biogramów potwierdza, że niektóre nazwiska nie powtarzają się w pracy polskiej i rosyjskiej. Dlatego warto prześledzić obydwie tomy, żeby mieć pełniejszy obraz listy zesłańców. Dodać też trzeba, że nasz kontakt z rosyjskimi placówkami jest raczej niewielki, więc i z tego względu praca jest cenna. Książkę rosyjskich autorek traktować można jako wartościowe uzupełnienie naszej wiedzy o represjonowanych Polakach w pierwszej połowie XIX wieku, szczególnie sprzed powstania listopadowego. Autorki podają, że korzystały tu ze zbiorów GATO (Państwowe Archiwum Tomskiego Obwodu), GIAOO (Państwowe Historyczne Archiwum Omskiego Obwodu), GUTO GAT (Państwowe Archiwum Obwodu Tiumeńskiego), RGADA (Rosyjskie Państwowe Archiwum Akt Dawnych) i RGWIA (Rosyjskie Państwowe Wojskowo-Historyczne Archiwum). Skrót archiwum, z którego pochodzą dane osobowe, widnieje pod każdym biogramem.

Książkę zamyka spis wykorzystanej literatury, zawierający najcenniejsze publikacje, w których podane są nazwiska i informacje o zesłańcach. Dodam jeszcze, że publikacja adresowana jest do historyków, etnologów i wszystkich, którzy interesują się historią Polaków na Syberii. Szkoda tylko, że wydano ją w nakładzie 500 egzemplarzy.

Anna Milewska-Młynik

- **Piotr Derdej, *Brześć 1939*, Wydawnictwo Antyk, Komorów 2013, s. 359.**

Mimo, że od rozpoczęcia drugiej wojny światowej minęło już prawie 75 lat, ciągle jeszcze nie wszystko wiemy na temat tych tragicznych wydarzeń. Jednym z nich jest obrona twierdzy w Brześciu nad Bugiem toczona w dniach 14-17 września 1939 roku przez polski garnizon dowodzony przez generała Konstantego Plisowskiego. Tej tematyce poświęcił swoją książkę Piotr Derdej. Po II wojnie światowej w kraju nie pisano o bohaterskiej obronie twierdzy brzeskiej przez polskich żołnierzy. Także na emigracji temat ten nie znajdował się w kręgu zainteresowania badaczy. Dopiero w 1997 r. w Londynie ukazała się pierwsza książka poświęcona dziejom Brześcia nad Bugiem zatytułowana *Brześć-miasto niezapomniane*, niestety pełna licznych nieścisłości i błędów. Dlatego dobrze się stało, że otrzymaliśmy kolejną książkę poświęconą obronie twierdzy.

Książka została podzielona na sześć rozdziałów oraz wstęp i zakończenie. We wstępie w skrócony sposób przedstawiono nie tylko dotychczasowy stan badań poświęconych dziejom Brześcia, ale także motywy, jakie skłoniły go do poświęcenia swojej kolejnej książki właśnie tej problematyce. Jak pisze praca ta ma dla niego wymiar osobisty, ponieważ przed wojną mieszkańcem miasta był jego ojciec, który był również świadkiem dramatycznych wydarzeń z września 1939 roku.

W rozdziale pierwszym autor przedstawił dzieje miasta i twierdzy do 1939 roku. Jak pisze, był to jeden z najstarszych grodów monarchii piastowskiej, którego udokumentowane początki sięgają IX lub X wieku. Jako pograniczne miasto, Brześć wielokrotnie zmieniał przynależność państwową. Znajdował się we władaniu monarchii piastowskiej, Rusi Kijowskiej, Wielkiego Księstwa Litewskiego i wreszcie Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Na karty wielkiej historii miasto trafiło w 1596 roku za sprawą zawartej tutaj pomiędzy Kościołem prawosławnym a rzymskokatolickim tzw. Unii Brzeskiej. Powolny upadek miasta, jak pisze autor, zaczyna się w wyniku wojen XVII w. Po trzecim rozbiórce Polski miasto trafia pod panowanie Rosji. Jego sytuacja zmienia się w wyniku upadku powstania listopadowego, kiedy to decyzją cara Mikołaja I, na miejscu dawnego miasta, zaczęto wznosić potężną twierdzę. Co ciekawe przy jej budowie pracowali również Polacy – oficerowie armii carskiej np. Romuald Traugutt, czy Rafał Kalinowski. Podczas powstania styczniowego twierdza nie odegrała większej roli militarnej. Działające na terenie Polesia oddziały partyzanckie były zbyt słabe, aby pokusić się o jej zdobycie. Pełniła ona natomiast rolę więzienia, w którym przetrzymywano schwytanych powstańców. Tu również wykonywano wyroki śmierci m.in. na ks. Stanisławie Brzósce- naczelniku województwa podlaskiego. Podczas pierwszej wojny światowej twierdza nie odegrała żadnej roli militarnej. W wyniku gwałtownego ataku państw centralnych została zdobyta latem 1915 roku. To tutaj zainstalowało się naczelne dowództwo Armii Niemieckiej na Wschodzie tzw. Ober-Ost. Tutaj też podpisało w lutym 1918 roku tzw. Traktat Brzeski.

Podczas wojny polsko-bolszewickiej twierdza została zdobyta niemal bez walki przez wojska dowodzone przez Tuchaczewskiego. Dopiero po 1921 roku dla miasta i twierdzy nastały spokojne czasy. Choć sama twierdza nie miała już większego znaczenia militarne, to Brześć pozostał wielkim garnizonem wojskowym, gdzie m.in. mieściła się siedziba Dowództwa Okręgu Korpusu nr IX oraz znaczącym węzłem komunikacyjnym.

W rozdziale drugim przedstawione zostały wydarzenia z pierwszej połowy września 1939 r. W polskim planie obronnym Twierdza Brzeska miała z jednej strony osłaniać Warszawę z kierunku Prus Wschodnich, z drugiej zaś stanowić bezpośrednie zaplecze dla walczących z Niemcami armii Modlin oraz Samodzielnej Grupy Operacyjnej Narew. Niestety, przebieg działań wojennych brutalnie zweryfikował te plany. Zagrożenie Warszawy spowodowało, że już 6 września marszałek Rydz Śmigły zdecydował się przenieść kwaterę do Brześcia. Była to niestety fatalna decyzja. Twierdza była kompletnie nieprzygotowana do tej roli. Brakowało przede wszystkim, jak pisze autor, środków łączności. Od tego momentu wpływ naczelnego wodza na przebieg działań na froncie był coraz mniejszy. Do tego działania operacyjne niemieckiego wywiadu, który szybko ustalił miejsce pobytu naczelnego wodza, spowodowały liczne naloty na miasto. W kolejnym rozdziale przedstawiono sytuację miasta i twierdzy po jej opuszczeniu wraz ze sztabem przez marszałka Śmigłego. W twierdzy pozostała natomiast zorganizowana na przemocie załoga dowodzona przez generała Konstantego Plisowskiego. Były to w zdecydowanej większości oddziały drugiego rzutu, słabiej wyposażone i wyszkolone. Regularne oddziały Wojska Polskiego od pierwszych godzin wojny związane były działaniami obronnymi na granicy zachodniej z Niemcami i tylko nieliczni ich żołnierze zdołali powrócić do macierzystego garnizonu przed rozpoczęciem oblężenia Twierdzy Brzeskiej. Ponadto liczba żołnierzy była niewystarczająca dla obsadzenia wszystkich umocnień, dlatego też generał K. Plisowski zdecydował się bronić jedynie cytadeli fortecznej. Jak czytamy dalej, Niemcy próbowali zdobyć umocnienia twierdzy z marszu, co nie tylko się im nie udało, ale ponieśli również bardzo poważne straty. Pomimo wielokrotnych ataków, poprzedzanych wielogodzinnym ostrzałem artyleryjskim i nalotami bombowymi, Niemcom nie udało się pokonać polskiej załogi. Wobec ogromnej przewagi wroga generał K. Plisowski podjął decyzję o opuszczeniu cytadeli. W nocy z 16/17 września oddziały polskie opuściły twierdzę wycofując w kierunku nie zajętego jeszcze przez Niemców Terespoła a potem dalej na zachód. W twierdzy pozostały odosobnione grupy żołnierzy, którym nie udało się oderwać od Niemców, ciężko ranni oraz batalion marszowy 82 pułku piechoty kpt. Idziego Radziszewskiego. Paradoksalnie, dzięki bohaterskiej obronie żołnierzy kpt. I. Radziszewskiego, pozostałe oddziały mogły się oderwać od nieprzyjaciela i przejść na drugą stronę Bugu. Resztki dowodzonego przez niego batalionu rankiem 17 września oderwały się od nieprzyjaciela i przedostały się na drugą stronę Bugu. Niestety, jakie były dalsze losy oddziału nie wiemy, dlatego, że żaden z jego żołnierzy najprawdopodobniej nie przeżył do naszych czasów. Polegli oni podczas dalszych walk lub udali się na wschód gdzie dostali się do niewoli sowieckiej. Rankiem 17 września do twierdzy wkroczyły oddziały Wehrmachtu.

W kolejnych dwóch rozdziałach przedstawiono dalsze walki zgrupowania generała K. Plisowskiego oraz kwestię współpracy w rejonie Brześcia Wehrmachtu i Armii Czerwonej. W wyniku paktu Ribbentrop-Mołotow twierdza znalazła się na linii demarkacyjnej. Najpierw jednak doszło do znamienego wydarzenia. 22 września odbyła się bowiem w Brześciu defilada potwierdzająca sojusz obu zbrodniczych reżimów. To wydarzenie było chyba jednym z powodów, że o dziejach tego miasta w PRL nie bardzo można było mówić.

Ostatni rozdział został poświęcony dziejom miasta podczas okupacji sowieckiej oraz tzw. obronie twierdzy, w czerwcu 1941 r. Jak wykazał autor, mit o bohaterskiej obronie twierdzy został wykreowany przez radziecką propagandę i nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Tak naprawdę atak niemiecki całkowicie zaskoczył stacjonujące w twierdzy oddziały Armii Czerwonej. Według relacji świadków większość żołnierzy w panice próbowała wydostać się z miasta i twierdzy. Ostatni rozdział został poświęcony późniejszym losom obrońców twierdzy. W wielu wypadkach były one tragiczne, jak np. losy generała K. Plisowskiego (zginął w ZSRR), czy jego zastępcy ppłk Alojzego Hopaka, zamordowanego przez Niemców w 1943 r. Ci zaś, co przeżyli, starali się później w miarę możliwości utrwaląc swoje wspomnienia na piśmie. Wiele z tych relacji zostało wykorzystanych przez autora omawianej książki.

Praca Piotra Derdeja jest chyba pierwszą po wojnie tak obszerną publikacją omawiającą dzieje Twierdzy Brzeskiej we wrześniu 1939 roku. Autor wykorzystał przy jej pisaniu liczne mało znane relacje obrońców twierdzy, zgromadzone przez swojego ojca Mariana oraz Zygmunta Popiela. Ponadto wykorzystał istniejące artykuły i publikacje książkowe. Omawiana książka nie stanowi jednak wyczerpującej monografii omawianych wydarzeń. Jest to raczej napisana interesującym, prostym językiem praca popularnonaukowa. Autor nie wykorzystał bowiem źródeł zgromadzonych w polskich archiwach, np. Centralnym Archiwum Wojskowym czy Archiwum Instytutu gen. Sikorskiego w Londynie oraz placówkach niemieckich (np. Archiwum Wojenne we Fryburgu Bryzgowijskim). Nie najlepiej prezentuje się również strona edytorska książki. Niekiedy przypisy zajmują kilka stron, przerywając prowadzoną zwięźle narrację.

Prezentowana książka mimo pewnych mankamentów, stanowi z pewnością bardzo interesujący przyczynek do poznania tych stosunkowo mało znanych wydarzeń z września 1939 roku. Może ona również stanowić podstawę do dalszych pogłębionych badań nad tą problematyką. Myślę, że każdy zainteresowany dziejami drugiej wojny światowej, z pewnością sięgnie po tę interesującą publikację.

Tomasz Dudek

- **Mieczysława Łysik, *Wspomnienia z Sybiru 1940-1946*, Wydawnictwo Norbertinum, Lublin 2013, s. 125.**

Sybiracy to ludzie, których połączył los zesłania w głąb Rosji. Niektórzy nie chcą wracać do tych strasznych przeżyć, pełnych głodu, chorób, zimna i beznadziei. Odsuwają w niepamięć ten czas, który był traumatycznym przeżyciem. Dla wielu zesłańców swoistą formą *katharsis* jest napisanie wspomnień z tamtych lat. Książka Mieczysławy Łysiak *Wspomnienia z Sybiru 1940-1946* jest właśnie takim sposobem uwolnienia się od doświadczeń „sowieckiego piekła”, ale także hołdem złożonym zwykłemu bohaterom, lekcją historii i umacnianiem postaw patriotycznych.

Wspomnienia zaczynają się 9 lutego 1940 roku. Wraz z Autorką, wówczas ośmioletnią Miecią jesteśmy w ukraińskiej wsi Sarańczuki, województwo tarnopolskie. Jest mroźny zimowy dzień, toczy się zwyczajne życie, tylko „dziwny” pociąg przejeżdżający przez wieś budzi bliżej nieokreśloną obawę.

Autorka pisze: „[...] pociąg przejechał, mama żartowała z nami, ale ogarnął ją jakiś dziwny niepokój. Instynkt, przecucie? Trudno to określić, pamiętam jednak, że bez powodu zaczęła płakać” (s. 8). Nastąpiła noc, a potem ranek i wydarzenia, które odmieniły los małej dziewczynki i jej matki, polskiej nauczycielki. Kiedyś Miecicia, a dziś Pani Mieczysława, mimo upływu lat ciągle ma przed oczyma twarz enkawudzisty, który ich transportował na stację kolejową oraz dantejskie sceny, jakie działy się przy wsiadaniu do tego „dziwnego” pociągu. Po trzech dniach załadunku pociąg ruszył i zaczęła się katorżnicza podróż na Sybir. Wyglądała ona tak: „I tak po postojach w dzień, jazdach w nocy, przydziałach dwóch wiader zupy lub kawy, dwóch wiader wody i dwóch – trzech bochenków chleba-gliny (przydział ten był na wagon liczący od 30-60 osób – dopisek M.D.), po upływie pięciu-sześciu tygodni, w marcu, dobiliśmy do stacji końcowej – portu niewolniczego przeznaczenia o ładnej nazwie «Miendielejewo»” (s. 17). To nie był jednak kres podróży, zmienił się tylko środek lokomocji. Jazda ciężarówkami, a potem saniami trwała jeszcze kilka dni. Nasza bohaterka wraz z mamą i innymi polskimi rodzinami znalazła się w posiołku Jan-czer, zamieszkałym przez białoruskich zesłańców.

Mieczysława Łysik ciekawie opisuje, jak Białorusini „czynili sobie ziemię poddaną” i budowali ten posiołek oraz jak wyglądało w nim życie polskich zesłańców. „Nie przebywałam w żadnym łagrze, obozie, więzieniu, ale to było więzienie w osiedlu” (s. 25). Młode i zdrowe osoby pracowały w lesie przy wyrębie i transporcie drewna, za co dostawały przydział żywności i pieniądze. Niestety mama pani Mieczysławy nie mogła podjąć takiej pracy ze względu na zły stan zdrowia, więc wyprzedawała przywiezione z Sarańczuk rzeczy lub wymieniała je za mleko, masło, kartofle, itp. Zapasy się wyczerpały, a pomoc z Polski z powodu zawieruchy wojennej nie dochodziła, więc głód zaczął zaglądać w oczy. Doświadczenie głodu często jawi się w tych wspomnieniach.

Miecicia od września 1940 r. zaczęła uczęszczać do miejscowej szkoły, ale była tam jedynym polskim dzieckiem, bo inni rodzice sabotowali rosyjską szkołę. Autorka zauważa: „Do mojej rosyjskiej szkoły uczęszczałam sama, w pojedynkę, tylko do końca pierwszego półrocza. Później, pod przymusem – zagrożeniem karą rodziców, zapędzono do tego przybytku oświaty sowieckiej wszystkie polskie dzieci i nastolatki w wieku szkolnym” (s. 32). Problemy bytowe, brak odzieży i środków higieny spowodowały przerwanie nauki, za to inne obowiązki i prace domowe trzeba było wykonywać.

Mieczysława Łysik z swej pamięci wydobywa wszystkie wydarzenia, które miały znaczenie dla małej dziewczynki, ale uzupełnia je doświadczeniem dojrzałej kobiety. Wspomina niemiłosiernie gryzące wszy, własne choroby, poświęcenie matki, walczącej o ich przetrwanie, zmuszenie do przyjęcia radzieckiego obywatelstwa, czy „wróżbiarskie” zarobkowanie swej mamy. Wiele razy Autorka wraca do różnych sposobów zdobywania jedzenia przez matkę. Niemożność podjęcia pracy w zesłańczych warunkach oznaczało głodowe racje żywności, więc trzeba było wymyślać nietuzinkowe sposoby działania, by przeżyć. Czego miała się pani Maria i jak radziła sobie na „niehumanitarnej ziemi” to mocno utkwiło w pamięci jej córki Mieczysławy. Pisze: „A mama w naszym przepastnym koszu na bieliznę znalazła skarb – stertę czystych, na kredowym papierze drukowanych zeszytów [...]. No i zaczęła mama sprzedawać – wymie-

niać na żywność – te zeszyty, ale nie w całości, lecz na pojedyncze kartki [...]. Drugie zaś źródło przetrwania było zgoła inne [...]. Mama nieraz przed wojną dla zabawy „wróżyła z kart” przyjacielom, ale nigdy nie przypuszczała, że to może jej i córce uratować życie” (s. 34). Były też inne niezwykle sposoby zdobywania pożywienia, o czym można się przekonać śledząc te smutne, ale bogate w faktografię *Wspomnienia z Sybiru*.

Życie w osiedlu Janczer było szkołą przetrwania. Kolejnym miejscem pobytu naszych bohaterek była wieś Górianowka w saratowskiej obłasti. Jak wyglądała podróż do tego miejsca i co Polacy tam zastali opisuje znajdujące odbicie na kartach książki. Autorka wspomina bowiem, że: „Dla nas jednak mimo wszystko w porównaniu do katorgi w tajdze zaczęło się rajskie życie. Bez dyskryminacji narodowej zatrudniono nas w miejscowym sowchozie [...]. Mama została zatrudniona w charakterze nocnego dozorca przy stadzie krów stojących na noc na wolnym powietrzu [...]. Ale ja też nie miałam krzywdy. Ręk do pracy w polu brakowało, liczyły się każde nawet dziecięce [...]. Zorganizowano dziecięcą brygadę pracy. Miałam wtedy dwanaście i pół roku. Pracowaliśmy przy pielieniu sowchozowego prosa i pszenicy” (s. 82-83). Zwykle dobre nie trwa długo. Co zakłóciło życie Miei i jej mamy i jak wyglądały dalsze ich losy można przeczytać w recenzowanej książce.

Ostatnia stacja zesłańcza polskiej nauczycielki z Sarańczuk i jej córki to wieś Osinowka w saratowskiej obłasti. Pani Maria dostała pracę w polskiej czteroklasowej szkole, a Miecia stała się uczennicą i „zaopatrzeniowcem domowym”. Chodziła po opał w step, przynosiła wodę ze studni lub rzeki, robiła zakupy, odbierała mleko z kolchozowej obory. Upływające miesiące przynosiły nowe wydarzenia, o których ciekawie pisze Autorka. W końcu nastał rok 1946 i można było wrócić do Polski. Gorączkowe przygotowania do podróży, szczęście, radość, a w końcu długo wyczekiwany powrót do kraju. Czytając ten fragment książki udziela się euforia zesłańców a wspominając je M. Łysik wspomina: „Po przejechaniu linii granicznej chyba w Medyce pociąg zatrzymał się na stacji. I wtedy trzeba było widzieć, co się działo. Ludzie wychodzili z wagonów i na klęczkach całowali ziemię – ojczystą, polską” (s. 114). Z bagażem syberyjskich doświadczeń i przeżyć Autorka i jej mama rozpoczęły nowy etap życia w Ojczyźnie.

Wspomnienia z Syberii 1940-1946 to powrót do lat dzieciństwa autorki, ale nie „sielskich, anielskich”, tylko naznaczonych głodem, strachem, chorobami i niepewnością jutra. Zesłańcza Syberia widziana oczyma dziecka, zaprezentowana w tej książce, skupia się na matce, jedynej opoce, w tym nieznanym i nieprzyjaznym miejscu. Mieczysława Łysik jest niejako postacią drugoplanową swych wspomnień. Składa hołd i podziękowanie matce dzięki której katorżnicze czasy udało się przetrwać.

Publikacja nie jest napisana w „martyrologicznym” stylu, są w niej zarówno radości, jak i smutki dnia codziennego. Autorka opisuje różne „śmieszności”, przygody i własne doświadczenia, ale też trudności, dramatyczne momenty i szerszy kontekst społeczno-historyczny. Niezwykle cennym źródłem wiedzy jest aneks, w którym umieszczono kopie dokumentów, listów, map i zdjęć z syberyjskich czasów niewoli. Książka opisuje nie tylko losy jednej z wielu polskich rodzin na zesłaniu. Autorce udało się uchwycić „ ducha”, a może lepiej określić „demonia syberiad”.

Małgorzata Dziura

Olga A. Ozierowa, *Poliaki zapadnoj Sibiri w ustowijach prowadzenia czrezwyczajnoy polityki w 1920-je – 1930-je gody. Monografia (Polacy z Zachodniej Syberii w warunkach prowadzenia nadzwyczajnej polityki w latach 20-tych – 30-tych). Monografia, Knigograd, Omsk 2014, s. 187, il.*

Recenzując książkę naukową, warto wiedzieć, kto ją napisał. Ważne są takie fakty jak dotychczasowy dorobek autora, jego zainteresowania, wykształcenie, a w przypadku zróżnicowanej struktury etnicznej Rosji, także z jakiego kraju się wywodzi, gdyż często pochodzenie rzutuje na reprezentowany przez niego kierunek zainteresowań. Jeżeli w publikacji nie ma choćby krótkiej notki biograficznej o nim, zadanie jest utrudnione. Niestety o autorce monografii Oldze Aleksiejewnie Ozierowej wiadomości mam niewiele. Z książki dowiedziałam się, że pracuje w Omskim Instytucie (filii) Rosyjskiego Państwowego Handlowo-Ekonomicznego Uniwersytetu. Naukowym redaktorem pracy był profesor Siergiej Jefimowicz Meteliew, a wśród recenzentów, obok dwójki Rosjan, znalazł się Polak – doktor filozofii z Wyższej Szkoły Stosunków Międzynarodowych i Amerykanistyki -Mirosław Murat.

Podjęty przez Ozierową temat, był do niedawna w Polsce i w Rosji dość rzadko rozpatrywany. Pomijając samą wartość poznawczą przeanalizowania w pracy wielu istotnych problemów związanych z tą problematyką, książka rosyjskiej autorki jest cenna, również z tego względu, że zwraca uwagę na inny punkt widzenia, nie zawsze zbieżny z naszym. Ten krąg wymiany myśli powoli się kurczy. Główne forum dyskusyjne – konferencje naukowe polsko-rosyjskie organizowane są coraz rzadziej, o nowościach wydawniczych z Rosji wiedza jest także znikoma. Nadmienić trzeba, że w ostatnich latach powstało w Polsce wiele opracowań naukowych i wspomnień poświęconych represjom na Wschodzie, jednakże w większości dotyczą one lat 40-tych i 50-tych XX wieku. Natomiast książka Ozierowej opisuje mniej u nas znany epizod w dziejach polskiej diaspory.

Początki prześladowań ludności zamieszkującej obszary Zachodniej Syberii miały miejsce w okresie zakończenia wojny domowej i ustanowienia tam władzy radzieckiej, co miało miejsce w 1920 roku. Były one już rozpatrywane przez historyków, jednak dość jednostronnie – z pominięciem wszystkich kontekstów i punktów widzenia. Jak pisze autorka, naukowe prace badaczy znajdowały się pod kontrolą partii, a archiwa były dla nich zamknięte. Dopiero na przełomie XX i XXI wieku zaczęto bardziej intensywnie analizować problem politycznych represji. Duży wkład w zbadanie tych procesów na obszarze Syberii zachodniej wnieśli historycy: W. M. Samosudow, A. W. Gajdamakin, A. A. Sztyrbut, A. J. Szumiłow, W. W. Demidow, E. J. German, I. P. Ikonnikow, W. G. Koszaczew, J. B. Pawłow, A. P. Urgatow, W. A. Ilnickich, S. A. Pankow, W. N. Ujmanow, L. W. Szewielewa, T. N. Ostaszkow i N. W. Grekow. Jak się wydaje, są to mało znane u nas nazwiska, ale osoby zainteresowane problematyką represji w Syberii Zachodniej powinny zwrócić na nie uwagę i zapoznać się z ich dorobkiem.

Monografia naświetla jeden z bardziej kontrowersyjnych oraz okrutnych okresów Rosji radzieckiej i wiąże się z prześladowaniami zamieszkującej tam ludności. Podlegały im bez wyjątku wszystkie narody ówczesnego państwa, zaś każda z nich ma za sobą czarną historię jakichś doświadczeń. Zgodnie z tytułem autorka skoncentrowała się na sytuacji Polaków. Zasadniczym tematem opra-

cowania są socjalno-ekonomiczne warunki ich życia w kontekście prowadzenia politycznej kampanii, a przedmiotem badań – nie tylko represje, jakich doświadczyli, ale też ich udział, razem z innymi narodami, w działaniach wytyczonych przez CK WKP (b) (Komitet Centralny Wszechzwiązkowej Partii Komunistycznej – Frakcji Bolszewików).

Dla Polaków szczególnie ważne jest wykorzystanie w pracy nieznanych dotąd archiwalnych źródeł, co ma dla nas dużą wartość, zważywszy na trudności związane z dostępem do rosyjskich archiwów. Autorka korzystała z postanowień CK WKP (b), rozporządzeń komisarzy ludowych, zarządzeń partyjnych i komsomolskich, rad wiejskich, komórek partii socjalistycznej (jacjejek), postanowień okręgowych, obwodowych i rejonowych biur, materiałów z partyjnych zjazdów i konferencji Komitetu Centralnego i innych. Zamieszczenie w monografii wykazu cennej bazy źródłowej jest zresztą tylko poboczną korzyścią lektury książki, gdyż autorka stawia przed sobą znacznie poważniejszy cel. Pisze, że zbadanie historycznej przeszłości pozwala poznać mechanizm władzy, relacje między partią bolszewików i narodem, określić powody masowych represji. Podlegali im jeńcy wojenni, którzy służyli w białej armii i armii Kołczaka, a także cywilna ludność osiadła na obszarze Syberii Zachodniej.

Monografia składa się z wprowadzenia, trzech rozdziałów (Przedsięwzięcia władzy radzieckiej i wpływ radzieckiego partyjnego systemu na socjalno-ekonomiczne warunki życia polskiej ludności; Uczestnictwo polskiej ludności w przeprowadzaniu kampanii (akcji) w Zachodniej Syberii (1928-1938); Represje stosowane wobec Polaków w Zachodniej Syberii (1920-1938)). Pracę zamyka spis wykorzystanych źródeł i literatury. Poważnym utrudnieniem dla polskich czytelników jest brak wykazu skrótów nazw różnych instytucji, a jest ich w książce wiele.

W pierwszym z rozdziałów, stanowiących przedmiot pracy, rozpatrywana jest sytuacja polityczna w Zachodniej Syberii po zakończeniu wojny ojczyźnianej i jej następstwa dla ludności polskiej. W drugim został omówiony udział syberyjskich Polaków w kampaniach prowadzonych według rozkazów CK WKP (b) i partyjnego kierownictwa Zachodniej Syberii (rozkułaczanie, kolektywizacja, czystki w partii). Trzecia część poświęcona jest represyjnej polityce Komitetu Centralnego i partyjnego przedstawicielstwa zachodniej Syberii w stosunku do ludności polskiej. Prowadzone badania pozwoliły autorce wyciągnąć wnioski, dotyczące zarówno prześladowań tej grupy, jak też ustalić, że represje stały się składową częścią ogólnej politycznej strategii dla ustanowienia jednowładztwa w partii.

W końcowej części książki podane są załączniki, wśród których znajduje się spis Polaków – mieszkańców obwodu omskiego skazanych na rozstrzelanie w latach 1937-1938. Zamieszczono tu również kilka kolorowych ilustracji, które wykonała autorka. Obrazują one współczesne upamiętnienie prześladowań, jakich doświadczyli obywatele Rosji Radzieckiej czasach stalinowskich.

Niestety, ta ciekawa książka, zawierająca wiele nieznanych dotąd faktów, jest w Polsce trudno dostępna, gdyż wydano ją w nakładzie zaledwie 500 egzemplarzy.

Anna Milewska-Młynik

Beata Obertyńska

SUPLIKACJE

Od głodu,
od pochodów,
od deszczu,
od wszy,
od powietrza na wichrze w skos prutego twarzą,
od ognia – kiedy nocą odejść ci go karzą,
od tajgi, co do kolan moczarem namaka,
od urwanej podeszwy,
od skradzionego chlebaka
wybaw nas, Panie!

Od tundry twarzą w niebo leżącej na wznak,
od zmory białych nocy,
od komarzych plag,
od nagłych a niespodzianych wymarszów ponocnych,
od świtów ołowianych i zmroków popielnych

Święty Boże,
Święty Mocny,
Święty a Nieśmiertelny,
Wybaw nas, Panie!

My grzeszni,
my zmęczeni,
my obszarom wydani,
my zmarłej przestrzeni na żer żywcem rzuceni,
my wyjęci spod prawa,
z człowieczeństwa wyzuci,
my deptani jak trawa,
zaganiani i szczuci –
my nędzarze zawszeni,
my co głód nas oglupia,
my rzesza bezimienna
do dna krzywdą otruta,
my brudni,
my obdarci,
my aż śmieszni chwilami,
my pocieszni,
my grzeszni,

Ciebie Boga błagamy,
coś jest Wierny i Żywy
Jeden i Niepodzielny

Święty Boże,
Święty Mocny,
Święty a Nieśmiertelny,

Przez ostatnią, pośmiertną
Syna Twego ranę
przez Jego Krew i Mękę
zmiłuj się nad nami!

Amen – amen – amen

APEL

Otwarcie **Muzeum Pamięci Sybiru** planujemy na 2016 rok, ale już teraz podejmujemy szereg działań związanych z pozyskiwaniem materiału fotograficznego, pamiętnikarskiego oraz ze zbieraniem pamiątek związanych z zesłaniami do Imperium Rosyjskiego i ZSRS. W związku z tym zwracamy się do wszystkich Państwa, którym bliska sercu jest tematyka Sybiru o pomoc w budowie tego jedyne w naszym kraju Muzeum.

Prosimy o przesyłanie relacji, wspomnień z pobytu na *niehumanitarnej ziemi*, przekazywanie zdjęć, pamiątek.

**TYLKO WSPÓLNIE ZBUDUJEMY
MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU!**

Dział Badań Zsyłek i Deportacji Muzeum Wojska w Białymstoku

ul. Kilińskiego 7, 15-089 Białystok

tel. 85/741-64-49; e-mail: sybir@mwb.com.pl

www.sybir.com.pl

Apel do Prezesów Oddziałów Związku Sybiraków

Dzieje Polaków na Syberii oraz badania naukowe prowadzące do pełniejszego poznania tych wielowątkowych losów zesłańców stały się obecnie jedną z ważnych potrzeb dokumentacyjnych, które wpisane są w program kwartalnika „Zesłaniec”, wydawanego od 1996 roku przez Radę Naukową Zarządu Głównego Związku Sybiraków.

Relacje Polaków zesłanych na Syberię, do Kazachstanu i w inne rejonu Związku Sowieckiego w okresie drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu stanowią ważne ogniwo długiego łańcucha naszej historii za Uralem. Redakcja „Zesłańca” problematyce tej poświęca należną uwagę i w dziale „Relacje z zesłania” publikuje wspomnienia stanowiące ważną część naszych syberyjskich losów. Bez wątplenia są one niezbędne dla historyków, politologów czy socjologów do tworzenia opracowań pozwalających pełniej odtworzyć obiektywny obraz zesłańczego życia. Zatem wspomnienia „z domu sowieckiej niewoli”, to pomoc w wielu kwestiach naukowych, to bogate źródło wiedzy pozwalające na wyjaśnienie i przedstawienie wielowymiarowej codzienności na zesłaniu – w łagrach, posesiadkach czy więzieniach.

Mając na względzie stałe ubogacanie źródeł z tego zakresu redakcja „Zesłańca” zwraca się z prośbą do Prezesów Oddziałów o zainteresowanie Członków Związku Sybiraków o przesyłanie materiałów (wspomnień, korespondencji, fotografii, dokumentów – świadectwa szkolne, legitymacje ZPP, książeczki wojskowe itp.) będących odbiciem zesłańczego losów na Syberii, w Kazachstanie, na Dalekim Wschodzie i w innych rejonach Związku Sowieckiego. Materiały te po opublikowaniu w naszym kwartalniku zostaną zwrócone ofiarodawcom. Korespondencję proszę kierować na adres:

**Redakcja kwartalnika „Zesłaniec”,
ul. Bystrzycka 61/3
54-214 Wrocław**

Email: bakucz@op.pl abkucz@gmail.com